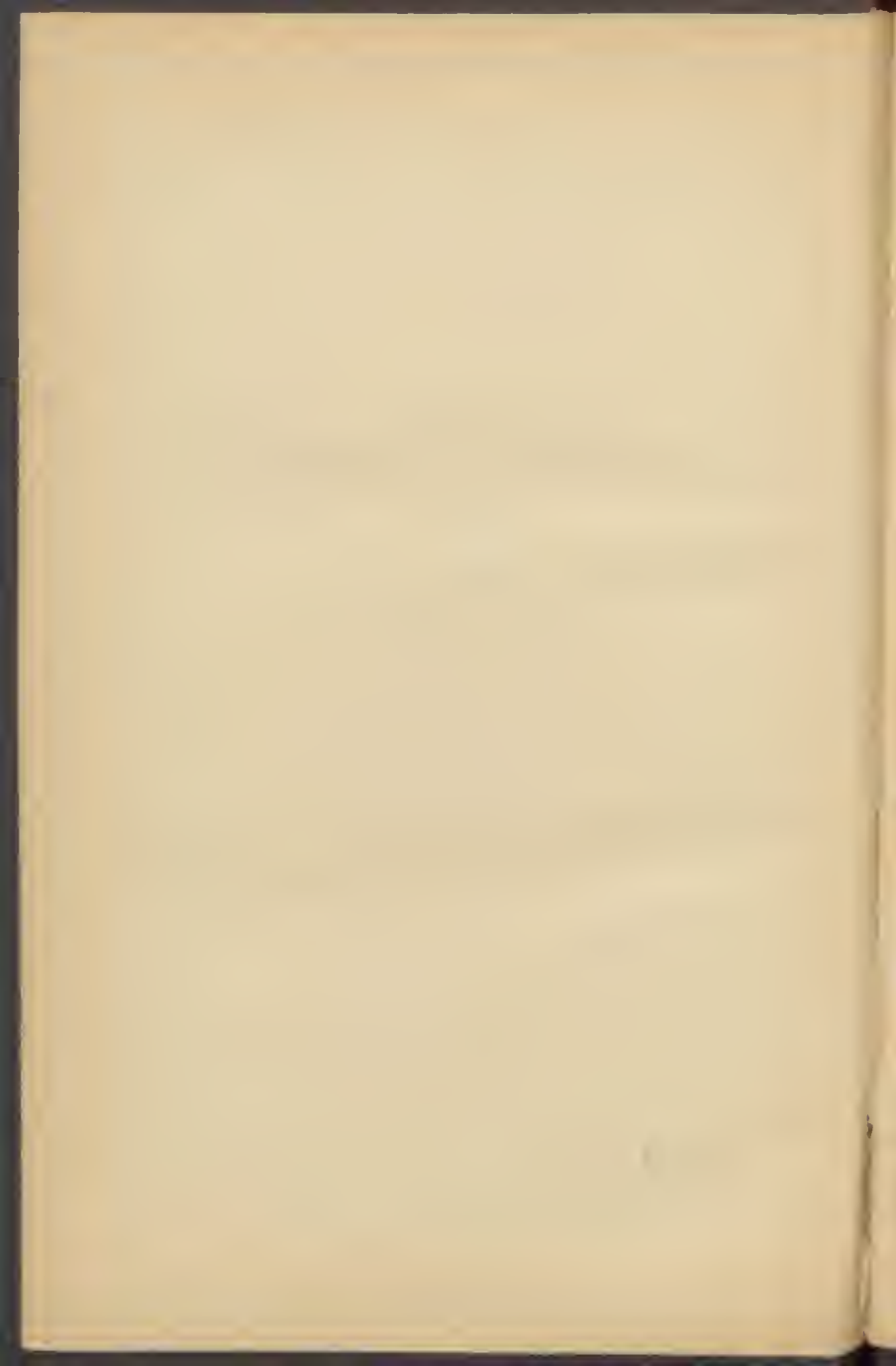


STRZEMIENICZYK.





# STRZEMIENICZYK.

(Czasy Władysława Warneńczyka).

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

TOM II.

WARSZAWA.  
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—  
1898



Дозволено целзурою  
Варшава, 29 Сентября 1897 года.



## I.

Wróciwszy z nieszczęśliwej swej wyprawy, z goryczą i niesmakiem w duszy Grzegorz z Sanoka, potrzebując spoczynku, na czas jakiś zamknął się w swej komorze na zamku, jak najmniej pokazując na dworze.

Unikał królowej, wiedząc, że dla niej był przykrem przypomnieniem nadaremnych zabiegów, do których teraz się nawet przyznać nie chciała.

Wiedziała dobrze, iż Grzegorz jej nie zdradzi, a pomimo ufności w nim, spoglądała na niego z jakąś niechęcią, jak gdyby on zawinił w sprawie. Świadek ten długo jej zawadzał tak, że spostrzegłszy go, odwracała oczy i niechętnie go widziała.

Wstydzila się teraz ochłonawszy, tego potworzonego związku, któremu syna gotową była poświęcić.

Grzegorz czując, iż Sonka nie odboleła jeszcze doznanego zawodu, nie narzucała się wcale, przychodził rzadko, stawał zdaleka. Ale król, który go lubił i nawykł do niego, chociaż z nim w wielu się rzeczach nie zgadzali, dopominał się o mistrza swego i powoływał do siebie.

Z rozmów z nim, przekonał się Grzegorz, iż o znowie z cesarzową, matka młodego Władysława nie zawiadomiła za wcześnie, oczekując, aby ona przyjsć mogła do skutku. To tylko jedno wpajała królowa w syna, iż królewskie sojusze i małżeństwa,

nie innego nie mogą i nie powinny mieć na względzie, nad wzmożenie sił państwa i pozyskanie potęgi.

Przekonanie to młodego pana, nie śmiejąc mu się wprost sprzeciwiać, mistrz starał się zachwiać dowodami, że zbytnia pożądlivość władzy i podbojów, często państwa i panujących o straty i ofiary przyprawia.

Lecz trudno było walczyć z tem, co niemal z mlekiem wyssał Władysław, marzący jak matka o królestwach jakichś, nad którymi miał panować.

Niełaska w jaką chwilowo popadł Grzegorz z Sanoka, nie trwała długo; skromne zachowanie się jego, zupełny brak ambicji, życie nstronne, stałość przekonań, dająca miarę człowieka, przywróciły mu wprędce żywiliwość Sonki.

Nie mówiła z nim tylko o poselstwie ostatniem, najmniejszem słowem nie wspomniała o niem nigdy.

Biedrzyk, który był tak zniknął w Znaimie, że się należało domyślać, iż go kara jakaś spotkała, w kilka miesięcy potem zjawił się znowu w Krakowie i przyszedł pozdrowić dawnego towarzysza podróży.

Niepowodzenie, jakiego doznał, weale się nie zdawało wpływać na jego humor i usposobienie. Nie mówił wprawdzie, co teraz poczynął, z czem przybywał, lecz łatwo się było domyślać, że przyjaźne Polsce i królowej stronnictwo w Czechach, on podtrzymywał i nie dawał mu się rozproszyć. W rozmowie, zresztą nie zbyt otwartej pół-gębkiem, dawał do zrozumienia Grzegorzowi, że w Czechach zawsze myślano o jednym z Synów Jagiełły.

Mistrz nie dawał się temi nadziejami upoić, nie był on za tem szukaniem endzych Bogów, nie sprzeciwiał się, milczał.

Po niejakiem czasie i królowa Sonka, zbliżać się zaczęła do Grzegorza i używać go do mniejszych posług, dając skazówki, co miał synowi wpajać i jak nim kierować.

Lecz wszystko, co go tu otaczało, nie smakowało mistrzowi, który, gdyby nie wdzięczność i nie nadzieja, że może młodemu królowi być użytecznym, radby był dwór całkiem porzucił. Starczyłoby mu probostwo w Wieliczce i ulubione książki.

Nielatwo jednak raz wszedłszy w to życie, które nakłada kajdany, uwolnić się od niego.

Król nie byłby odpuścił Grzegorza, a królowa ani mówić o tem nie dawała.

To co iuni zyskiwali pochlebstwem, on zdobywał prawdomównością, szanowano go i wiedzano, że na nim polegać można.

Jedyną pociechą w tych czasach, było odwiedzanie starych przyjaciół Balcerów i Frączkowej.

Tu mu także nie zupełnie szło po myśli. W mieście stłumiona jeszcze jakimś względami, gotowała się walka, w którą Balcerowie mogli być wciągnięci. Kupcy niektórzy, Żupnik krakowski, Mikołaj Serafin, radca Graszar, Wink i stary Balcer, obwiniani byli o bicie i puszczanie w obieg monety, która wartości jej nadawanej nie miała. Narzucano ją miastu, a biedniejsi potem narażani byli na straty, bo jej poza granicą nie brano całkiem lub daleko gorszą ceną.

Obwiniano Serafina, Graszara i Balcera, że tą monetą złą frymarczyli miasto nią zalewali i ubogich ludzi krzywdzili.

W samem mieście dwa się już zarysowały obozy przeciwne, z których jeden bronił monety swej, drugi się przeciw niej burzył.

Po kilkakroć przychodziło do starć ostrych na Ratuszu w Sukiennicach, do wymówek i pogroźek. Żupnik Serafin i panowie rajcy miejscy ufali w to, że mieli za sobą opiekę możnych, wpływ swoich urzędów, a i gawiedź też, którą sobie ująć potrafili.

Dowódcą tych, co przeciw nim występowali, był niejaki Przedbor Hocz mieszczanin, człowiek zuchwwały a ulubieniec gminu, w którego obronie zaw sze stawał. Umiał on sobie tę miłość biednych po-

zyskać środkiem nigdy nie zawodzącym. Miał głębię wyparzoną i prawil głośno, zawsze jedno, że biedni obrońców nie mieli, że nie było sprawiedliwości na świecie. Nic łatwiejszego, jak cierpiącym biedakom wmówić, iż oni pokutują nie za swe winy i są prze-mocy ofiarą.

Hocza za to pod niebiosą wynoszono, iż stawał w obronie uciśnionych. Dawniej hałasował on z powodu poborów, opłat czynszów, na burmistrzów, na ławników, na sądy, na wójtów, i tem sobie przygotował przyjaciół. W sprawie monety, w której mógł mieć słuszość, łatwo mu było potem wystąpić i poruszyć nawet tych, co do żadnych wiechrzeń ochoty nie mieli.

Sprawa była wszystkich obchodząca. Dobry pieniądz wykupywano, fałszywym zalewano targi, groziła powszechna nędza.

Rajcy miejscy byłiby się chętnie pod jakim pozorem pozbyli Hocza, ale miał on też plecy, krewnych, był osiadły, na żadnem przestępstwie nie dawał się pochwycić, gawiedź szła na jego skinienie; niebezpiecznie go było zaczepić.

On tymczasem uzuchwalony, coraz ostrzej występował przeciw rajcom, Ratuszowi, żupnikowi i kupcom, co z niemi trzymali.

Balcer był w liczbie tych, co pieniędzy różnych dno w obieg puszczałi.

Hocz miał do niego ząb z dawna, bo mu córki odmówił, rad był się pomścić.

Pomimo odgróżeń, które ze wszech stron nadchodziły na Ratnsz, do pana Serafina i do Balcerów, lekceważyli oni sobie uliczną gadaninę, Robili swoje. Pieniądz niedobry rozchodził się w znacznej ilości. Płacili nim, mówiąc, że innego nie mają. Dowodzono im, że sami go bili pokątnie.

Ci, którzy na frymarku tym zyskiwali, bronili ich, ale gmin, rad zawsze, gdy do starszizny może się za coś jąć, krzyczał i groził.

Hocz podbudzał. Gromadzono się około niego po browarach, na cmentarzach po nabożeństwie, słuchano go i przyklaskiwano.

Zupnik Serafin śmiejąc się dowodził, że mu to było wszystko jedno, choć sobie ulica krzyczała.

— Kiedy ich gardła nie bołą, niech sobie pozwolą. Ja przez to nie schudnę! Bóg z nimi.

Niektórzy szepotali, że Hoczaby ując należało, ale obrażeni, którym zalał za skórę, nie chcieli z nim mieć do czynienia.

O całym tym sporze słyszał wiele Grzegorz z Sanoka, i nsilował Balcra skłonić, aby go zagodzono, ale napróżno.

Hocz, którego znał, chodził do szkoły św. Anny z nim razem, nie przyjaźnili się z sobą, ale ława szkolna ma to do siebie, że lub przyjaciół lub wrogów na całe życie tworzy, Hocz, ów obrońca biednego ludu, a w istocie ambitna sztuka. któremu się w radzie siedzieć chciało z innemi, spotykając się z Grzegorzem, wynurzał się przed nim ze skargami, w nadziei może, iż one dojdą do biskupa lub na zamek przez niego. Ale Grzegorz z Sanoka do spraw tego rodzaju mieszać się nie lubił. Cenił swój i cudzy spokój nadewszystko, i powiadał, że wojnę tem tylko można było tłumaczyć, gdy ją prowadzono dla zabezpieczenia pokoju.

— Te żółtobrzuchy miejskie doprowadzą nas do tego— mówił Hocz Grzegorzowi— że my nad nami sami sobie sprawiedliwość uczynimy, gdy nam jej nie dadzą ci, co ją dać powinni.

Patrzajże— odparł mistrz— że z ludem ulicznym to taka sprawa, iż on dziś z tobą pójdzie na Serafina, a jutro z Serafinem na ciebie.

— Niedoczekaniel—prawił Hocz.

Parę razy już zbiorowiska ludowe, groźne w rynku i na przedmieściach przybierały rozmiary takie, że miejska straż i viertelnicy z trudnością je mogli rozproszyć.

Tumulty podobne w owych czasach i z innych powodów nieraz się wszczynały, ale te łatwo uśmierzyć było. Trafiło się, że studenci, którzy zwyczajem dawnym mieli zapewniony kozubalec od żydów, gdy z wyznaczonych do wypłacenia go kampsorów nie byli radzi, wyprawiali napaść na pogrzeby żydowskie i zmuszali do okupu.

Zwyczaj ten tolerowany poaiekąd, z naprawy zbyt gorliwych, poczynął teraz się zastosowywać i do poszlakowanych o hnsytyzm ludzi.

Oprócz tego między samą młodzieżą, podzieloną na różne grupy, parafie i miejskie kwartały, w których przy odśpiewywaniu pieśni, miała prawo pobierać jałmużnę, przychodziło do starć, gdy jedna gromadka w granice drugiej rozmyślnie lub przypadkiem wkroczyła.

Rzadki dzień przeszedł spokojnie w Krakowie, gdzie i cudzoziemcy i kupecy wędrowni dawali powód do zwad ulicznych.

Urzędy więc miejskie, oswojone z takimi ruchami, ustępującemi przed powagą wiertelników, nie przywiązywały do nich zbytnej wagi.

Lepszy znawca usposobień ludzi, i uważniej przypatrujący się rosnącemu rozdrażnieniu Grzegorz z Sanoka, niepokoił się i przestrzegał, zwłaszcza Balcerów i Frączka, o których był niespokojny.

Nie chciano wierzyć w grożące niebezpieczeństwo. Tymczasem burza się widocznie zbierała.

Hocż od kilku dni, było to w sierpniu, zbierał tłumy, krzycząc i dowodząc, że sprawiedliwości nie ma, i że lud powinien ją sam sobie domierzyć.

Inni podżegacze, poili motloch i usiłowali go do rzucenia się na domostwa Żupnika i rajców namówić. Szło to jednak opornie. Sądy za gwałty były surowe, obawiano się wyroków, jakich miano przykłady.

Gdy parę razy ściągnięta gawiedź, rozeszła się nic nie poczynając, tylko odgrażając się i krzycząc



Żupnik, Serafin i rajcy sądzili, że się to tak uśmierzy i skończy na niczem.

Dnia trzynastego sierpnia wszedł wieczorem Grzegorz z Sanoka do Balcerów posępny i milczący. Wszyscy byli w domu. Siadł na ławie nie mówiąc nic, i dopiero gdy go Frączkowa, stanawszy przed nim zagadnęła, co mu to jest, iż tak smutną twarz im przyniósł, rzekł ostro.

— Żal mi was, żeście głusi i ślepi.

— W czym? jak?

— Powinnibyście się domyśleć — począł mistrz. — Lekko sobie ważycie Hacza i gmin, a grozi wam wielkie od niego niebezpieczeństwo.

Balcer stary, niewielomówny zwykle, ręką zamachnął w powietrzu i ramionami ruszył. Grzegorz wstał z ławy.

— Na miłego Boga nie puszczajcie mimo uszu słów moich — odczuwał się. — Na jutro umówiona jest napaść na Serafina, na Graciana, Winka i na was, nie licząc tych, o których nie wiem. Lud się zmówił, przewódzcy powyznaczani, przypadkiem doszła mnie wieść o tem. Albo zaradźcie temu, wywołując złą monetę, albo, jeżeli do tumultu przyjdzie, chrońcie się natychmiast na zamek, boście życia nie pewni.

— Jako! jako! — krzyknął Frączek — ta hałastrą śmiałyby się porwać na pana Żupnika! na rajców! To są głupie przechwałki.

— Na które nie zważając, możecie je życiem przyplacić — mówił mistrz. — Mam dla was obowiązki, ratować was chcę.

Jeśli mi nie wierzycie, wola wasza, czyńcie jak się wam podoba, ale niewiasty wasze niech za wasze zaślepienie nie pokutują. Uprosiłem na zamku u ochmistrzyni królowej schronienie dla matki Balcerowej i Frączkowej, i obstaję przy tem, aby kosztowności zabrawszy, szły ze mną.

Mężczyźni uszom nie wierzyli, zamilkli, ale sta-



nowcze oświadczenie takie, silne na nich uczyniło wrażenie. Spojrzeli po sobie.

— Nie może to być! nie przyjdzie do tego! — zaburczał Frączek.

Balcer się zadumał.

— Więcby trzeba dać znać Żupnikowi i rajcom?

— Winka po drodze spotkałem i przestrzegłem go—odparł Grzegorz. — Jutro rano daj Boże, byście zbiedz czas mieli. Hocz o rannej godzinie kazał się swoim schodzić pod pannę Maryę, mają uderzyć we dzwony na gwałt i rzucić się na wasze domy.

Pewność, z jaką o tem mówił Grzegorz z Sannoka, dała do myślenia.

Frączek się ruszył wychodzić na miasto, gdy wpadł Wink, jeden z najupartszych rajców i tych, którym właśnie rozsypywanie złej monety przypisywano. Zawadżaka był zuchwały, ale w duchu tchórz.

Zobaczywszy Grzegorza na ławie siedzącego, od progu zawołał.

— A, to już wiecie!! Odgrają się zbóje, ale straż mamy, która będzie czuwać uzbrojona.

— Pamiętajcież tylko — przerwał mistrz — że i tej straży, gdy się zawieruszy, nie możecie być pewni. Gdy Hocz górę weźmie, pierwsi Viertelnicy pójdą pod jego rozkazy.

— Jakaż rada?—zapytał Frączek.

— Trzeba na ratuszu postanowienie ze złą monetą uczynić i wprowadzania jej się wyrzec — odczytał się Grzegorz.

— Ho! ho!—przerwali nieszczenie.

Mistrz z niemi rozprawiać już nie chciał, zwrócił się do Balcerowej i Frączkowej z powagą i nakazującym tonem.

— Wybierajcie się i idźcie ze mną, nie stanie się nic, nie zaszkodzi wam nocleg na zamku, a ja was w tem niebezpieczeństwie zostawić nie chcę.

Frączkowa, która słuchała i milczała, dopiero się odczywała.

— Mamyż ojca i męża porzucić?

— Kiedy oni nie wierzą i iść nie chcą, ja przynajmniej was zabiorę. Proszę więc za mną w drogę.

Balcer i Frączek głowami kręcili, Wink milczał, Grzegorz przynaglał.

Przez długi czas przestanek panowała niepewność. Balcer i Frączek nie dawali się skłonić do ucieczki, kobiety się wahały, ale mistrz na swem postawił i na pół musem uprowadził na zamek.

Tu już ochmistrzyni królowej uproszona izba dla nich trzymała w pogotowiu.

Grzegorz, oprócz tego, zawiadomił biskupa Zbyszka, który niedowierzająco przyjął przestrogę.

— Należałoby rozruchowi zapobiedz — rzekł.

— Zdaje się, że już zapóźno — odpowiedział Grzegorz — a tem trudniej sprawę rozsądzić, że Hocz, choć warehoł, ma słuszność.

Biskup z powagą i zimną krwią, sobie właściwą, zamilkł, odkładając radę na jutro.

W mieście Zupnik Serafin, najwybitniej zamięszani w sprawę rajcy, późno dopiero w noc, rozsławszy po mieście swoich ludzi na zwiady, po język, przekonali się, że obawy przesadzone nie były.

Gawiedź, przeznaczona do napaści przeciw nim wymierzonej, całą noc pila po browarach Viertelników wysłanych, aby ją rozproszyć, potłuczono i rozeznano. Klucze od dzwonnicy u p. Maryi i w kilku innych kościołach były w ręku zbuntowanych.

Całą sierpniową noc te kupki się snuły po uliczkach, zwolowały i czuwały. Hocz, którego nigdzie nie było nigdy, w istocie był wszędzie. Pokazywał się i niknął.

Popłoch między rajcami był niemały, ale jeszcze mieli nadzieję, że się to na niczem, na wrzasku skończy.

Wszakże Miklucz Serafin w nocy pieniądze, jakie miał, do dworca biskupiego wywiózł potajemnie.

Do dnia w mieście nic niebyło można dojrzeć

nadzwyczajnego, tak, że pospolici ludzie o niczem nie nie wiedzący, sądzić mogli, iż baśń na postrach sklecono.

Życie się rozpoczynało jak zwykle, otwierały się kościoły, pobożni szli do nich, dziady stawały przed niemi, okienice kramików zwolna spuszczano; przepkupnie wystawili chleb i mięso na sprzedaż, w Sukiennicach poczynął się ruch powszedni, nie nie zwiastowało żadnego usposobienia do rozruchu. Ulice nawet wydawały się pущеjsze niż zwykle.

Około tego czasu, gdy primarją po kościołach czytają, z zaułków, uliczek, katów, zaczynała się powoli ściągać gawiedź, której na rynku nie widywano zwykle; ludzie w odzieży poszarpanej, z twarzami dzikimi, jakby obcy tu i nieumiejący się obracać. Szli niepewnie oglądając się, aby niemi pokierowano, skupiali się, rozpraszali, szeptali z sobą, ustawiali się pod murami. Nieznacznie liczba ich rosła coraz, pomnażała się i milczenie w gwar się głuchy zmieniło.

Nim primarja u P. Maryi się skończyła, rynek już był przepełniony. Niektórzy z tych ludzi mieli pałki na ramionach. W pootwieranych piwnicach tłok był niezmierny.

Miasto zarówno po bocznych ulicach, jak w rynku, przybrało niezwykłą jakąś fizjognomię. O rozpędzaniu tłumu mowy być już nie mogło, składał się on z tysięcy i pomnażał żywiołami nowemi.

Wielka liczba czeladzi ciekawej przyłączyła się do niego.

W tem, jakby z pod ziemi wyrósł, zjawił się Hocz, któremu poddano niewiedomo zkad ogromną beczkę, na której stanął, aby nad tłumem tym górował.

Ze szmeru i gwaru, jaki w rynku panował, nagle cisza stała się wielka i Hocz głos zabrał.

Miał on już dobrą wprawę w ton i sposób, jakim do ludu mówić potrzeba. Wymowa tu niekonieczna i logika nie jest niezbędną, ale krzyczeć

głośno, a bić musi orator w krzywdy, uciski i ucie-  
mieżenie. Hoczowi to przychodziło łatwo, bo miał  
za sobą istotnie sprawiedliwość.

— Chodziliśmy na ratusz, kłaniali się i przed-  
stawiali, na próżno, odpędzono nas precz. Słuchać  
nie chcą, swoje robią, a biedny lud o nędzę przy-  
prawiają. Dla kilku złych mamyż ginąć wszyscy?  
Lepiej, żeby oni zginęli. Potem naszym się z bogacili,  
krew z nas wysysają.

Mówił tak coraz goręcej, a lud stojący coraz  
żywiej mu okrzykami potakiwał. Ruch się zrobił  
w tych ściśniętych gromadach. Zaczęto krzyżeć.

— Na Serafina! na Graciarza! na Winka! na  
Balcerów! na gałąź z niemil... Burzyć domy.

I jakby na dany znak tłum ten i zbiegowisko.  
podzieliwszy się na gromady, runęło ku ratuszowi.  
rozplynęło się po ulicach.

Hocz sam prowadził jedną kupę, w pałki zbrojną,  
Na ratuszu nie było już nikogo, ani rajców, ni ławni-  
ków. Izby stały żelaznemi drzwiami pozamykane.

Natychmiast jeden oddział z Hoczem rzucił się  
na dom Serafina Żupnika, którego już tu nie znale-  
ziono.

Wywalono wrota, połamano sprzęty, inni tak  
samo pędzili ku domom obwinionych rajców.

Szczęściem wszyscy oni, choć późno, potrafil  
ratunku szukając, zbiedz na zamek. Goniono ich tak,  
ze o mało nie doścignięto, gdy się za nimi wrota  
zamknęły.

Hocz nie poprzestał na tem i uzuchwalony z ca-  
łym tysięcznym tłumem, rozwścieczonym, gniewnym,  
rozhukanym jak morska fala, zjawił się pod murami  
zamkowemi, domagając się wydania winnych.

Stało się to tak niespodzianie, że królowa, król,  
dwór, przerażeni zostali napaścią, i młody Władysław  
rzucił się już zbierać ku obronie szczupłą garst-  
kę rycerstwa, która na Wawelu się znajdowała.

Szczęściem tylko co ukończywszy ranne nabo-

zeństwo w kościele, biskup Zbyszek znajdował się jeszcze na ramku. W pomoc jemu nadbiegł Grzegorz z Sanoka.

Obleżenie zamku przez te gromady ludzi, było wypadkiem tak niesłychanym, a tak wielkie przybierającym rozmiary, iż niedając się pożarowi szerzyć musiano go natychmiast zażegnać. Hocz z głównymi przywódcami szturmował do wrót, domagając się już nie kary na winowajców, nie sprawiedliwości, ale wprost wydania tych ludzi, których gmiu osadził i skazał na gardło. Dopuszczyć raz taką karę i pomstę bezprawną, było to otworzyć wrota nieustającym niepokojom.

W chwili, gdy ilocz u wrót stał i gwałtował, po nad nimi zjawił się w ńbraniu swem biskupiem, komży i stule, poważny, zimny, surowy, niewylekły bynajmniej, biskup Zbyszek.

Znano go jako męża, który nikomu ustępstw nie czynił. Hocz pod wrażeniem jego dostojęństwa, mimowolnym ruchem zdjął z głowy czapkę. Nim się odezwał, Zbyszek tym głosem, którym królów nawykł był gromić, począł go strofować i domagać się spokoju i odejścia precz gawiedzi.

Hocz dopiero po chwili trochę swojego zuchwastwa odzyskał, ale ta krótka chwila, w przeciagu której stał milczący z odkrytą głową, starczyła, aby otaczającemu tłumowi odjąć jego butę i ostudzić go.

Biskup natychmiast zabrał głos, naprzód sposób ten domagania się sprawiedliwości potępiając, potem łagodniej nieco począł obiecywać, iż sprawa się rozpatrzy i rozwiąże tak, aby krzywda i ubytki nagrodzone zostały, wina ukarana.

Domagał się jednak, aby zbiegowisko natychmiast się rozproszyło.

Hocz miał czas powrócić do pierwszego swojego zuchwalstwa, i zamiast ukorzyć się, domagał wydania Żupnika i rajców, którzy się w zamku schronili.

— Tak jest, schronili się tu i nietylko ja ich pod

plaszcz mój, ale kościół weźmie w opiekę i da im przytułek, bo to jest przywilejem jego. Winni czy niewinni, wy nie macie prawa ich sądzić.

Tłum się począł ujmować za swoim przewodzcą, zaryczał, a ci co dalej stali, niewiedząc dlaczego wrzask ten powtórzyli.

Biskup mówił, nie słuchano go.

Naówczas na skinienie jego, wystąpił Grzegorz z Sanoka. Ten poufałym tonem zwrócił się do Hocza.

— Słyszeliście słowo ojca naszego duchownego, powinniśmy go starczyć dla opamiętania was; ja przychodzę do was od króla, od królowej, zalecając, abyscie się natychmiast rozeszli. Sprawiedliwość uczyniona będzie, ale wam w gniewie samym dać ją domierzać, byłoby grzechem, król tego nie dopuści.

Chcecież, aby swoje panowanie rozpoczął od tego, by się bronił przeciw tym, co mu wierność przysięgali! Do domów! Rozchodźcie się.

Pasterz nasz, rada królestwa tego, wezmą w ręce sprawę i rozstrzygną. Idźcie spokojni.

Panowało milczenie czas jakiś, ale zdala powtórzyły się krzyki. Natenczas Grzegorz z Sanoka zwrócił się do Hocza.

— Pomniście, wy, Przedborzu, że za wszystko odpowiadać będziecie, za ten ból i srom, jaki uczyniliście królowi, za to, cokolwiek się stanie, wyście lud ten podburzyli.

Nie ja, ale niesprawiedliwość, ale krzywdal—przerwał Hocz.

— Wy—powtórzył Grzegorz—wy, bo zamiast w dziesięciu przyjść z pokłonem do tronu prosić o wysłuchanie, zebraliście tłum i chcecie ją wymóżyć siłą.

— A cóż będzie, gdy na siłę pójdzie siła!

Hocz stapał z nogi na nogę, biskup Zbyszek korzystając z chwili milczenia, odezwał się z powagą.

— Idźcie w pokój do domów! kapłańskiem słowem mem, w imieniu króla zaręczam wam, iż



sprawę waszą rozsądzimy wedle prawa Bożego i ludzkiego.

— Do domów! — powtórzył Grzegorz z Sanoka.

Hocz stał jeszcze, gdy chwilę upojony tłum, zwolna się rozstępować zaczął, szeptać między sobą i cofać.

Na wałach zamkowych właśnie zaczęli się okazywać ludzie zbrojni, łucznicy i kusze, tak, że sądzić było można, że przyjdzie do starcia, gdyby się upierano zamek naciskać.

Hocz począł mówić, ale głos zniżywszy, tłumaczył się, jękał.

Biskup jedno powtarzał.

— Rozchodźcie się.

I gawieź w końcu zachwiana, a otrzeźwiona nieznacznie się rozpływać zaczęła.

Gdy raz ruch ten wsteczny dał się uczuć, nikt nie chciał być ostatnim, obawiano się pozostać, aby nie wpaść w ręce straży zamkowej i nie popaść do Dorotki.

Rozchodząc się, kupki kroczyły zrazu zwolna, potem coraz żywiej, gdzie kto mógł kryły się, wsuwały, nikły, tak, że Hocz obejrzawszy się nie rychło. ujrzał, że był z małą kupką sam jeden prawie.

Odgrążając się i mruczając, i on więc w końcu cofnął się ku miastu.

Niebezpieczeństwo było zażegnane, lecz nie odwrócone stanowczo.

Zaledwie się ludu pod zamkiem przerzedziło, i biskup Zbyszek poszedł królowej przelęklej donieść i wytłumaczyć co się stało, gdy Grzegorz z Sanoka, kazał sobie furty otworzyć, i śmiało sam jeden wyszedł na miasto.

— Potrzeba było bić żelazo gorące — zawołał — na uchodzącego Hocz, który się zatrzymał.

— Chcesz-li być cały — rzekł — miej rozum i coś popsuł staraj się naprawić.

W Przedborze wszystko zakipiało. Był warchołem, lecz bądź co bądź, wystąpił w sprawie dobrej.



— I wy coście z ubogiego paupra wyszli na ludzi—zawołał—nad ubogimi litości nie macie. Bóg mi świadek sprawiedliwości tylko żądałem.

— Aleś się jej źle domagał — odparł Grzegorz. — Pięścią nie godzi się nic wymuszać. Gdzie ona występuje tam rozum i prawda milkną.

Uderzył go po ramieniu.

— Zakaż swoim, aby nowych zaburzeń nie wywoływali—dodał—reszta się dokona, gdy biskup wzięł w ręce swe sprawy.

Nie dość na tem, Grzegorz razem z Hoczem poszedł do miasta, aby dopilnować uspokojenia gawiedzi.

Nie powrócił rychło na zamek, ale gdy wieczorem zjawił się zmęczony, mógł upewnić biskupa i królowę, że się zaburzenie nie powtórzy.

Hocz spokojniał.

Zawołano mistrza do króla, który poruszony wielce, na pół uzbrojony biegał po swej izbie, zagadując młodzieź która go otaczała. Zobaczywszy swojego mistrza poskoczył ku niemu. Oczy mu pały.

Chociaż wierny swój lud krakowski miał przed sobą, młody pan samem prawdopodobieństwem jakiejś walki, był rozdrażniony. Gotów był się rwać, i iść bić się, nie patrząc z kim. Gorąco począł badać Grzegorza, co to było, jaka niesprawiedliwość mogła lud przyprowadzić do takiej rozpacz.

Dla uspokojenia Władysława, mistrz nie znalazł lepszego środka, jak całą rzecz obrócić w żart.

— Miłościwy panie — odezwał się — gawiedzi chodzi o grosze. Sprawa pójdzie przed sędziów i zostanie rozstrzygniętą. Przeciwno takiemu tłumowi, czyżby rycerską rzeczą było występować. Połowa tych ludzi nie wiedziała, po co się tu cisnęła.

— Al krzyki te — zawołał Władysław — poruszyły mnie tak. Było w nich coś wyzywającego do boju.

Kiedyż ja się doczekam tego, abym na koń mógł się iść w pole!

— Aż nadto prędko! — odparł Grzegorz z Sannoka smutnie.

Tak spełzło na niczem to poruszenie, które tylko dowiodło królowej, biskupowi i Grzegorzowi, że młodego pana na Wawelu bezczynnym utrzymać nie potrafią. Karmiono go tak rycerskimi kronikami i opowiadaniem, iż teraz przedwcześnie rozgrzały zapal. potrzeba było gasić i łagodzić.

Królowa Sanna, gdy raz obawa przeszła, cieszyła się, widząc w synu tę niecierpliwość i gotowość do czynu.

Grzegorz, który na wszystko miał oko, dostrzegł różnicę wrażeń i usposobień w dwu braciach. Młodszy o lat kilka Kaźmirz, całą tę sprawę pojął inaczej zupełnie.

Guiew go opauował przeciw zbuntowanym. Nie myślał wcale o tem, aby przeciwko nim wystąpić, ale się oburzał na warchołów i wołał, aby ich siłą precz rozebrano.

Dla Władysława wszystko co rokowało wojnę, było pożądanem. Kaźmirz nie pojmował w podwładnych nieposłuszeństwa i samowoli. Brwi mu się ścierały, ale energia wyrostka była milcząca. Starszy rzucał się i mówił wiele, zajmowało go to żywo, młodszy wzgardliwym milczeniem zbywał ten poryw, a spytany przez Władysława jakby sobie radził — odparł — tłum bym kazał precz rozebrać!

Ledwie się to uspokoiło, i przestraszeni Żupnik i rajcy poczęli łagodzić rozdrażnienie, ujmując sobie ludzi, gdy nowy a daleko groźniejszy niepokój zmusił biskupa i radę do szukania środków, poskromienia Spytka z Mielsztyna, Dersława z Rytwian i innych naśladować chcących w Polsce wybryki husytów czeskich.

Zbierały się kupy zbrojne, mnożyły napady na dobra duchowieństwa, sam biskup był dotknięty nie-

tylko najazdem, ale wśród tego zamętu dokonany  
gwałtem.

Narieczona jego stryjecznego brata, Jadwiga  
księżniczka, przez Jana Krzyżanowskiego porwana  
i uprowadzoną została.

Potrzeba było, niedopuszczając szerzenia się  
nieładu, ukrócić te wybryki, aby nie zakłóciły po-  
trzebnego spokoju. Naznaczono na ten cel zjazd  
w Korczynie.

Biskup Zbyszek, z powodu tych wypadków, nie  
miał czasu wglądać bliżej w to, co się w Krakowie  
i około królowej działo.

Grzegorz z Sanoka, chociaż niewtajemniczony  
jeszcze, z często potajemnie przybywających tu Cze-  
chów, z posyłek do Pragi, z wielkiego ruchu, jaki  
królowę Sonkę otaczał, mógł łatwo wniesć, że o los  
swoich synów zbyt znacznie zabiegliwa, znowu coś mu  
siała przedsiębrać.

Jednego dnia wreszcie, gdy wedle zwyczaju  
przyrzekł donieść matce, czem się syn jej zajmował,  
odezwała się do niego z twarzą rozpromienioną.

— Każko ma już rok trzynasty! Nieprawdaż!  
Wychodzi z dzieciństwa, o nimby też pomyśleć trze-  
ba, aby się przepowiednia sprawdziła. Koronę mu  
zdobyć musimy.

A gdy mistrz słuchał w milczeniu, nie odpo-  
wiadając, dodała.

— Jest to jeszcze tajemnicą, wy jej nie zdra-  
dźcie, a będziecie się cieszyć ze mną. Wszystko  
to dziełem jest mojem. Korona dla Każka się go-  
tuje...

Z niedowierzaniem spojrzął Grzegorz.

Tak, tak — potwierdziła królowa wosolo. —  
Każmirz będzie królem czeskim, wszystko już przy-  
gotowane. Prażanie i moi przyjaciele w Czechach  
wybiorą go. Albrecht nie może panować razem  
w dwu królestwach, Czesi go nie lubią. Wielkorząd-  
cami ich zbywa. oni chcą mieć własnego pana.

— Tak—dodała raz jeszcze—wybór Kaźmirza przygotowany, pewna go jestem..

— Miłościwa pani — odezwał się Grzegorz — wierzę w to, że Czesi wybrać mogą naszego księcia ale czy go utrzymać potrafią? Albrecht nie da sobie wyrwać korony czeskiej, nie stając w jej obro-  
nie. Zatem wojna.

Tak, przewidywać ją można — dodała królowa — ale znajdziemy siłę do prowadzenia jej. Potrzeba tylko jednego oddziału polskiego, a Czesi się do niego przyłączą. Niechętnych Albrechtowi jest więcej, niż mu przyjaznych. Obmyślałam wszystko, znajdziemy pieniądze i ludzi.

Po chwili namysłu Grzegorz ośmielił się zapytać.

— Czy nasz pasterz jest o tem zawiadomiony i...  
Królowa nie dała mu dokończyć.

— Biskup Zbyszek? — zmarszczyła się. — Nie, może się domyśla, lecz nie wie o niczem jeszcze, gdy rzecz zostanie dokonana, dowie się, i zgodzić na to musi.

Na chwilę zachmurzona twarz królowej rozjaśniła się wprędce. Była cała jeszcze przejętą świeżo odebranymi wiadomościami.

— Spodziewam się—dodała zwracając do Grzegorza — iż gdybym pomocy waszej w sprawie tej potrzebowała.

Skłonił się pozwany, oświadczając gotowość. Powróciwszy do mieszkania swego, znalazł już tam Biedrzyka, który oczekiwał na niego.

Nie spowiadał mu się z niczego Czech, lecz z mowy widać było, że miał go za wtajemniczonego przez królowę.

Był to zresztą człowiek skryty, ostrożny i więcej stworzony do podsłuchów, niż do rozmowy.

Grzegorza powaga, rozum i nauka już w podróży na nim wielkie uczyniły wrażenie i obudziły po-  
szanowanie.

Po kilku obojętnie rzucanych pytaniach i odpowiedziach, Biedrzyk zřęcznie naprowadził mowę na młodych synów królowej. Widocznem było, iż rad był ich charakteru wyrozumieć.

— Król nasz rzekł mu Grzegorz — jest to rycerskie chłopię, które wzdycha tylko do tego, aby wyjść w pole i bohaterem się okazać. O tem myśli i śni, mówi i marzy. Serce ma dobre, charakter szczodry i otwarty. Jakim będzie królem czasu pokoju... jakim panem dla swojego ludu, to dopiero przyszłe lata okazać mogą. To wiem, że szlachetny jest, miłosierny, a tak hojny i nieopatrzny w rozdawaniu co ma, jak ojciec.

Biedrzyk słuchał z uwagą.

A młodszy? — zapytał.

— Tego ja mniej znam — mówił Grzegorz — i jako o młodszy m nie można zawczasu przesądzać. Są w braci charakterach podobieństwa i różnice. Kaźmirz więcej jest w sobie zamknięty, milczący, silniejszej woli; charakteru może będzie energiczniejszego, niż brat, ale serca dobroć i hojność pańską ma też samą.

Z nich dwu — dodał Grzegorz — nie potrzebując ać się ze swem zdaniem, bohaterstwa pewnie okaże więcej starszy, lecz młodszy królować będzie dzielniej, i jeśli z młodzięcych początków wnosić się godzi, przez cudze oczy patrzeć nie zechce, ani nad sobą ścierpi przewagi panów i rady.

Biedrzyk głową pokręcał, słuchając.

— U nas — mówił mistrz dalej — gdzie panowie nawykli mieć wielki udział w rządzie, bo Jagiełło przez czas długi zupełnie w rządzie, bo Jagiełło i teraz nie król, ale panowie ci wszystko czynią co chcą, i władzę całą mają w rękach, u nas młodsze mu by było trudniej, gdy z rycerskim panem Władysławem zgodzą się radcy, bo byle mu wojować dozwolili, o resztę u nich pytać nie będzie.

Czech słuchał z wielkiem zajęciem.

— Zresztą — dokończył Grzegorz — wyrokować dziś o ich przyszłości się nie godzi. Czas ludzi zmienia.

— My wam zazdrościm — przerwał Biedrzyk — bo w Polsce panujący bez rady nie stanowi nie, a to my u siebie mieć chcemy, Albrecht nam nie na rękę, bo ani mieszkać w Pradze nie może, ani sam rządzić, a biada krajowi, który zaocznie wielko-rządcy sprawiał!

Jeżeli do tego przyjdziemy, abyśmy sobie pana po myśli naszej wybrali, zastrzeżemy się, aby królował sam, i swobody nasze poręczył.

Do tego dążymy. Gdybyśmy z Polską się połączyć mogli, oparlibyśmy się Niemcom i Węgrom, i byłibyśmy panami w domu, a dla Polski też urosłaby u nas siła niemała.

— Ale wprzód potrzeba odezwał się Grzegorz — abyście wy sami z różnych obozów, na które podzieleni jesteście, do jednego się zeszli, aby ten, kogo na tron weźmiecie, nie potrzebował bić się z Albrechtem naprzód, a potem z własnymi poddanymi.

Westchnął Biedrzyk.

— Byleśmy obcych się pozbyli, w domu między braćmi ład się zrobi. Jednej matki dziatki, nie będą z sobą walczyli, ręce sobie podadzą.

Zygmunt nam narzucił zięcia i córkę, choć do tego prawa nie miał.

— Przecieżeście przyjęli go i ukoronowali — zakończył Grzegorz.

Życzymy wam najlepiej, ale wiercie mi, nie narody sobą i losami swemi, ale Bóg włada niemi. Przyszłość on wie jeden.

---



## II

Gdy się to działo, w kółku otaczającym królowę, po za niemi nikt jeszcze nie przeczuwał tego, co się w Czechach przygotowywało.

Zbigniew biskup, uśmierzaniem niepokojów, jakie mu husyci polscy wznawiali ciągle, głównie na niego czyhając, zasadzając się i usiłując go pozbyć, jako wroga swojego, nie miał czasu wnikać zbliżka w czynności królowej Sonki.

Obóz husycki niewielki, ale ruchliwy, dążył do tego, aby się wyzwolić w Polsce, jak w Czechach przykład dano, z pod zwierzchnictwa Rzymu i duchowieństwa przewagi. Olśnicki widział dobrze następstwa, które to za sobą ciągnęło. Najpierwszem była anarchja. która w kraju otoczonym nieprzyjaciółmi, zgubę niosła.

Wszyscy nieprzyjaciele Polski, a naprzód Krzyżacy, cieszyliby się mocno, gdyby silny rząd, który nawet czasu małoletności czuć się dawał, walką wewnętrzną się rozchwiał.

Całą więc usilność swą skierować musiał na utrzymanie wewnętrznego pokoju, i zniszczenie w samych zawiązkach husytyzmu, który mógł Polskę podkopać, ów biskup Zbyszek, będący dotąd jedynym Polski władzcą, choć na pozór dzielił tę władzę z innemi.

Z jednej z wycieczek swych powracając do Krakowa, zaledwie we dworcu swym wysiadłszy wprzód nim się z kimkolwiek mógł widzieć i rozmówić, znalazł oczekującego nań Grzegorza z Sanoka.

Królowa wiedząc już o przybyciu biskupa, wysłała go, aby się od niej pokłonił i na zamek go



weswał. Być może też, że poleciała przygotować go do wcale niespodzianej nowiny.

Wiadomość urzędowa nadeszła z Pragi, że Czechy, wedle przyrzeczenia, wybrały Kaźmirza królem swoim.

Zobaczywszy mistrza, Oleśnicki, który zawsze go raczej jako uczonego, niż do innych spraw powołanego człowieka uważał, powitał go po łacinie.

— O! szczęśliwy człowieczel! Ty sobie tu Bukoliki, Enejdę i Plauta czytasz, a w nich się lubujesz, gdy my pod ciężarem i w jarzmie chodzić musimy. Cóż królowa?

— Pozdrowić was kazała, i powitać, z tem przychodzę — odezwał się Grzegorz patrząc biskupowi w oczy. Radaby miłość waszą oglądać, bo ma też nowinę pono, którą się rada podzielić!

— Nowinę! — przerwał niespokojnie biskup. — Zaprawdę, lękam się nowin, bośmy ich syci.

— Ta złą się być nie zdaje, chociaż ja o tem sądzić nie umiem — odparł Grzegorz.

— Mówcież mi ją, jeśliście jej świadom — zawołał biskup zaniepokojony.

— Z Pragi wieść przyniesiono pewną, że Czechy tam zebrani, którzy Albrechta nad sobą nie chcą, królewicza naszego Kaźmirza obrali królem sobie, i poselstwo o tem oznajmujące, wyprowadzić wprędce mają.

Pierwsze wrażenie nowiny tej, którą Grzegorz nazwał dobrą, na biskupie uczyniło wrażenie wielkiego niepokoju, niemal trwogi.

Zwolna załamał ręce i stał mu się dziwnie wypaczyły.

— O! — zawołał — ta niewieścia a macierzyńska niecierpliwość, co dobrze życząc dzieciom, może im gotować męczeństwo! To sprawa królowej! Nie wątpię!

I jakby nie zważał na to, że z ponurym królowej sługą mówił — dodał z goryczą.

— Nie może spocząć, nie chce czekać nasza pani, a gotuje nam i dzieciom troski i brzemienia nad siły... tak samo szalone owe małżeństwo z Barbarą dla niedorosłego chłopięcia układała, któremu Bóg łaskaw przeszkodził, teraz nam wojnę prowadzi dla korony, której Kaźmirz nie posiędzie...

Co tu począć z tą macierzyńską troskliwością!!  
Grzegorz milczał!

— Czechy! Czechy!—mówił dalej biskup —zarazał husytyzm! herezya! Już mamy zadatki tej choroby w kraju, nad którąbym morowe wołał powietrze!! Czechy!!

Zmarszczył się biskup.

— Mówią — odezwał się Grzegorz — iż znaczna większość narodu jest za królewiczem naszym...

— Ale my w domu mamy do zbycia przedewszystkiem pokój i siłę, cóż dopiero za granicę iść po dobroć?.. Za plecami się nam namnoży Spytków, Derśławów i Zbąskich...

— I wy, co pokój cenić umiecie, wy co wiecie, ile on wart dla podźwignienia narodu, oświecenia go, zbogacenia, wy mówicie, że to nie jest zła wiadomość?

— Mówiłem, że o tem sądu wydawać nie chcę—prerwał Grzegorz—królowa cię cieszy.

— Niewiastą jest — westchnął biskup. — Widzi tylko blask koron, a ich ciężaru nie czuje. Dziecku na skronie ten rozpalony obręcz!

Załamał ręce.

Weszli razem do dworu biskupiego, i po chwili Zbyszek się uspokoił.

— Idę z wami na zamek — rzekł do Grzegorza — pozwólcie mi tylko na krótką ukłęknać modlitwę i wezwać Ducha świętego.

Znikł biskup, a Grzegorz pozostał z kapłanem jego i młodym pisarzem amanuensem Długoszem, w którego oczach bystra pojętność połyskiwała, choć przy biskupie pokorny i milczący stawał zdala.

Mówiono o podróży, o zasadzce na życie pasterza, o śmierci Spytka, która cudownie od niebezpiecznego uwalniała nieprzyjaciela, gdy biskup powrócił i natychmiast oświadczył gotowość udania się do królowej

Sonka oczekiwała na biskupa, którego szanowała, ale obawiała się więcej jeszcze, zawczasu układając twarz wesołą, choć niespokojną była i przeżuwała, że jej zabiegі źle być mogą przyjęte i osądzone.

Dlatego może wszystko się w takiej tajemnicy gotowało, i biskup dowiadywał się o wyborze Kaźmirza, gdy już posłowie z Pragi do Krakowa się wybierali.

Z twarzy wchodzącego poważnie zachmurzonej, wyczytała królowa myśl Zbigniewa.

Przy niej obok stał trzynastoletni Kaźmirz, za myślonny nad wiek swój i nie wesoły, któremu Sonka rozkazała rękę biskupa ucałować.

— Oto przyszły król czeski! — odezwała się wprost, unikając długich tłumaczeń i wiedząc, że Oleśnicki był uprzedzonym.

— Bodajby nim był! — westchnął biskup — lecz niczem wybór jeszcze... niczem nawet koronacya, potrzeba się orężem dobijać panowania, a my...

— Mamy — przerwała królowa — cały gotowy zastęp kilkutysięczny, który pójdzie z nim — wskazała na syna do Pragi, na pole boju... i wywalczy mu koronę.

— Mamy powtórzyła — dowódców, ludzi... i pieniądze... wszystkich!

Biskup stał, wcale nie zdając się tem przekonany.

— Wojna z Albrechtem nie będzie łatwą — rzekł — ani krótką. Nie da on nam spokoju.

— W Węgrzech będzie zajęty — szybko dodała królowa. — Turcy mu tam grożą, bronić się musi.

— A my z jego wojny z nieprzyjacielem chrześcijaństwa korzystać będziemy? — spytał biskup. —

Cóż na to powie cesarz i Paleolog, i państwa chrześcijańskie?

— Wszakże nam tę koronę przynoszą, nie szliśmy po nią—poczęła królowa coraz żywiej.

Biskup spojrział i wejście to rumieniec wstępu wywołało na twarz królowej, bo wiedziała, że Zbigniew starał jej i zabiegów się domyślał, był ich pewny.

Zwolna Sonka ręce złożyła przed nim.

— Opieknnie moich dzieci, dobroczyńco—szepnęła—nie odpychaj dla tego chłopca co Bóg daje. Samo się to narzuca. Czechy go pragną... żądają... proszą.

Biskup nie sprzeciwiając się już, przybrał postawę człowieka, który małym się czyni, aby wielkie z siebie zrzucił brzemię.

— Nie do mnie należy rozstrzygać o tem—rzekł—jam jednym z rady, ale nie całą radą króla, niech drudzy panowie wyrokują, czy wojny chcą, bo wybór ten nic innego nie znaczy, nad długą i upartą wojnę.

Dla królowej było to uspakajającym, bo choć władzę i wielką przewagę biskupa znała dobrze, lecz zawczasu już innych panów zjednać się sobie starała.

Z niewieścią umiejętnością dokazywała cudów królowa Sonka, gdy jej szło o interesa dzieci. Umiała ona jednych pozyskać obietnicami i dodatkami, drugich łaskawością i uśmiechem, innych zaufaniem im okazywanem.

Znaczniejsza część wojewodów i kasztelanów w Radzie zasiadających, mających u biskupa ува-  
żanie i względy, njętą była zawczasu.

Ten sam urok pomnożenia potęgi Polski i rozszerzenia jej granic, sojuszem ścisłym z Czechami, który skłonił do zbliżenia się ku Litwie, ciągnął ku Czechom.

Zapomniano w jakim stanie zawichrzenia kraj ten był oddawna.

Królowa poręczała, że sami Czesi dopomoga do uspokojenia i zjednania wszystkich Kaźmirzowi.

Miała już pozyskanych sobie i za nią gotowych przemawiać w radzie królowa, Sędziwoja, Ostroroga wojewodę poznańskiego i Jana z Tęczyna Sandomierskiego. Ci obiecywali jej innych nawracać.

Oporu można się było spodziewać, bo Zbigniew go swoim zdaniem wywołać musiał. Oglądano się na nie, a wielu przy nim z własnem zdaniem oświadczyć się nie śmiało.

Następne dni królowa spędziła w niepokoju, posyłając swoich na zwiady, usiłując odgadnąć usposobienia.

Jak przewidzieć było łatwo, zdania zostały podzielone. Podawano nawet wątpliwość, czy posłowie czescy przyjadą.

Goniec po goncu już ich oznajmywał, a jeszcze niespełna wierzone w te śmiałe wystąpienie Czechów.

Naostatek jednego dnia w pięknym poczcie zjawili się zapowiedziani. Na czele ich Hertwig z Rusinowa, Jan z Persztynu, Bieniasz Mokrowas,

Królowa z radości się nieposiadała. Wielu z panów dopiero przybycie Czechów i wyrażone przez nich mocne postanowienie utrzymania na tronie Kaźmirza, nawróciło. Biskup trwał w umiarkowanym oporze

Znano jego niechęć dla zarażonych husytyzmem Czechów, obawę, aby się herezye nie zagnieździły w Polsce.

Panowie rady rozdzieleni w zdaniach, nie chcieli nie stanowić. Biskup nalegał, aby zwołać zjazd w nowem mieście Korezynie, i to co cały kraj w wojnę wciągnąć miało, poddać wyrokowi większości.

Zjazd został na św. Floryan naznaczony.

Dobrze wprzód, nim dzień ten nadszedł, królo-

wa Grzegorza z Sanoka zamówiła, aby się na nim znajdował.

Znała go już zbyt dobrze, aby się po nim śmiało-  
go wystąpienia spodziewać mogła. Spełniał jej roz-  
kazy, nie tając tego przed nią, iż duszą nie był za  
temi łowami na królestwa. Ale w nim, mimo to,  
miała wiernego i rozumnego sługę. Patrzył, słuchał,  
radził i choć zimnym się wydawał, pewnym był za to.

— Wy mojej sprawy nie bierzcie do serca, ani  
mojej, ani dzieci — mówiła przed odprawieniem go do  
Korczyna.

— Miłościwa pani! na to potrzebaby, abym ja-  
sno widział, iż to, czego dziś się pragnie, jest isto-  
tnie dobrem waszem i syna — spokojnie rzekł Grze-  
gorz. — Jam ślepy, czy też nieudolny, ale nie widzę.

— Korona nie zdaje się wam pożądana? —  
przerwała królowa.

Nie rozprawiając już z nim, bo goprzekonać nie  
mogła, królowa zwróciła rozmowę i dała mu tylko  
instrukcyę, co miał czynić.

— Jestem prawie pewną wygranej — rzekła —  
choć biskup przeciwko mnie będzie. Jeżelibym się  
jednak zawiodła, baczcie!! i natychmiast przybądźcie  
dać mi znać. Znajdę środki.

Przed Grzegorzem choć tak ostyglým nie tała  
się z niczem Sonka. Lice jej pałało.

— Jeśli koronę odrzucą! tak jest, znajdę środ-  
ki, aby jej Kaźmirz niepostradał? Wojsko, ludzi,  
ochotników. Nie mogą mi zabronić popierania spra-  
wy syna!

Sprzeciwiać się królowej nie śmiał Grzegorz.  
Nazajutrz z pewnym niesmakiem, wyruszył do Kor-  
czyna.

Zabiegi królowej, pomimo oporu Oleśnickiego  
i książąt mazowieckich, wczwanych na zjazd, a oprócz  
tego wielu umiarkowańszych i niedających się złu-  
dzić blaskiem korony, zwyciężyły ostatecznie.

Większość była za przyjęciem ofiary Czechów,



a Oleśnicki oświadczywszy się ze zdaniem przeciwnem, w końcu uległ i przystał na to, co większość postanowiła.

Z tą radosną nowiną wyprzedzając wszystkich, wrócił do Krakowa Grzegorz z Sanoka i przyniósł ją rozpromienionej pani.

Zwyciężyła! Kaźmirz więc miał włożyć koronę na skronie!

Posłowie do Czech byli jakby wyznaczeni. Musieli nimi być ci, co z królową razem trzymali i pożąдали czeskiej korony.

Sędziwój Ostroróg i Jan z Tęczyna wyruszyli do Pragi.

Niespoczywająca na chwilę królowa, teraz już dniem i nocą zajmowała się zebraniem ludzi, wojska dla syna. Bez niego nie mógł ani się utrzymać, ani nawet wniknąć do swojego nowego królestwa.

Co może miłość macierzyńska i pragnienie zdobycia potęgi, okazała królowa, zmuszona sama stać się o wszystko, ludzi wybierać i jednać, a naostatek wszystko co miała oddawać, sypać, płacąc zaciągi, uzbrojenia i pułki.

Nigdy w Polsce nadzieja wojny i walki nie była odpychana, owszem jak zawsze tak i teraz, miała dla wielu ponętę, urok, ciągnęła ich.

Wybrani przez królowę dowódcy, mieli trudność tylko w wyborze. Gromadami przybywała szlachta z różnych ziem prosząc się pod chorągwie, ale pomiędzy nią trzeba było surowy wybór czynić. A choć połowa tych stręczących się rycerzy bez hełmów i broni, lub bez koni nawet i oręża, musiała powracać do domów nieprzyjęta, pomimo to zualazy się tysiące na wyprawę do Czech.

Rodziła się wątpliwość, czy trzynastoletni królewicz miał wprost sam osobą swą iść i zyskiwać sobie serca młodością i miłością, jaka ona obudza.

Tu królowa nawet zachwiała się. Kaźmirz był gotów, Władysław rwał się, ale go nie puszczono



stanowczo, panowie Rady nie chcieli nawet pozwolić jechać królewiczowi. Tylko dowódcy tego oddziału, który był do Czech przeznaczony, pragnęli mieć z sobą obranego króla jako chorągiew.

Nie było najmniejszej wątpliwości, że do walki przyjść musiało. Możnaż było na jej niepewne losy narażać wyrostka?

Były dnie, że królowa stawiała się matką, ciśnieła do piersi Kaźmirza i dać go nie chciała. Przychodziły potem inne, gdy blask korony ją onieczulał i zaślepiiał, gotową była puścić syna.

Żwyciężyła w końcu matka nad królową i Kaźmirz do Czech nie poszedł...

W jego miejscu wrzący chęcią boju Władysław, który już dościsnął pełnoletności, chciał sam iść wojować... Jednomyslnie się temu sprzeciwiano.

Niepokój był i wyczekiwanie na zamku krakowskim, gdy po upływie kilku miesięcy Grzegorz z Sannoka ujrzał jednego dnia wchodzącego do swej komory, w której pracował nad ulubionym poematem, człowieka zupełnie mu nieznanego.

Był to mężczyzna lat już czterdziestu kilku, z postawy wnosząc dworak i człowiek dostojny. Ubiór skromny, był ze smakiem i pewną wytwornością dobrany do twarzy i postaci. Twarz całkiem nieznana, głos, gdy się odezwał, również nie mu nieprzypominający, przywitanie pierwsze uczyniły chłodnem. Nieznajomy nie mówił nazwiska swego i uśmiechał się dziwnie.

— Mistrzu Grzegorzu—odezwał się do niego—czy pamiętacie jeszcze młodsze lata wasze i wędrówki po Niemczech?

Wszakże się nie mylę, podróżowaliście wiele?

— Tak—odparł Grzegorz, któremu to przypomnienie lat młodszych było przyjemnem—podróżowałem jako jeden z wagańców, *per pedes apostolorum*.

— Przypomnicie więc sobie wasz pobyt w Heidelbergu?—dodał nieznajomy.

Mistrz popatrzył z uwagą wielką na mówiącego.

— Lanen?—zawołał podając rękę.—Nieprawdaż? Nieznajomy obie ręce ku niemu wyciągnął.

— Tak! Lanen—rzekł z pewnem wzruszeniem.— Nie poznaliście mnie zrazu, a i gdybym nie wiedział kogo mam przed sobą, niedomyśliłbym się w poważnym duchownym wesołego młodzieńca, który tak cudnym głosem pieśni Beanów śpiewał.

— Przeszły te czasy!—westchnął mistrz—pieśni się zapomniały, smutek duszę ogarnął.

Siedli przy sobie.

— Lecz zkądże wy tutaj!—począł gospodarz.—Widzę żeście w świeckiem stanie zostali, co was tu do Polski przygnało?

Zapytanie to zdawało się nieco kłopotać przybyłego, chociaż powinien był do niego być przygotowanym.

— Jestem... w podróży na Szląsko, dokąd mnie moje rodzinne powołują sprawy. Rodzina mojej matki ma tam posiadłości. Dowiedziałem się o was w Krakowie i umyślnie się zatrzymałem, aby z wami dawne dobre czasy przypomnieć.

— Jakiż stan obrałeś sobie?—wtrącił Grzegorz.

— Służyłem dworsko przy cesarzu Zygmuncie—mówił Lanen—a teraz leżę się już tylko do orszaku króla Albrechta, chociaż żadnych nie pełnię obowiązków.

Mówiąc to nieco oczy spuszczał i rumienił się. wasy pokręcał, bąsał jakoś nieśmiało.

— Mówiono mi—dodał—że wy stanowisko zaszczytne zajmujecie przy młodym królu. Do tej pory jużbyście zaprawdę powinni byli dobieć się bardzo wysokiego dostojęstwa!

— Nie pragnę go!—żywo przerwał Grzegorz—wierz mi, że pokój i pracę nad księgami uad wszystkim przenoszę.

Zmuszono mnie przy młodym królu być na usłu-

gach, lecz jest to służba nieoznaczona, nieciężka i ledwie na to nazwanie zasługująca. Tem lepiej.

— Król wasz młodzieńczy, wytrawniejszych mężów rada mu potrzebna—odezwał się Lauen.

Postrzeżenie to, Grzegorz milczeniem zbył, zająwszy się gościnnem przyjęciem dawnego znajomego.

Lauen, ubogi szlacheckiego pochodzenia współuczeń, naówczas się do stanu duchownego sposobił. Pewna sympatya i podobieństwo charakterów ich łączyło. Oba lubili poezyą i śpiewy.

Grzegorz treściwie zaczął opowiadać o swoim powrocie do kraju i tem, co go tu spotkało. Starzy przyjaciele patrzyli na się, mówili i pewno znajdowali w sobie wielką zmianę. Czasem, który z nich uderzył o dawną nutę wesołą, uśmiechnęli się i wnet poważnieli oba.

— Prawdaż to — po długim przestanku zagaił Lauen — że młodszy wasz króliewicz do Czech się wybiera przeciw Albrechtowi?

— Wybrano go—rzekł Grzegorz—a korony się nie odrzuca.

— Tak, ale tę wam krwawo zdobywać przyjdzie.

— Zdaje się, że się do tego przygotowują—odpowiedział mistrz—lecz mnie się o te sprawy nie pytajcie, bo mam wstręt do nich i nie rad się mieszać.

— Jednakże codzień się one o wasze uszy obijać muszą?—pytał Lauen.

— Tak, jednym uchem wlatując, a drugim dając im wyjść, aby mi głowy nie zaprzętały — mówił Grzegorz.

Lauen się zdawał namyslać i rzekł po chwili.

— Mnie one żywiej obchodzą, bom z nauką i książkami zerwałem, i stałem się próżniakiem, a bądź co bądź, zięć Zygmunta jest moim panem. Albrecht jest mężem szlachetnym, miałbyście w nim dobrego sprzymierzeńca, a robicie go sobie wrogiem. Jest to

człowiek silnej woli, wytrwały i czynny, niełatwo go spożyjeć, a Czech się on nie wyrzecze.

— Wszystko to może być — rzekł Grzegorz — ale u nas ochota do wojny przemogła, wojsko się zbiera i albo już wyciągnęło, jak sędzę, lub wkrótce wyjdzie do Czech.

— Spotka się tam z Albrechtowem — dodał Lauen.

O ile Grzegorz nie okazywał skłonności do rozmowy na ten ton nattrojonej, o tyle przybysz zdawał się ją chcieć w nim utrzymać. Uderzyło to w końcu mistrza.

Godzina i więcej przeszła na takich obojętnych pytaniach i odpowiedziach. Wstał w końcu Lauen i choć nie z wielką chęcią, zabrał się do odwrotu. Pomyślał trochę i siadł znowu.

— Wojna — rzekł — jest zawsze klęską, wy jesteście przy królowej i królu, ja mam przystęp do Albrechta, co byście rzekli, gdybyśmy spróbowali jej zapobiedz?

Poruszył ramionami Grzegorz zdziwiony.

— Nie czuję się do tego powołanym — odpowiedział.

— Mówmy otwarciej — szepnął Lauen. — Zaufać wam mogę. Gdybym ja, przypuśćmy był wysłany dla wyrozumienia, czy się jaki środek pojednania i zbliżenia nie znajdzie?

— Musiałbym się z tem odnieść albo do królowej lub do biskupa — rzekł Grzegorz — bo ja tu nie mam ani znaczenia, ni głosu.

— Temu mi się wierzyć nie chce.

— Nie żądam ich — dodał Grzegorz — lecz mieliżbyście w istocie poselstwo tego rodzaju.

— Poselstwo! nie — rzekł Lauen — lecz gdybym coś uczynił w tej sprawie, ufam, żeby mi król był wdzięczny.

— Nie widzę środka porozumienia się — odparł mistrz — bez jakiegoś wynagrodzenia, za tę koronę, którą nam naród ofiaruje. Będę z wami również

otwartym. Królowa matka jest spragnioną dla synów zdobyczy i podbojów. Nie będę jej sądził, ale o ile ją znam, wiem, że się bez okupu nie wyrzeczcie nadziei.

— Lesz i ten okup możeby się znalazł — rzekł powoli i mierząc słowa Lauen.

— Jeżeli o pieniądzach mówicie i wynagrodzeniu niemi — przerwał Grzegorz — wiem, że one nie kuszą.

Lauen milczał w stół patrząc długo. Oba jeszcze wahali się z wywnętrzeniem zupełnem. Niemiec dodał.

— Gdyby wola była do układów, środkiby się znalazły. Próbowaćby należało.

— Lecz z naszej strony pierwszy krok jest niemożliwy — wtrącił mistrz.

Zachwiał się dalsze w tym przedmiocie rozprawy. Spytany Lauen nie chciał się przyznać, że był wysłany do Albrechta.

— Ale to bije w oczy — rzekł mu Grzegorz. — Jakkolwiek ja w rzeczy rządowe nie wdaję się i nie rozumiem na nich... odgaduję żeście tu, do mnie, nie dla odświeżenia wspomnień Heidelbergskich przybyli.

Lauen śmiać się zaczął sucho.

— Sądz sobie jak chcesz! — zawołał — przyznać muszę, że niema w tem nic zdrożnego iść z galęzią oliwną i być zwiastunem możliwego pokoju.

— Lecz jestże on możliwy?

Naciśnięty raz jeszcze Lauen się rozpiął nareszcie.

— Cóżbyście powiedzieli na to, gdyby zamiast jednej korony dzisiaj, dwie się wam zapewniło w przyszłości. Jest to myśl moja. Król Albrecht syna nie ma, tylko dwie córki, spodziewa się wprawdzie jeszcze... ale najpodobniej córka to będzie znowu. Dla dwu starszych Władysław i Kazimir byłiby mężami pożądanymi... a po nich Czechy i Węgry wzięliby bez krwi przelewu.

Grzegorz słuchał z uwagą. Myśl ta uderzyła go silnie, znajdował ją szczęśliwą, wielką.

— Albrecht by się zgodził na to? — zapytał.

— Tak sędzę—mówił Lauen—pod pewnemi warunkami. Żądałby zapewne od przyszłych zięciów sojuszu i pomocy.

Mistrzowi im więcej rozważał to, więcej się podobał pomysł Lauena, a raczej plan, z którym był wysłany, gdyż nie można było wątpić, iż tego z siebie wysnuć nie mógł.

Podał rękę Niemcowi z wyrazem radości i przejęcia, których nie taił.

— Myśl jest wielka, piękna, szlachetna—rzekł—nie wiem i wątpię, czy ją zdołam przyprowadzić do skutku, ale dla niej ważyć coś warto. Zatrzymaj się tu, spróbuj.

Nie będę jednak taił przed tobą—dolożył—że przywiezienie jej tutaj, w chwili gdy wojska nasze do Czech wychodzą, zdradza, że się nas obawiacie. Jeżeli to uderzy innych jak mnie!

Lauen się zmięszał.

— Cóż pocniemy?—zapytał.

— Myśl ta od was by wychodzić nie powinna—dodał Grzegorz.

— Poddajcie ją sami.

— Nie mam ani powodu, ni podstawy. Z tem wszystkim—odezwał się mistrz po namyśle—pozostańcie tu, dajcie mi czas, uśmiecha mi się... będę ważył i próbował.

Podali sobie ręce.

— Tak—rzekł Lauen wzdychając—nie mylisz się, potrzebujemy nie tylko pokoju ale posiłków. Turcy nam zagrażają, Czechy się burzą. Nóż mamy na gardle.

— Idź do gospody—odrzekł Grzegorz—i milcz.

Rozstali się tak, a mistrz cały przejęty przywiezioną sojuszem nadzieją, natychmiast się udał do królowej.

Zanadto jednak pochlebiał sobie, sądząc się zdolnym do przebiegłego poprowadzenia tego, co mu serce poruszało.



Przy wieczerzy, do której królowa matka, król, Kaźmirz młody, kanclerz i kilku starszych urzędników dworu zasiadło, nielicząc młodzieży rówieśnej, bez której Władysław obejść się nie mógł, zaczęto mówić o wyprawie do Czech.

Grzegorz przybrał wesołą twarz i począł mówić, jakby dworując, żartobliwie.

— Miłościwa pani! po co by to nam ta wojna i zapasy. Ot, król Albrecht ma dwie córki, a u nas jest dwu młodzieńców, posłaćby w swaty, razem z oblubienicami dwie koronyby przysłał!

Królowa Sonka zadumała się trochę.

— Tak, niebyłoby to złem, ale córki młode, i oni młodzi, nimby do małżeństwa przyszło, długo czekać potrzeba... a wszelkie kontrakty i poręki niewiele ważą.

Zresztą niewiadomo czy Albrecht by zgodził się na to.

Grzegorzowi wyrwało się nieopatrznie.

— Tak pewnym tego jestem, że gardłobym stawiał.

Zdradził się temi słowy, postrzegł to sam, chciał poprawić, zawikłał.

Wszyscy nań patrzeli zdziwieni, królowa matka, która o królestwach dla synów roiła tylko. natychmiast po wieczerzy pozwała danym znakiem Grzegorza do siebie. Nastąpiła na niego, iż mówić nie mógł napróżno przy wieczerzy z taką pewnością o córkach Albrechta, gdyby myśli mu tej ktoś nie poddał.

Mimo całego swego rozumu, nienmiejący kłamać mistrz, brzydzący się drogami pokątnymi, przyznał się w końcu królowej, że pomysł ten w istocie nie wyszedł z niego, ale dawny towarzysz i znajomy z Niemiec, w rozmowie mu go na wiatr rzucił.

Królowa nacisnęła gwałtownie, dowiadując się o owego Niemca, i dobyła z Grzegorza, iż się jeszcze w Krakowie znajdował.

Z żywością, która się w niej objawiła, gdy

o synów chodziło i o zabiegi dla nich, mogące zdumieć biskupa, a dowieść mu jak Sonka umiała chodzić około ich przyszłości, nakazała Grzegorzowi, aby Lauena nazajutrz do niej przyprowadził.

Poleciła mu tajemnicę jak największą. Odga dywała łatwo, iż to był wysłaniec Albrechta, a oba wiała się, aby on z kim innym o tem jak z nią nie mówił, była zazdrosną. Nie chciała się dać wyprze dzić.

Im większa stawała się potęga Zbigniewa biskupa, tem ją goręcej chciała przeciwważyć wielką zabiegiwością swoją i niezmordowanemi staraniami.

Lauen zapewniwszy się, że sam będzie u królowej, poprowadzony bocznemi przejściami, znalazł się wobec natarczywej, badającej niemiłosiernie, wyzywającej na słowa królowej. Nie zdradził się jednak więcej niż chciał. Nie miał zdolności Grzegorza z Sanoła, ale przebiegłości daleko więcej od niego.

Mistrzowi potem poleciła królowa rozmówienie się bliższe z Lauenem. Myśl nie została odrzuconą. Dwie korony w miejscu jednej zachwiały macierzyńskim sercem. Spełniłyby się w ten sposób jej marzenia i przepowiednie.

Stańco na tem, aby posłowie do układów wyprawieni byli z Lauenem do króla Albrechta. Nikt o tem wiedzieć nie miał.

Wyprawić wszakże poselstwa nie można było bez wiedzy biskupa. Poza plecami jego, królowa wszystko mogła przygotować, ale bez niego dokonać nie nie godziło się jej, aby nie narazić męża tak wielkiego znaczenia i przewagi.

Biskup daleko radośniej przyjął wiadomość o projekcie, niż wybór Kaźmirza, któremu dotąd był przeciwny. Chętnie się godził na układy, na sojusz, na danie posiłków, byle Polska sama od wojny była wolną.

— Błogosławiona myśl—rzekł—jeżeli nie jest na to rzuconą, aby dać czas Albrechtowi, gdy my

układać się będziemy, dopełnić koronacyi w Pradze i zniszczyć znaczenie wyboru.

Odgadł biskup przenikliwy, gdyż układy się przeciągnęły, spełzły na niczem, i Kaźmirz pozostał w domu, a wysłane wojska daremną odbyły nie bez strat wyprawę.

Wśród tych starań, których niepowodzenie królowej nie zrażało, gdyż zaledwie jedno spełzło na niczem, natychmiast rozpoczynała nowe jakieś zabiegi, czas upływał rażo.

Nadszedł rok 1439.

Wiedziano w Krakowie, iż król Albrecht z Turkami staczał boje, które mu się nie szczęściły, gdy do królowej nadbiegł z Węgier poseł, oznajmujący jej, że w odwrocie z pod Smiderowa w Rascyi (Serbii), Albrecht, nagle zachorowawszy, umarł.

Pozostawała po nim młoda jeszcze żon Elża, dwie córki, nadzieja trzeciego potomka, i na głowie słabej niewiasty, osieroconej, przerażonej, losy dwóch królestw, z których jedno zagrożone było potęgą pogan.

Prawie jednocześnie Turcy, którzy zamierzali rzucić się na Węgry, ślali posłów do Polski, ofiarując jej przymierze.

Wszystko to spadło nagle, niespodzianie jak grom; ale dla królowej było błyskiem, w którym ona wielką przyszłość dla synów ujrzała.

Utrzymywała zawsze Souka stosunki na Węgrzech, jak gdyby przeczuwała, że one jej posłużą do wyniesienia na tron jednego z synów.

Zaledwie poseł z nad Dunaju nadbiegł do Krakowa, gdy ztąd już wierni królowej słudzy lecieli na Węgry.

Spełzły wybór Kaźmirza w Czechach, potrzeba było powetować w Budzie. Węgrzy musieli mieć króla i wodza, mogliż znaleźć dzielniejszego nad tego młodego rycerza, cheiwego walk, który im z sobą mógł przyprowadzić zastępy polskie, potomków owego Zawiszy, którego imię brzmiało jako bohater.

Królowa nie tała przed biskupem, iż pragnęła i starała się o to gorąco, ażeby Władysław w Budzie królem Węgrów był obrany.

Zdania się dzieliły, lękano ściągnąć wojnę, wziąć nowe brzemie, ale tu nęciło tak wszystko, a Władysław król młody sam z taką niepohamowaną żądzą boju, wyrwał się na obronę chrześcijaństwa, iż panowie nie śmieli go powstrzymywać.

A matka przyciskała go do piersi i powtarzała: Idź i walcz!

Młodzież otaczająca, starzy rycerze, tysiące ludzi, którym wyprawy dalekie się śmiały, upojeni byli tą nadzieją, że pójdą wojować z poganą.

Wielka większość przejęta była tym duchem, a starsi panowie Rady, z chłodnym rozumem, rachubą i rozważą, prawie się odzywać nie śmieli.

Nikt też królowej nie mógł przeszkodzić do starania się o wybór Władysława, a gdyby nawet jawnie się sprzeciwiano, miała tysiące środków skrytego działania.

Ludzie, pieniądze, listy, obietnice, wszystko teraz płynęło na Węgry.

Królowa matka po niewieściemu widząc jedyną przeszkodę we wdowie po Albrechcie, gotową była zamiast z jej córką, ożenić z nią samą Władysława.

Elża miała lat trzydzieści, król zaledwie połowę jej wieku, lecz jeśli małżeństwo z Barbarą uznawało możliwem, dlaczegoż po wnuczce jej córka nie mogła z kolei być zaswatana?

Wszystko to rozstrząsało się gorączkowo, pośpiesznie, a dla Sonki nie było ofiary, na którąby się dla korony tej nie ważyła.

Nikt nie śmiał się jej sprzeciwiać, milezano. Znaczna też część panów pochwycona tym prądem, zaślepiała się na następstwa.

Młody król byleby mógł iść wojować, gotów był wszystko poświęcić.

On, dwór jego, młodzi pochlebcy całemi dnia-

mi zbroili się w myśli, próbowali oręża, rozprawiali o Turkach i ich sposobie wojowania.

Właśnie też poselstwo ich do Krakowa zdążało.

Dla biskupa była to chwila trudna, bo jako duchowny wszelkiemu sojuszowi z niewiernymi przeciwnym być musiał, a jako kierownik spraw narodu w duszy znajdował go może pożyteczniejszem, niż wplatanie się w wielką i groźną wojnę.

Alc tu obowiązki względem zagrożonego chrześcijaństwa musiały brać górę nad interesem Polski. Papież, Paleolog, Włochy, słowiańskie ludy najechane i ujarzmione wołały o ratunek.

Biskup Zbigniew zamilknąć musiał. Gotowała się wojna święta, krucyata nowa.

Czekano z Budy wieści z niecierpliwością wielką, nie odprawiając posłów tureckich i trzymając ich z odpowiedzią w zawieszeniu.

Świadek mimowolny tego zaprzątnięcia, wśród którego nikomu niewolno było obojętnym się okazać, Grzegorz z Sanoka pozostał widzem raczej niż czynnym współpracownikiem w robotach, do których nie czuł powołania.

Zapał, z jakim Władysław wybierał się już na Węgry w nadziei wojny, troskliwą o niego matkę, zaczął trwożyć w końcu. Chłód Grzegorza, jego rozważa we wszystkim, zdawały się jej właśnie najstosowniejszemi u boku młodego zapalcucha. Z góry już więc postanowionem było, że mistrz jako kapełan i spowiednik z Władysławem na Węgry pojedzie.

Jeszcze wiadomość o elekeyi nie doszła do Krakowa, gdy ze smutnem w duszy przeczuciem poszedł Grzegorz odwiedzić Balcerów.

Sprawa monety szczęśliwie została zatartą ustępstwami. Hocz wyrobiwszy sobie wziętość u mieszczan, spodziewał się zająć miejsce na Ratuszu. Balcerowie byli spokojni. Tu życie płynęło jednostajnie, niekiedy tylko odwiedzinami Grzegorza uprzyjemniane dla pani Frączkowej. Gniewała się ona na przyjaciela

młodości, iż niedosyć często do nich zachodził, ale królewski towarzysz nie był panem swojego czasu.

Nie podobało się jej i to, że dawniej wesóły śpiewak smutniejszym był coraz i w sobie pograżonym. Nie mógł się on na los swój uskarżać, obsypywano go łaskami, nie zbywało mu na niczem, a jednak smutek coraz czarniejszy na zwiędłej mallował się twarzy.

Na zapytanie Frączkowej, która zwykle od tego poczyniała, iż go badała o ten smutek, mistrz odpowiedział teraz jak zawsze.

— Widzicie jejmość moja, gdy kto z drogi zboczy, do której był urodzony i przeznaczony, koniec jest zawsze taki. On z ludzi a ludzie niekontenci z niego

— O jakiejże to drodze mówicie? — zagadnęła Frączkowa.

— Do dworu i jego płatanin nie byłem stworzony, ale do ksiąg, papieru i spokojnej celi — mówił Grzegorz. — Tymczasem wszystko zwiastuje, iż się z tego ukropu nie zdołam wyrwać, a jeżeli Władysław zostanie królem na Węgrzech obrany, i ja będę musiał z nim do obcego kraju, do obozu, na wojnę.

Frączkowa westchnęła.

— Może go też nie obiorą!

— Zaprawdę wybranym będzie — przerwał Grzegorz — już dlatego, że królowa tam ma i wielkimi obietnicami jedna przyjaciół, już że to dla nich pożyteczna, a w końcu, że mnie uieniła.

Rzucić więc przyjdzie kochany Kraków, do którego czy powrócimy, Bóg jeden wie; a co nas tam czeka!

Frączkowa łzy też miała w oczach

— Sumienie nie pozwala — rzekł Grzegorz — królowej winienem wiele, a ona mnie tam widzieć chce. Czuję sam, iż niedoświadczonemu panu będę pomocą... iść więc muszę!



Króla jeszcze nie obrano?

— Toczą się w Budzie narady, lecz lada chwila przybiegnie goniec niosący koronę.

Nie mylił się mistrz. Powracając do zamku, spotkał w ulicach dworzanina królowej, który Węgrów wyprzedzając na zziąjanym koniu, wszedł we wrota z wieścią pożądaną.

— Władysława w Budzie okrzyknięto królem Węgier! Miał zaślubić wdowę po Albrechcie.

### III.

Wesoło, huczno obchodzono święta Bożego Narodzenia w Krakowie. Królowa Sonka odmłodziła, wszystko zdawało się skończonem szczęśliwie.

Oczekiwano tylko uroczystego z Budy poselstwa. Wdowa po Albrechcie zgadzała się, przynajmniej pozornie, na poślubienie Władysława.

Wiedziano o niej, że była trzydziestoletnią niewiastą, lecz królowa utrzymywała, co potwierdzali ci, którzy ją dawniej widzieli, że córka cesarzowej Barbary była jeszcze wdzięczną i urodziwą, a nade wszystko urokiem mowy i oczu, obejściem się z ludźmi umiejacą ich jednać sobie.

Wzięła po matce nie zalotność, którą tamta słynęła, ale przebiegłość, zręczność i dumę po ojcu. Królowa Sonka cieszyła się tą przyszłą synową, wdzięczną jej będąc za to, że się na małżeństwo zgodziła.

Nie mogło ono jednak wprzód przyjsć do skutku, aż po spodziewanej słabości, od której zależało wiele. Pogrobowy potomek Albrechta mógł być synem. Ale o tem królowa matka mówić nawet i przypuszczać nie dozwalała, boby oderwał Czechy i zachwiał może wyborem.

Ci eo z Węgier przybywali, nim poselstwo pośpieszyło, eo innego opowiadali przed królową, inaczey szeptali po ciehu.

Głośno zaręczano, że Elżka szła z ochotą za młodego króla, potajemnie powtarzano co Węgrzy mówili, iż łzami oblewała zapowiedź małżeństwa, od którego chciała się jakimbądź sposobem uchronić.

Dla dzieci tylko zmuszoną była poświęcić siebie. Władysławowi matka starała się wmówić, iż małżeństwo to będzie szczęśliwem, a młody król wcale o niem nie myślał. Zajęty był wojną, rycerstwem, większą swobodą, na którą się miał wyrwać, dotąd krepowany nawykniem posłuszeństwa matce i biskupowi.

Uśmiechało mu się w towarzystwie młodych swych przyjaciół wyrwać w świat i pełną piersią oddychać. Zawczasu biskup Zbigniew zapowiadał, że króla na Węgry odprowadzi, ale tam miał już on sam pozostać.

Okolo zapust na ostatek ściągnęło wspaniałe poselstwo węgierskie, na którego czele jechał Jan biskup Segedynu, Talosz ban sławoński, Emeryk Marcelli marszałek dworu, i wielu innych magnatów.

Na spotkanie świętego orszaku, wyjechał w imieniu brata Kaźmirz, z duchowieństwem i panami, a choć pora była resztkami zimy nachmurzona, z obu stron wesołość i ochocze bratanie się, kazały o tem zapomnieć. Stroje i uzbrojenia Węgrów, kilkunastu młodzieży, której przewodził Miehał Orszag, pięknej i bogato przybranej, ściągały oczy ciekawych tłumów.

Grzegorz z Sanoka, który wśród dworu królewskiego wybitnego nie zajmował stanowiska, bo go nie

pożądał, unikał ściągania na siebie uwagi, mógł się tem lepiej i swobodniej przypatrywać wszystkiemu, szczególnie zaś wrażeniom młodego króla, który począł być dla niego zagadką.

W życiu Władysława przychodziła chwila przełomu, ochota wyzwolenia. Nie czuł się na siłach może do zupełnie samoistnego występowania, ale pragnął nareście mieć wolę swoją.

Żaledwie piętnastoletni, dojrzalszym był daleko niż zwykle młodzieńcy bywają w tym wieku. Samo wychowanie pieczołowite rozwinęło go szybko, a w tym roku osiągnięta pełnoletność, złożona przysięga, czyniły go z prawa niezależnym.

Nie dziwnego, że korzystacby był chciał z tego. Lecz wszelkie pokuszenia się, to matka, to biskup starym zwyczajem odtrącali i unieważniali.

W młodym panu rodziło to chętkę oporu, i pełną niecierpliwość. Przybycie posłów pochlebiało dumie z początku, po kilku dniach pobytu ich, gdy się rozśrechał i rozpatrzył król, choć nie dawał tego znać po sobie, zdawało się Grzegorzowi z Sanoka, że dojrzał w jego twarzy jakiegoś zafrasowania i zniechęcenia.

Młodzi Tarnowscy, młody Tęczyński, który z Węgrami mogli otwarciej się rozmówić, biesiadować i dowiedzieć czegoś więcej nad urzędowe ich sprawozdanie, donosili królowi co słyszeli. Mniej świetne strony tego panowania na Węgrzech powoli występowały.

W kilka dni po posłuchaniu, Grzegorz z Sanoka znajdował się przy królu na pokojach, a po rozejściu się znaczniejszej części gości zamkowych, pozostał z nim i Ryterskim marszałkiem dworu, a nieodstępniemi prawie towarzyszami królewskimi Mikołajem Strzegonią, Chrzastowskim i Nekandą z Sieciechowa.

Rozmowa toczyła się teraz prawie ciągle o przyszłej podróży na Węgry, do której czyniono przygotowania. Król więcej słuchał niż mówił. Czasami,

gdy mowa była o Turkach i wojowaniu przeciw poganom, rozgrzewał się nieco i okazywał ochotę ciągnięcia, lecz po namyśle posępniał i milczał.

Z tych, co z królem byli, pozostał naostatek tylko marszałek dworu Ryterski ten sam, którego niegdyś młodemu synowi Jagiełły kraj wyznaczył jako dozorcę i nauczyciela.

Król z nim był poufale i serdecznie, lecz Ryterski, oprócz dobroci serca i miłości dla pana nie odznaczał się niczem, a najmniej umysłem przenikliwym. Z kolei słuchał królowej matki i biskupa, i spełniał ich wolę. Własnego nie miał zdania.

Pod pozorem jakimś Władysław odesłał marszałka, chciał i Grzegorz z Sanoka odejść, bo godzina była spóźniona król dał mu znak aby pozostał.

Byli sami, Władysław, jakby się zbierał coś powiedzieć mistrzowi, przeszedł się parę razy po izbie.

Widać było, że walczył z własną nieśmiałością, którą chciał pokonać.

— Wy mi sprzyjacie? wy mi dobrze życycie?—zawołał stojąc naprzeciw Grzegorza i rękę ku niemu wyciągając—nieprawdaz?

— Miłościwy panie?—odezwał się jakby z wyrzutem mistrz.

Ja wierzę w to—rzekł pośpiesznie Władysław—i ufam wielkiemu rozumowi waszemu. Jestem w niepewności wielkiej i rozsterce sam z sobą. Na wojnę radbym z duszy, ale na to królestwo węgierskie?!

Popatrzył na Grzegorza.

— Kazał mi się żenić z Elżką, któraby matką moją być mogła—dodał król—z kobietą, która, wiem to, wcale mnie nie chce. Dwoje dzieci! trzeciego się spodziewał!

Ale ja nie chcę i nie myślę się żenić, ja chcę wprzód zdobyć sobie imię i sławę, ja mam moje królestwo i innego nie pożądam!

Cześć Węgrów jest za mną, to prawda, ale wpływowy i przewagę tam mający Dyonizy, kardy-

nał biskup Ostryhomski, ban kroacki Gara, Jan Secz i Ulryk Cilly, są przeciwko mnie. Tej korony ja się będę dobijać musiał, przeciwko kobiecie i sierotom.

Zamilkł patrząc na Grzegorza, który znalazł się w przykrem położeniu. To co mówił król, on też myślał, ale królowa i biskup Zbyszek nawet sądzili inaczej.

Królowa pragnęła gorąco korony tej dla syna, biskup widział we Władysławie obrońcę chrześcijaństwa, a może i nie gniewał się za to, że podczas niebytności króla on sam królestwem rządzić będzie. Nawyknięcie do rozporządzania wszystkiem, do dzierżenia i używania władzy, czyniło go jej żądnym.

Grzegorzowi nie wypadało, na tę niespodziankę objawioną niechęć króla, odpowiedzieć potakiwaniem. Łękał się. Z tem wszystkiem była to rzecz sumienia, a on nie należał do ludzi, coby z niem wchodzili w układy.

Rzekł więc po krótkim namyśle.

— Miłościwy panie... ja weale temu co mówicie nie przeciwuję się... ale, jeżeli takie wątpliwości wam przychodzą, czemu ich nie objawiacie otwarcie królowej i biskupowi?

— Znajdujesz więc, że mogę mieć słuszość! — zagadnął król zwracając się ku niemu, pilno a natarczywie patrząc mu w oczy.

— Tak, są to słuszne przyczyny — odparł Grzegorz. — Ja, który na sprawach państw nie znam się i sędzę je po ludzku, powiedziałbym toż samo; ale ci co patrzą z góry, co interes krajów więcej ważą niż uczucia ludzkie, sądzą inaczej.

Z niecierpliwością jakąś król dodał poufalej.

— Powiadam ci, chce mi się dusznie na wojnę, ale serdecznie mi się nie chce być tym królem z łaski kobiety i ze szkodą jej dzieci. A jeśli królowa następcę męskiego na świat wyda?

Grzegorz mileząco skłonił głowę.

— Pamiętać jednak potrzeba o tem—rzekł—że ani wdowa, ani niemowlę, ani Cilly z kardynałem nie obronią Węgier od napaści tureckiej, że tam potrzeba dzielnego rycerza, a z nim rycerstwa, bo iuaczej nie Węgry same, ale świat chrześcijański będzie zagrożony. Obok tej wielkiej sprawy ocalenia wiary... cóż znaczą inne? — co znaczy małżeństwo! osobiste względy i... ofiara?

Władysław westchnął.

— Oni mi też to mówią ciągle—dodał król.—Lecz cóż przeszkadza, abym ja z rycerstwem polskim poszedł w obronie krzyża, nie wiążąc się z tą kobietą?

— Miłościwy panie przerwał Grzegorz, któremu ta rozmowa ciążyła.—Mówicie po rycersku, czujecie szlachetnie, miejcie odwagę otwarcie to powiedzieć.

Zmieszał się nieco młody pan.

— Mój Grzegorz—rzekł—ja jestem młody. Ty wiesz najlepiej, oni—matka, biskup i wszyscy mają mnie za młodsze jeszcze niż jestem... za dziecko. Królowa mi mówić nie da, a biskup zważać nie będzie na to co powiem.

— Tak—odezwał się Grzegorz—raz pierwszy gdy to posłyszają, mogą lekceważyć, lecz obstając przy swoim, zmusicie, aby zdanie wasze poszanowano.

Tymczasem korona już tak jak przyjętą jest, posłowie się tem cieszą, trudno będzie się cofnąć.

— Nie! nie!—rzekł namarszczony Władysław—ja się żenić z nią nie chcę. Pójdę, będę z Turkami wojować, będę im służyć rycersko, ale, tobie to powiadam tylko, jeżeli ożenienie będzie do korony warunkiem, żenić się nie chcę! nie mogę! nie ożenić!

Coraz gwałtowniej mówił pod koniec król, i jakby się sam uląkł swojej śmiałości i otwartości, zbliżył się do Grzegorza, na ramionach mu ręce położył, i dodał.



— Chciałem mówić z tobą, nie zdradzajcie mnie! Widzę i czuję, że ty to tak czujesz i rozumiesz jak ja?

Wydarłej dziecku i kobiecie korony nie chcę.

Na Węgry pojedziemy! ale tam znajdę sposób uniknięcia małżeństwa i przywłaszczenia!

Szlachetne te uczucia młodego pana, taką radością napelniły mistrza, iż ukryć jej nie umiał. Spojrzeniem jednym Władysław mógł się przekonać, że Grzegorz podzielał jego myśli, że je pochwalał. To mu dodało odwagi i czoło się wyjaśniło.

— Tak — powtórzył król. — Nieuniknioną już zdaje się podróż na Węgry. Posłowie pojechali do królowej... czekamy tylko ich powrotu. Biskup się oparł zawieraniu traktatu z Turkami. Ojciec św., cesarz Paleolog. Włosi nalegają, pójdziemy bronić chrześcijaństwa.

— I wy ze mną?—dolożył pośpiesznie w końcu.

— Na cóż się ja tam przydam?—wtrącił mistrz.

— Abyście mnie dali odwagi, a gdybym uwieść się dozwolił żądzą panowania i dumą, przypomnieli mi te słowa moje.

Zaledwie dokończywszy tego poważnego wynurzenia się, Władysław jak gdyby mu ciężar wielki spadł z piersi, zwrócił się do swoich ulubionych marzeń.

— Ze wspaniałym i dzielnym wyruszymy orszakiem — począł. Tak pięknego, tak uzbrojonego wojska jak nasze, jeszcze Węgry nie widziały. Staramy się o to, abyśmy tam wstydu sobie nie uczynili.

Widzieliście moich przybocznych.., moich druhów i towarzyszków! Co to za zastęp żelazny! Co za konie! ryny, zbroje, rzędy i oręże. Al! gorączka mnie porywa, gdy myślę o tem, W pole! w pole!

Uśmiechnął się Grzegorz

— Widzicie miłoścyw panie, że wyprawa na Węgry uśmiecha się wam i pociąga!

— Al! tak—zawołał król nagle smutniejąc—ale

gdy pomyślę o ożenieniu, o sierotach, o przekleństwach i złorzeczeniu, które spadną na mnie, wiesz! wyrzekłbym się nawet wyprawy, aby być wolnym od jarzma tego!

Wzdrygnął się młodzieniec.

To pierwsze wylanie się przed Grzegorzem, niespodzianie dla niego, otworzyły mu oczy. Inaczej poglądał teraz na swojego wychowawcę.

Nie znał go dotąd dobrze, i miał też za dziecko, objawił mu się w nim człowiek.

Pilno potem przypatrywał się mistrz postępowaniu jego z matką i biskupem, lecz dostrzedz w nim nie uogół żadnej zmiany. Zdawało się, że Władysław, śmiały z nim, przed matką i opiekunem tracił odwagę i otwarcie się im nie przyznawał co myślał.

Na dworze tymczasem zabawiano się wesoło i przyjmowano węgierskich panów. Biskupa Segedyu ugaszczali Zbigniew, a prałat węgierski miał czas zjednać sobie Oleśnickiego, wystawiając mu całego chrześcijańskiego świata potrzeby i pokładane na Polsce nadzieje.

Z każdym dniem Zbigniew więcej się skłaniał do tego, aby koronę przyjąć i dać dzielną pomoc Węgrom.

Gdy się to działo, a Grzegorz nasz zawsze stojąc na uboczu, nie męszał się czynniej do dwóch obozów, które się na dworze zarysowywały, królowa matka zagadnęła go wieczora jednego, zobaczysz milczącego w ciemnym kątku.

— Wybadajcie Władysława, chmurzy mi się, co mu jest? Radabym go widzieć szczęśliwym. Idzie wszystko po myśli? Nie wiecie przyczyny dlaczego mi dziecko posmutniało?

Miłościwa pani—odparł ośmielony mistrz—może dlatego, że się już nie czuje dzieckiem.

— Co to znaczy? — przerwała rumieniąc się Sonka.

— Wy jako matka możecie go wybadać, jam obcy—dodał mistrz.

— Nie wiecie o niczem?—spytała królowa.

— Domyślam się tylko, że młodemu panu, szlachetnego serca, nie chce się może, starszej od siebie wdowie, mającej dzieci, narzucać za pana i męża? Między Węgrami krążą wieści, że wdowa zmuszona tylko przystała na podzielenie się koroną, mogło coś dojść do króla. Pytajcie go!—rzekł Grzegorz z Sanoka.

Królowa łatwo się niecierpliwiąca, pokraśniała słuchając i uderzyła nogą w posadzkę.

— Plotą niechętni bajel nie może to być, aby Elża go nie chciała! Jest że na świecie kobieta, która by Władysława mogła odepchnąć!

Piękniejszego, szlachetniejszego króla nie ma na ziemi. To perła!

— Tak, miłościwa, pani, lecz dzieci matce od pereł są droższe, a wy to wiecie najlepiej.

Zadumała się królowa Sonka.

— Wy go wybadajcie—rzekła.

— Nie mam prawa ani umiejętności po temu — odezwał się Grzegorz — Za zleby mi wziął mięsza — nie się do spraw.

Z niechęcią ruszywszy ramionami królowa odstąpiła krok i wróciła nazad.

— Więc i wy zapewne słyszeliście—rzekła—co ta gawiedź węgierska plecie. Ale to gawiedź i ciury! Ani biskup Jan, ani Orszag, ani poważni posłowie nigdy o tem nie wspomnieli.

— Nie mogli mówić przeciw sobie—dodał Grzegorz.

— Wy w to wierzycie?—przerwała królowa.

— Mnie się zdaje prawdopodobnem, że matka broni interesu dzieci! A jeśli syna wyda na świat?

Nie doczekawszy końca, Sonka zawołała gwałtownie.

— Nie może to być! Nie może! Miała dwie córki! Syna mieć nie będzie.

Mimowolnie uśmiechnął się Grzegorz.

Królowa Sonka jak zrażona, odstąpiła dumnie, rozmowy już nie przedłużając. Grzegorz się usunął do swojego kąta.

Z żywą niecierpliwością oczekiwano gońca z Węgier, który miał dać znać o spodziewanem wkrótce rozwiązaniu. Z każdą chwilą wyglądano stanowczej wiadomości, na którą i posłowie węgierscy i królowa z trwogą oglądać się musieli.

Biskup Jan Segedyński jeden utrzymywał za-wczasu, że gdyby nawet syn na świat przyszedł, nie mogło to zachwiać wyborem króla Władysława. Przewidzianem to było i przeznaczeniem dla niego dział austriacki i Czechy. Polski król miał pozostać razem węgierskim.

Jednej nocy wreszcie zastukano do wrót zamkowych. Straż wołając o hasło dowiedziała się, że goniec ów od tak dawna już upragniony przybywał. Na Wawelu spali wszyscy, zbudzono tylko marszałka dworu Ryterskiego, a ten z listy i słownem doniesieniem, wszedł do Grzegorza z Sanoka, u którego jeszcze lampka się paliła, bo uczony śleczył nad księgą.

Ryterski przychodził w niepewności co czynić miał, spytać mistrza, czy wypadało budzić królowę dla posłańca z Węgier.

— Miły panie — rzekł wstając z za pulpitu mistrz — jeżeli jej macie co dobrego zwiastować, budźcie, jeżeli złe, nie śpieszcie. Dowie się zawsze za wcześnie.

— Cóż goniec przynosi?

Ryterski zżył ramionami.

— Narodził się pogrzebowy syn Albrechtowi!

— Syn! — wykrzyknął Grzegorz. — Nie macież po co budzić królowę.

— Tak — odparł marszałek — wiadomość nie będzie pożądaną, ale trudno radzić na to.

Jednym z pierwszych więc Grzegorz dowiedział się, że los, który zawsze ludziom na przekorę sprowadza to, czego sobie nie życzą, dał Elżbiecie syna po śmierci ojca.

Dla biednej wdowy było to pociechą, dla królowej Sonki troską wielką.

Jak dzień komornik króla, który o brzasku, wstawał i szedł swoje sokoły oglądać a konie, przybiegł do Grzegorza. Władysław go wzywał do siebie.

Zastał go w rannem ubraniu, z twarzą wesołą.

— Wiesz — zawołał — Elża ma syna! a ja doskonały sposób wycofania się. Dziecku jej nie mogę odbierać korony.

— Tak. miłościwy panie — rzekł mistrz — ale w układach, które przywiózł biskup z Segedynu, stoi ten wypadek przewidziany, a wyście przyjęli warunki!

— Nie chcę ich! — przerwał król — nie chcę! Nie mogę!

Zaledwie zamienili słów tych kilka, gdy królowa Sonka w sukni zaledwie narzuconej i chuście na głowie, ukazała się we drzwiach.

Oczyrna zmierzyła ich obu. Grzegorz cofnąć się chciał, król skinął aby został.

— Elża ma syna! — poczęła królowa głosem drżącym. — Któż wie? Może go jej podłożono umyślnie. Ale to nic nie znaczy... nic.

— Owszem, dla mnie to znaczy bardzo wiele — śmiało odezwał się król, patrząc na mistrza jakby go na pomoc wzywał. — Ja nie chcę dziecku odbierać korony, nie chcę.

Oczy królowej zapaliły się gniewem.

— Monarchowie i prości łądzie, a nadewszystko ci, co rycerzami się chcą nazywać — rzekła ostro — powinni dotrzymywać słów!

My i ty, przyjęliśmy warunki przywiezione przez



posłów. Ten dzieciak weźmie sobie księstwo Austrii, no i Czechy!—dodała z niechęcią—a ty koronę węgierską!

Młody król zamilkł, lecz twarz jego się zmieniła. Miał wielkie poszanowanie dla matki, nawykł był do posłuszeństwa, lecz widziała, iż opór stawieć będzie. Nie spotkała go dotąd u dzieci i rumieniec na twarz jej wystąpił.

Przeszła się milcząca po izbie i z kolei ona też zwróciła, jakby w pomoe powołując Grzegorza z Sonka.

— Powiedzcież wy królowi—odezwała się—że co raz się przyrzekło, tego cofać nie można.

— Miłościwa pani—odparł mistrz—właśnie to mówiłem królowi przed chwilą, ale też powiedzieć muszę, że szlachetnego jego miłości uczucia dla sieroty i wdowy, żaden człowiek nie potępi.

— Co za wdowa, jaka sierota? — wybuchnęła Sonka. — Powinna się czuć szczęśliwą, iż takiego męża dostanie, a jej dzieciak takiego ojczyma! Nie ma się co użalać nad jej losem, ale go chyba zadržość!

Na to namiętne wystąpienie królowej, trudno odpowiadać było, nie czekała też odpowiedzi i wyszła zagniewana.

Od rana dnia tego na zamku rozpoczęły się biegania, powoływanie rady, wyprawianie posłów. Panowie zjeżdżali się na zamek. Królowa wezwała swoich, Sędziwoja Ostroroga i Jana z Koniecpola.

Biskup Zbyszek z gościem swym biskupem Janem, znalazł się po mszy na pokojach. Nadbiegli i inni posłowie.

Król zagadnięty przez Oleśnickiego, odważnie mu odświadczył, iż korony nie chce, że ona mu wstręt czyni wydartą sierocie.

Zmarszczył się Zbyszek, lecz nie nad to odpowiedzieć nie umiał, że na pierwszym względzie była



obrona przeciwko niewiernym, a spadek pogrobowca na szalę z nią iść nie mógł.

Zwołano radę dnia tegoż, ale nim się zjechali panowie, królowa starała się wprzód widzieć i mówić z nimi, aby ich sobie pozyskać.

Pomimo, to, w pierwszej chwili podzieliły się zdania.

Niektórzy już wiedzieli, a raczej domyślali się królewskiego wstrętu, i szli za nim, inni z królową i biskupem.

Na prawie równe dwa obozy rozłamała się rada.

Na Węgrzech widać było niewymowny strach i niepokój. Groziły im nietylko utrata posiłków, jakich się w rycerstwie polskim spodziewali, ale zemsta stronnictwa królowej Elży i tych wszystkich co z nią i Cillym Ulrykiem trzymali.

Powstały lamenta i najgwałtowniejsze odwoływania się do zawartych umów.

Przez cały dzień ten nie ustawała niepewność. Król się opierał, ani matka ani biskup niechęci jego do tego małżeństwa przślanać nie mogli. Uniikał nawet mówienia o tem.

Oleśnicki powołał do siebie Grzegorza z Sannoka, o którym wiedział, iż blizkim był młodego króla.

— Wpłyńcie na niego — rzekł. — Nie godzi się dla jakichś względów podrzędnych spuszczać z oczów sprawy najwyższej wagi. Turcy opanowali już Adryanopol, cisną się zalać i ujarzmić Europę, grożą cesarzowi w Konstantynopolu, grożą nam i całemu chrześcijaństwu, murem powinniśmy stanąć przeciw nim.

— Król gorąco tego pragnie — rzekł Grzegorz — ale małżeństwem się brzydzi, a ja do niego namawiać go nie mogę.

Oleśnicki się zmarszczył.

— To są płache względy — rzekł — krzywda się nikomu nie stanie. Warunki przyjęte zostały.

— Ja na króla wpływać nie potrafię — przerwał

Grzegorz—to rzecz królowej matki i wasza, miłościwy pasterzu. Słowo moje nie zaważy.

Z tem odszedł mistrz. Wieczorem król trwał jeszcze nieporuszony w swem postanowieniu.

Królowa widząc, że inaczej go niepokona, rzuciła się w inną stronę.

Zwołano rówieśników i towarzyszków króla. Tarnowskich, Tęczyńskich, Zawiszów. Wszystkim im żal było tej rycerskiej wyprawy, na którą się gotowali wielkiem sercem. Im poleciła Sonka, aby króla nawracali.

Przez cały też dzień następny, otoczony zasmuceniami twarzami i utyskiwaniami swych rówieśników, król począł żalować tego, że na wojnę przeciwko niewiernym nie wyjdzie.

Widać było wahanie. Szukał jakiegoś środka, któryby dozwolił i na Węgry iść, i małżeństwa nie zawierać.

Ta wojna z niewiernymi, która krucyatą być miała, sławną na świat cały, przez Rzym pobłogosławianą, zwyciężką, miała tyle dla młodych uroku.

Grzegorza z Sanoka nie powołał już król do siebie.

Węgrowie tymczasem nie tracąc chwili jednej, zabiegali na wsze strony. Doniesiono im o panach, którzy odradzali przyjęcie korony, udali się do nich, jednych błaganem, drugich ujmując obietnicami.

Sam biskup czynnym był wielce i gorliwym. Niektórzy w Radzie dali się jego powadze ująć, inni zamilkli.

Zbierano się razy kilka, rozehodzono z niczem. Król mileżał. Stronnictwo jego zmniejszało się, królowej rosło. Nie starając się syna przekonać, Sonka znajdowała stosowniejszem zyskać Radę i jej zdaniem zmusić króla do przyjęcia korony.

Wszystkie więc zabiegi skierowane były ku tym. co jak Jan z Tęczyna i kilku poważniejszych, króla dla siebie mieć chcieli, a Węgier się wyrzekali. Ci wkrótce pozostali w zmniejszającej się coraz garstce,

i odzywali coraz słabiej, mniej głośno. Stronnictwo królowej przemagało.

Unikając nalegania, którego się obawiał, król Władysław wyjechał na łowy, gdyż roku tego zima się przedłużała i trzymała ziemię pod śnieżną skorupą, chociaż zbliżała się już druga postu niedziela.

Pod niebytność króla w końcu na Radzie przewagę wziął biskup Zbyszek i posłów węgierskich uspokojono, że król przyrzeczenia dotrzyma.

Powracający Władysław, pomimo spóźnionej pory, zastał matkę oczekującą na siebie.

Oznajmiła mu bez przygotowania, stanowczo, iż wolą było wszystkich, zdaniem Rady, aby umowa utrzymana została.

Zmarszczony, milezący, Władysław wysłuchał tego wyroku. Nie mógł się razem matce i wszystkim sprzeciwić, lecz okazał, jak był nierad postanowieniu temu.

— Moje więc szczęście i przyszłość nie tu nie ważą!—odezwał się.

Z pieszczotliwym wyrazem, głaszcząc go pod brodę, zbliżyła się matka.

— Będiesz szczęśliwym, będziesz wielkim i sławnym!—zawołała.—Szczęście królów jest w ich potędzie... i w błogosławieństwie ludów, a ciebie niejednemu naród, ale cały świat chrześcijański wielbić i wynosić będzie, bo mu poświęcisz siebie. Co dla ciebie znaczy ta kobieta!—Ruszyła ramionami.

Nazajutrz powtórzyło się to samo z biskupem i przedniejszymi panami kady, którzy przyszli przekonywać, prosić, błagać, aby koronę przyjął.

Władysław był piętnastoletnim dzieckiem ryckim.

Daleko silniejszej woli i charakteru człowiek uległby był może takiemu naciskowi, natęczeniu, domaganiu się, prośbom i pochlebstwom. Smutny, zawstydzony własną słabością król mileżał, nie sprzeciwiał się już.

Głoszono, że przystał na wszystko. Wieść ta rozpuszczona po mieście złamała tych, którzy popierać chcieli Władysława.

Jeden Jan z Tęczyna sam przyszedł do króla ze współczuciem i żalem... a wychodząc od niego, spotkawszy biskupa Oleśnickiego, rzekł mu:

— Stanie się jakoście chcieli pasterzu, lecz pomnijcie słowa moje, bogdajbyście kiedyś nie żalowali tego, żeście gałązkę jagiellońskiego szczepu najdroższą, z ziemi, na której rosnąć i krzewić się była powinna, wyrwali!

Nazajutrz była to druga postu niedziela, jakby chciano postanowienie uczynić nieodwołalnem, biskup w katedrze na Wawelu zarządził uroczyste dziękczynne nabożeństwo. Biskup Jan z Segedynu, wszyscy posłowie węgierscy, mnogi tłum ciekawością ściągniętych ludzi, nappełnił świątynię. Król młody, królowicz Kaźmirz, królowa matka, dwór świetny i liczny, znajdowali się, przytomnością swą nświęcając ogłoszone korony przyjęcie.

Z kościoła wprost wszyscy szli do sali białej na zamek, gdzie król na tronie miał przyjmować węgierskich posłów. Weisnęli się do niej i ciekawi Turcy, oczekujący jeszcze na odpowiedź dla pana swego. Wymowniejszej nad to, co ujrzeć mieli, dać im nie można było.

Skończywszy przemówienie do Władysława, sędziwy biskup Jan dał znak swym towarzyszom i wszyscy padli na kolana przed młodym królem, błagając, aby ich nie opuszczał. To niespodziane upokorzenie się wzruszyło króla. Powstał z tronu, błędniejąc i rumieniąc się naprzemiany.

— Bóg mi świadkiem zawołaj podnosząc oczy— iż nie dla żądzy panowania, nie dla ziemskich widoków, przyjmuję ofiarowaną mi przez was dostojność, ale dla dobra chrześcijaństwa, dla obrony wiary.

Głos mu drżał i piękna twarz młodzieńca wyrażała taki jakiś zapal rzewny a smutny, brzmiało

to taką ofiarą wielką a szlachetną, że nawet królowej Sonce, stojącej zdala na podwyższeniu łyży się w oczach zakręciły.

Była to chwila uroczysta, w której niepojętym sposobem serca się wszystkim poruszyły jakimś przeczuciem bolesnem. W głosie króla brzmiało jakby jasnowidzenie męczeństwa i poświęcenia.

W takim uroczystem ducha podniesieniu, pocichu opuścili wszyscy salę i po chwili dopiero Węgrów zapal, radość i wdzięczność wybuchnęły.

Biskup Szegedynu nazajutrz powtórnie po wszystkich kościołach nabożeństwa dziękczynne odprawiać polecił.

Stało się, lecz Polacy, wyjawszy młodzieży, rwącej się do boju i chciwej przygód, teraz dopiero gdy młodego króla postradać mieli nie wiedzieć na jak długo, poczęli przewidywać, że ciężkiem będzie dla nich osierocenie.

Własne sprawy domowe wymagały oka gospodarza, a młody król w chwili, gdy się miał z niemi oswoić i uczyć panowania, opuszczał kraj, oddając się innemu narodowi.

Zostawała królowa, biskup i po staremu panowie małopolscy do rządzenia, żadnej nadziei, aby się co zmienić mogło. Nie zbywało na tych, którym wielkorządy wojewodów nie były do smaku, a odwołanie się do pana pożądanem.

Trwać więc miało bezkrólewie owo długie... bez końca.

Młodzież tylko widziała w tem wszystkim zręczność popisu z rycerską dzielnością, zobaczenia świata, zdobycia imienia. Pomiędzy nią panował zapal nadzwyczajny, radość, gorączka, którą Węgrowie opowiadaniem o kraju swym, jego bogactwie i piękności, podsycali.

Król nawet z początku smutny, dał się ożywić i temu usposobieniu, które go otaczało, pociągnąć.

Przy pierwszej jednak zręczności, spotkawszy

Grzegorza z Sanoka, uczuł potrzebę wytłumaczenia się przed nim ze zmiany.

— Kochany mistrzu—rzekł łagodnie—nie potępiaj ty mnie. Uległem, prawda, idziemy do Węgier, ale wszystko się może obrócić inaczej. Ja żnić się nie będę potrzebował i do korony jeszcze daleko!

Grzegorz nie powiedział nic, porozumieli się wejrzeniem tylko.

Wybór w podróż, której towarzyszyć mieli najprzedniejsi z panów i szlachty polskiej, pomimo przynagłania i pośpiechu, nie mógł się tak obyć skoro, jak żądano. Każdy z panów, z Tęczyna, z Koniecpola, ze Szczekocin, brał z sobą poczet znaczny, wozy i czeladzie, obfity rynsztunek wojenny, a wreszcie i bez grosza ruszyć nie mógł. Rozbiegli się wszyscy po dworach zbierać, ściągać, układać, co z sobą mieć musieli.

Królowa nastawiała, ażeby orszak syna jej był jak najświetniejszy i wielkie dał pojęcie Węgrom o bogactwach i potędze Polski. Sama ona z biskupem i królem dobierała osoby, które jechać miały do Węgier. W pierwszej chwili dla powagi, dla układów, dla zabezpieczenia się na przyszłość, biskup Zbigniew był koniecznym.

Sam on zgadzał się na to, aby króla odprowadzić do Bndy, tembardziej że i on i królowa, choć taili się z tem, wiedzieli dobrze, iż Elża królowa nie chciała znać narzuconego jej męża, i siłą tylko wywołano od niej zezwolenie na małżeństwo, z warunkiem gdyby nie miała syna.

Nie było wątpliwości, że wydawszy go na świat, tembardziej się oprze wyjściu za mąż.

Biskupowi miał towarzyszyć dziekan krakowski Łasocki i podkanclerzy Piotr ze Szczekocin. Jan z Tęczyna wojewoda krakowski, Przedbor z Koniecpola kasztelan, Wincenty z Szamotuł, Hincza z Rogowa, Mikołaj z Brzezia marszałek, Łukasz z Górki, wyznaczeni byli do orszaku poważnego, nie licząc



młodzieży najpierwszych domów, najstarszych rodów. Węgrowie naglili o pośpiech, o wyjazd, słusznie się lękając, aby zabiegliwa królowa nie zyskała sobie przyjaciół, nie utrudniała królowi objęcia rządów.

Tymczasem spiknęła się przeciwko pośpiechowi uparta zima, a raczej zbyt powolnie przychodząca wiosna, która się to obiecywała, to dawała zimie zwyciężać. Wody rozlewały szeroko, a lody stały i trzymały się jeszcze. Po odwilżach i deszczach chwytały mrozy silne. Podróż zwłaszcza ku Węgrom, w okolicach górzystych strumieniami a rzekami poprzerynianych, stawała się niepodobieństwem.

Potrzeba było czekać, a w owym czasie zabobonów, gdy wszystko uważano za znak z nieba i przestrożę, spóźniona wiosna była jakby oznajmieniem, iż król jechać nie był powinien.

Takich złych wróżb naliczono później bardzo wiele.

W istocie przeszkody do podróży się mnożyły. Z Litwy nadeszła wieść o zamordowaniu w. księcia Zygmunta, którego na Wilnie potrzeba było zastąpić nowym wielkorządcą, a dwa wrogie sobie obozy dzieliły na nieprzejednane zastępy, występujące do walki.

Królowa Sonka pamiętna zawsze, aby los synów zabezpieczyć, natychmiast powzięła myśl usunięcia obu stronnictw, a wysłania tam Kaźmirza, któryby w imieniu brata Litwę rządził. Nie mówiła o tem w pierwszej chwili, ale mając w Litwie przyjaciół i stosunki, znając ją dobrze, potajemnie wyprawiała swoich ludzi, aby namawiali Litwę do wezwania i dopraszania się o Kaźmirza.

Ponieważ współcześnie prawie mazowiecki książę zajął dawniej posiadany Drohiczyn, i obie te sprawy wymagały pilnego czuwania, król w początku spróbował niemi się od Węgrów uwolnić.

Lecz nie dała mu królowa mówić o tem nawet. Wszystko było w gotowości, panowie mający towarzyszyć ponieśli wydatki znaczne, podróż była zapowiedziana, cofać się nie godziło.

Nie brakło ludzi, co zastąpić króla mogli.

Wszystko zdawało się w pomoc przychodzić Władysławowi, aby go uwolnić od korony, lecz zapóźno.

Goniec nadbiegł z Węgier, zawiadamiając o tem, że królowa w Komornie, otoczona doradcami austriackimi, mająca z sobą Cillego i Garę, posłów Węgrów, których do niej wysłano z Krakowa oznajmując o Władysławie, kazała uwięzić.

Było to wypowiedzenie wojny.

Za węgierskimi posłami w ślad jadący do Elży Polacy Sędziwój Ostroróg i Jan z Koniecpola, dowiedziawszy się, co tamtych spotkało, przezornie zawrócili się z drogi, nie nie sprawiwszy.

Powrót ich wywołał ogromną wrzawę. Królowa, mimo że to byli jej pomocnicy i przyjaciele, przebaczyć im tego nie mogła, że się ułękli, dowodziła, że jechać do Komorna, bądź co bądź, byli powinni, i starać się przekonać królowę Elżę.

Znowu parę dni zapanowała niepewność. Król wahał się, dowodząc, iż wszystko się składało przeciwko podróży. Węgrowie przy swoim stali, a co dziwniejsza, biskup Zbigniew trzymał z nimi i dowodził, iż byłoby słabością i sromem ułęknać się i nie strzymać słowa. Wprawdzie królowa Elża siłą postanowiła się bronić, ale stronnictwo jej było słabszem, król prowadził z sobą wojsko, Węgrzy którzy go na tron wynieśli, stanowili także potęgę, z którą garść zwolenników królowej mierzyć się nie mogła.

Wyprawa jednak cała, która niedawno zdawała się pochodem zwyciężkim, teraz już jawnie zapowiadała walkę o koronę.

Biskup Jan Szegedyński zapewniał jednak, że dosyć będzie Władysławowi pokazać się tylko, aby sobie wszystkich pozyskać. Toż samo powtarzała matka, a rycerstwo otaczające króla, domagało się walki właśnie i niemal nią cieszyło.

Wiosna zawsze się jeszcze opóźniała. Od granic przychodziły wiadomości o ogromnych wód wylewach,

o niemożności przedarcia się tam. Wspaniały orszak, ciężkie ładowne wozy, czekać musiały.

Na zamku, w podwórcach wyglądało wszystko tak, jakby jutro miano w imię boże wyruszyć, ale nawet królowa, niecierpliwiąca się i pożądata, aby syn co prędzej uzyskał koronę, nie śmiała namawiać do podróży.

Wiosna nie przychodziła.

Natomiast usłużne gońcy od granic, codzień przynosili nowe wiadomości o królowej Elży, która z Cillym Uhykiem, Garą i Austryakami, sposobila się stawić opór i odwoływała do pomocy cesarza Fryderyka. Utrzymywano, że Cilly w pięćset koni już był się wyprawił zająć Budę dla królowej, gdy go Szymon Rozgon biskup uprzedził.

Rozpowiadano, że na wszystkie strony rozsyłała królowa z listami, obietnicami, i korzystała z czasu, aby polskiemu wybrańcowi zatamować drogę.

Nie mówiono o tem głośno w Krakowie, wcale przeciwnie puszczając pogłoski. Niemniej wiedział biskup Zbyszek i królowa, że układy, na które pozornie tylko Elża przystała, zerwane przez nią zostały.

Można było przewidzieć, że powrót do Polski nie nastąpi rychło. Ostatnie dni zajęło wyznaczenie wielkorządców. Przy królowej w Krakowie, po usunięciu Pileckiego, panem krakowskim i starostą został Jan z Czyżewa, do Wielkopolski jechał dawny marszałek dworu królowej, oddany jej i synom Wojciech Malski.

IV.

Wojna o węgierską koronę była, powiedzieć można, walką dwóch matek, dwóch królowych o losy ich dzieci. Sonka i Elża stały naprzeciw siebie, a królowa polska oddalona od miejsca, w którym dramat się miał odegrywać, potrzebowała większego wysiłku, przebiegłości, czuwania, niż Elża wdowa po Albrechcie, mająca za sobą i prawo spadku i znaczną zmarłego męża gromadkę przyjaciół, którzy przy niej spodziewali się panować, opiekując dziećmi.

Posłowie do Polski wyprawieni, biskup Szegedy, Talloczy, Peren i Marczalli zapewniali w Krakowie wybranego przez siebie pana, że wdowa zgodziła się wyjść za niego, zamierzeli wszakże, iż do ostatka kładła za warunek, jeśliby syna nie miała, a głos jakiś proroczy mówił jej, że Bóg da syna!

Okolo niej skupiali się wierni, hr. Ulryk Cilly bratanek, Gara i wielu innych austriackich szczególnie panów. W Czechach też jednę sobie zwolenników i poparcie miast niemieckich.

W końcu roku 1439, królowa przebywała w Wyszehradzie. Towarzyszyli jej tu biskup Rabski Benedykt, wojewoda Losonez, sędzia nadworny Stefan, hrabia Franciszek Csak, Stefan Rozgon, Peren i wielu innych panów, którzy wieruemi jej pozostali. Korona poświęcona królewska znajdowała się w skarbcu. Szło Elży, aby ją miała w rękę. W przytomności panów otworzono skarbiec, złamano pieczęcie pudła w którym spoczywała i wyjęto koronę. Złożyli ją potem przytomni w osobnej skrzynce, razem z mniejszą koroną królowych, a Elża wydała świadectwo hrabiemu Bösing, iż insignia odebrała.

Ale zaraz następnej nocy kosztowny ten klejnot

znalazł się w niebezpieczeństwie. W tej samej izbie, w której korona złożoną była, spała królowa z dwójgiem dziewcząt służebnych, Węgierką i Niemką. Przy łóżku królowej, wedle zwyczaju paliła się świeca, która spadła na skrzynię, zawierającą obie korony, i poduszki aksamitne na nich już płonęły.

Szczęściem przebudziła się stara, wierna sługa, Kottanerin, i pożar ugasiła.

Ale nazajutrz z obawy o poświęconą koronę, nazad ją do pudła w skarbcu złożono. W kilka dni potem niespokojna o zamek, królowa klucze odebrała hr. Bösing i oddała je stryjowi Władysławowi. Ten naznaczył od siebie burgrafa, i razem z królową odjechał do Budy.

Koronę mniejszą zachowała przy sobie królowa, a drzwi od skarbcu na Wyszehradzie dla bezpieczeństwa Gara chustą zawiąawszy opieczetował. Z Budy odjechała królowa do Wyszehradu, a Cilly Ulryk doradził jej, aby w jakikolwiek sposób koronę poświęconą dostała.

W pierwszych dniach stycznia, królowa znajdowała się już na Wyszehradzie. Mieszkała w dolnym zamku. Nie chciała się ztąd oddalić, chociaż mniej się tu czuła bezpieczną, choć Cilly i Gara doradzali przeniesienie się do Komorna, dlatego tylko, że tu miała na zamku, w skarbcu tę koronę królewską, której strzegła.

Bez niej, choćby chciano w Budzie koronować polskiego króla, obrzęd nie mógł przyjść do skutku.

Tymczasem stan zdrowia Elżbiety, wymagał bezpiecznego miejsca, w którymby słabość przebyła. Nalegano na to, aby się przeniosła do Komorna.

Królowa nie chciała myśli swej zwierzyć nikomu, bała się oddalić od korony.

Swoją, którą sama koronowaną była, miała już w ręku. Leżała ona ukryta pod łóżeczkiem córki jej Elży.

Korona królów zamknięta leżała w skarbcu.

Tę koronę, którą jej spodziewanemu synowi wydrzeć chciano, musiała dostać królowa!

Zmuszono ją niemal do przeniesienia się do Kormorna, królowa jednak pozostawiła w Wyszehradzie swoją żeńską służbę. Miała plan już osnuty. Koronę wykraść było potrzeba.

Do starych wiernych sług Elży należała Niemka Helena Kottanerin, kobieta prosta, pobożna, niezbyt przebiegła, ale oddana jej cała, taż sama, która jej raz od ognia ocaliła insygnia.

Nikt w niej nie mógł się ani domyślać nawet narzędzia, które posłużyć miało do wydobywania klejnotu tego z Wyszehradu, zapewniającego oczekivanemu synowi panowanie!

Królowa chora, blada, spłakana, chodziła ręce łamiąc.

— Heleno moja—szepnęła dnia jednego z gorączkowym wysiłkiem do starej slugi—ty musisz mi służyć, ty jedna możesz.

— Al jabym za ciebie życie dała, królowo moja—odparła Niemka podnosząc zapracowane ręce—ale cóż ja mogę.

— Pan Bóg pomoże! Opieką swą osłoni cię patronka moja Elżbieta której relikwie złożone są w kaplicy na Wyszehradzie—mówiła królowa z gorączkowym pośpiechem. — Pojedziesz po dziewczęta moje, pozostałe w Wyszehradzie. Mieszkają na zamku... tuż przy izbach, które zajmują, jest wnijsię do skarbea. Zamki potrzeba wyłamać! koronę królewską trzeba dostać i przywieść tu, aby tego króla cudzego ukoronować nie mogli. Ja ją mieć muszę!

Kattanerin przeległa się srodze i drzeć zaczęła.

— A jakże ja tego dokazać potrafię!

— Weźmiesz wiernego sługę do pomocy... wybierz sobie kogo chcesz — kończyła królowa obejmując ją białemi rękami. — Drzwi są opieczętowane, dam ci



małą pieczęć moją, abys ją przyłożyła na nowo. Nocą wylamać zamki łatwo. Al tę koronę, tę koronę, mój syn... bo ja muszę mieć syna, winien ci będzie!

Szaloną myśl, którą tylko miłość matki natchnąć mogła, raz powziąwszy, Elża nie ebeiała się jej wyrzec. Z chorobliwą natarczywością zmusiła niemal przerażoną Kattanerin, aby zgodziła się na wykradzenie, i wyprawiła ją natychmiast.

Miesiąc zaledwie upłynął od przeniesienia się do Komorna, gdy Niemka dobrawszy sobie pomoenik-w prostym ale odważnym sludze, który miał jej toa warzyszyć, dnia jednego rano bardzo puściła się do Wszebradu, modląc przez całą drogę.

Było to w styczniu, sanna trzymała jeszcze, Dunaj okryty był lodem. Magyar, człek silny i pewny, wiedział co miał do spełnienia w Wszehradzie, ale się ważył, spodziewając nagrody od królowej. Zabrał z sobą na zapas zamki, aby mieć czym polamane zastąpić, pod suknią je krył, a w buty pochował piłki i pilniki.

Przed wieczorem stanęli na zamku. Kobiety królowej i mała Elża, księżniczka szlązka, pozostawione tu same, znudzone, stęsknione, powitały przybywającą po nie Kottanerin z niewymowną radością.

Stara oświadczyła im, że królowa ich potrzebuje i natychmiast kazała im się gotować do podróży nazajutrz. Mnóstwo rzeczy miały zabierać z sobą, pośpiesznie chodzono, szukać desek i zabijać skrzynie.

Przygotowania te trwały do ósmej wieczorem, na zamku chodzono, krzątano się, stukano, pakowano; pełno było ludzi i nie poczynać nie mogli. Obejrzał tylko Magyar miejscowość, obmacał drzwi opieczętowane. Wsunął się do izby dziewcząt, żartował z niemi, śmiał się, swawolił, a tymczasem rozmyślał co ma robić.

Sam on z pomocą słabej i przestraszonej kobiety, nie mógł temu podolać, poszedł więc szukać

pomocnika dobrej woli i znalazł go w prostym parobku, którego związał najuroczystszą przysięgą.

W jednej z izb miały spać dziewczęta królowej, tuż obok w drugiej Kottanerin. Z tych, drzwi prowadziły do skarbcza opieczętowanego. Z drugiej strony przaz sień była zamkowa kaplica.

Zima była ostra, izby potrzebowano opalać do brze, przynoszono drzewka, i Magyar, dosyć nieostroźnie przywiezione pilniki wetknął tymczasem pomiędzy drzewka przy kominie. Służba, która drwa zносиła, dobyła je na wierzeh!

Sługa zobaczywszy to, zbladła jak trup, ledwie mógł chowając je gdzieindziej, przemówić do Kottanerin.

— Na miłość Bożą, starajcie się, aby nam światła nie zabrakło! Świec potrzebaj!

On i stara Helena, chociaż nie wyrzekali się myśli wykradzenia korony, najnieczgrabniej się brali do tego, ale może właśnie dlatego nikt ich nawet o nic nie posądzał.

Była to sobota, wigilja przed niedzielą zapuszną. Do posług miała Kottanerin, z zamku starą babę, która po niemiecku nie rozumiała, ospała była i ograniczona. Od tej zażądała, aby jej dużo świeczek dostarczyła, bo wieczorem ma bardzo długie do odmawiania modlitwy.

Ale dostawszy świece Kottanerin, niespokojna i tehrzliwa, postąpiła z niemi tak, jak jej towarzysz z pilnikami, schowała je gdzieś, zapomniła gdzie i znaleźć potem nie mogła. Wszystko się zdawało składać jak niefortunniej.

Dziewczęta pakowały zbyt długo swoje galganki i Kottanerin musiała w końcu kazać się im spać kłaść co rychlej. Zmęczone, szczęściem, pokładwszy się w drugiej izbie, wkrótce się pospały.

Baba posługująca położyła się w izbie Kottanerin, ale tej się nie obawiała, bo wiedziała, że sy-  
pia twardo.

Nadchodziła noc. Naostatek Magyar, który miał korony dobywać, przyszedł pociechu pode drzwi od kaplicy i zastukał.

Oczekująca na niego Helena wstała, otworzyła mu i drzwi za nim zasunęła... Mogła się przestraszyć, bo prowadził z sobą namówionego parobczaka, o którym weale nie wiedziała...

Zaręczył jej, że poprzysiągł milczenie.

Zaczęto naprzód świec szukać.

Niestety, były tak dobrze schowane, że Kottarinu, zrozpaczona, weale ich znaleźć nie mogła...

Tymczasem kury piałły...

Przełach ją ogarnął niewymowny. Bez światła kroku zrobić nie było podobna. Musiała więc pomocników nanowo odprawić, starą, twardo śpiącą babę obudzić, posłać ją znowu po świece i czekać aż potem usnie.

Godziny upływały. Do wydobycia korony, łapania kilku zamków, do przybijania nowych czasu wiele było potrzeba...

Baba wyszukała świece, przyniosła je, położyła się, usnęła.

Magyara wpuszczono znowu, zapalono je, zabrał przywiezione zamki i pilniki. a w dodatku małą pieczęć królowej. aby drzwi główne skarbcu, zawiązane chustą, otworzywszy, nanowo opatrzyć pieczęcią.

Zaczęło się dobywanie, odjęto chustę, przepiłowano zamek pierwszy i oba pomocnicy weszli do izb prowadzących do skarbcu.

Ale piłowanie i odrywanie nie obeszło się bez stukotu, a na zamku jeszcze ludzie, zajęci przybierami do podróży, nie spali.

Chodziły strażce...

Zdawało się, że chyba cudem, pogłuchną i posłyszawszy bałas, nie nadbiegną. Światło też zdradzało w oknach...

Kottarin w trwodze niewysłowionej, co chwila,

co sekunda spodziewała się być odkrytą i pochwyconą. Ani ona, ani jej pomocnicy nie mogli zdradzić królowej, czekała ich więc kara za rabunek skarbu publicznego... Śmierć!

A śmierć naówczas, gdy występki był zuchwały, zadawano taką, aby winowajca cierpiał; sprawiedliwość była okrutną.

Niemka ze strachu uknęła na modlitwę, prosząc Boga, aby dla miłości królowej pomógł biednej i ocalił ją. Gdyby zaś zginąć miała, aby się nad jej duszą zlitował...

Wśród rzewnej modlitwy, w nocnej ciszy, przerywanej tylko dochodzącym ze skarbcza stukiem, nagle usłyszała Niemka pod samymi drzwiami jakby ciężki ebód uzbrojonych ludzi i chrzęst oręża... Czekala już tylko, rychło drzwi wyłamią.

Nie wiedząc, co począć, porwała się biedz, przestrzedz praeujących, aby poprzestali; ale na myśl jej przyszło naprzód zbliżyć się do drzwi, od których dochodził ją szelest...

Wtem ustał on, zrobiło się cicho znouu.

Kotterin najmoeniej była przekonana, że upiory i strachy narobiły tej wrzawy, padła więc znouu na modlitwę, ofiarując się odbyć boso pielgrzymkę do Maria-Zell, miejsca cudownego, a dopókiy ślubu tego nie dopełniła, wszystkie soboty, na pamiątkę tej, sypiać bez pierzyny, dziękując Bogu i N. Pannie za ocalenie i opiekę...

Wtem w ezasie modlitwy pod drugimi drzwiami, do izby, w której spały służące królowej, dał się słyszeć taki sam chrzęst i hałas...

Tym razem Kottancrin ze strachu straciła zupełnie przytomność, zaczęła drzeć, potnieć, była pewną, że nie strachy, nie upiory, ale ludzie idą, usłyszawszy hałas, chwytac ich na uczynku...

Nie wiedząc, co z sobą robić, czekała tylko, czy przebudzone dziewczęta nie poczną krzyzczeć. Pobięła pode drzwi, ale hałas natychmiast ustał.

Kłękła tedy Bogu dziękować, utwierdzona w tem przekonaniu, że wszystko to było nieczystą sprawą szatana.

Tymczasem niepokój nowy.

W skarbcu zrobiło się cicho, ludzie nie powracali, a przez drzwi niedomknięte zaczynało być czuć spaleniznę i dym...

Chciała iść zobaczyć, co się dzieje z pomocnicami, gdy naprzeciw niej wyszedł Magyar, oznajmując, że mogła być spokojną, bo od drzwi zamki już poodrywali.

Ale w skrzynce, w której spoczywała korona, zamek był tak mocno przytwierdzony, iż ani go odpiłować ani wyłamać nie było można. Musieli więc go opalać, a od spalenizny tej powstał taki swąd i dym, że go wszędzie czuć było ..

Nowa więc trwoga, modlitwy jeszcze gorętsze.

Robota około ostatniego zamku trwała bardzo długo, naostatek dobyto z pudła koronę... Trzeba było napowrót zamki przytwierdzać dla niepoznaki, a w głównych drzwiach chustę jak była przypieczutować.

Wszystko to wiele jeszcze czasu zabrało... Naostatek piły i połamane zamki wrzuciwszy w miejsce bezpieczne, w których ich nikt szukać nie mógł, Kottanerin z pomocnikiem zaniósła koronę do kaplicy, w której ołtarzu znajdowały się relikwie św. Elżbiety, patronki królowej.

Tu ze strachu ofiarowała się biedna Niemka, za mające się popełnić świętokradztwo, w imieniu królowej, sprawić nowy ornat i pokrycie do ołtarza...

Wzięto bowiem z niego czerwoną aksamitną poduszkę, rozdarto ją, wyrzucono z niej część pierza, włożono do środka koronę i Kottanerin zaszyła ją jak była...

Nim się to wszystko wykonało, dzień dobry robić się zaczął, wszyscy na zamku i służące po-

wstawaly, ruch powstawal. Czas jechać było. aby stanąć w Komornie.

W ostatniej chwili już o mało stara baba nie zdradziła ich mimo woli.

Wynosząc koronę ze skarbea, zabrano z nią część złamanego futerału, który pozostał na ziemi i baba go podniosła. pokazując a pytając, co to było?

Starą tę, która dziewczętom usługiwała, wziętą z Budy, królowa, jako niepotrzebną już kazała opłacić i odprawić ztąd do domu. Z wieczora była już zaspokojona, ale kręciła się jeszcze, i ów futerał eiekawość jej oludził..

Kształt jego zdradzał koronę, którą okrywał.

Kottanerin, prawie nieprzytomna ze strachu znown. pochwyciła z jej rąk połamane szczątki i eo prędzej rzuciła do pieca. Szczęściem nikt nie zwrócił na to uwagi, ale obawiała się już babę zostawić tu. aby nie plotła, i niby przez miłosierdzie nad nią, zaofiarowała się zabrać z sobą i wyrobić łaskawy chleb w Sankt Merten...

Wreszcie już wyjeżdżać miano... Ładowano, wynoszono, pakowano sanie i wóz. Koronę w poduszce potrzeba było nieznacznie przenieść, Magyar kazał słudze, który mu pomagał wziąć ją na ramiona i umieścić w sianach, na których on i Kottanerin jechać mieli.

Wziął tedy drogocenny pakunek chłop, a w dodatku okrył go ogromną skórą krowią wyprawną z długim wiszącym ogonem, który z tyłu spadał i we wszystkich przypatrujących się odjazdowi fraucymneru wzbudził śmiechy szalone.

Ruszyły sanie z pod dolnego zamku w Wyszegradzie, ale za nimi w ślad biegła trwoga, aby nie odkryto, eo się w nocy stało, nie wysłano pogoni i nie pochwyceno rabusiów

Kottanerin usadowiła się wprost na poduszce z koroną, choć nie bardzo jej wygodnie być musiało.



Co chwila ona i jej towarzysz oglądali się i przyślechiwali, a nuż! gonią.

Na zamku wszakże ani drzwi popsutych, ani w kaplicy nieładu nie dostrzeżono...

Pomimo pośpiechu w pół drogi popaść było potrzeba. Magyar z sań zdjął poduszkę i dla bezpieczeństwa położył na stole przed Niemką, aby ją ciągle na oczach miała.

Na tem nie koniec.

Noe już była czarna, gdy nadciągnęli nad brzeg Dunaju, naprzeciw Komorna. Tu rzekę po lodzie przebyć było potrzeba...

Puszczono się wprost, nie przypuszczając, aby lód mógł osłabnąć.

Wtem na samym środku rzeki wóz, na którym jechały dziewczęta królowej, zalał się.

Krzyk, trwoga, popłoch niesłychany. Kottanerin nie o sługi, nie o księżniczkę szłażką, ani o siebie nawet nie chodziło, ale o tę z trudem takim zdobytą, oczekiwaną tak niecierpliwie przez królowę koronę, od której w przekonaniu jej, losy potomka zawisły!

Prawdziwym cudem nie utonął jednak nikt, dziewczęta się na sianie przesiadły, korona ocalała\*).

Oto i zamek w Komornie. a w oknach światło u królowej, która się modli, rozpacza, i płacze...

Elza przez cały ten dzień z największym niepokojem wyglądała powrotu sługi, a gdy ją oznajmiono, przywitała okrzykiem radości. Kottanerin, chwielejając się osłabła, niosła swej pani poduszkę!

Wzruszenie biednej wdowy było tak wielkie, iż za ledwie uściskawszy wierną swą Helenę, zachwiała się i osłabła, musiała pójść do łóżka...

---

\*) Opowiadanie własne Kottanerin służy za podstawę.  
P. A.

Przestrach i radość przyśpieszyły spodziewane narodziny. Tejże nocy nadedniem wydała na świat pogrobowca.

Mileczenie panowało w komnacie, i nie śmiała spytać drżąca matka, czy Bóg spełnił jej życzenia.

— Syn!—zawołały kobiety.

Królowej krzyk radosny rozległ się po zamku...

Syn! król! — powtarzano po podwórcach. Syn!

Było to oswobodzenie się od małżeństwa, od niewoli!

Arcybiskup Denis Szechy tegoż dnia ochrzcił go, dając mu imię Władysława, jakby umyślnie na przekorę temu jednoimiennemu wybrańcowi, którego im narzucano.

Przyjście na świat pogrobowca nową siłą dało królowej, która w imieniu swego dziecięcia, postanowiła bronić się do ostatka... przynosił z sobą wojnę...

Rozumieli to posłowie węgierscy w Krakowie, usiłujący pośpieszyć z królem do Budy, i nimby Elża do oporu przygotować się mogła, ukoronować go... Nie wiedziano o tem, że z Wyszehradu korona była wykradziona, i że wkrótce niemowlęciu miano ją włożyć na skronie, aby polski król nie mógł ani jej dostać, ani się ważyć stanąć przeciw pomazańcowi!

Wiadomo, jaką wagę w tych wiekach przywiązywano do poświęconych insygniów, do starych koron, które przynosiły z sobą błogosławieństwo i nadawały prawo władania narodem...

V.

Przyszła nareszcie oczekiwana wiosna, lody puszczaly, wody zbiegaly, odsłaniał się błękit niebios i ptactwo przylatywało z południa...

Wyprawa na Węgry, pod jakąś niedobłą wróżbą, którą czuli wszyscy, choć nikt się do tego nie przyznawał, wyruszyć miała z Nowego Sącza... Tu wszyscy na króla oczekiwać mieli, który w części dla przyjęcia posła papieżkiego, w części dla niewytłumaczonego jakiegoś ociągania się, którego sam sobie nie tłumaczył, bawił jeszcze z bratem w Krakowie.

W chwili gdy już miał kraj opuścić, chociaż rycerska ochota ciągnęła go, żal jakiś, tęsknota i niepokój wstrzymywały.

Dwaj bracia, choć parę lat wieku ich rozdzielało, zrosli tak byli z sobą razem, nigdy się prawie nie rozstając, nawykli do jednych zabaw, wspólnego życia, że teraz na myśl rozdziału obu im lży prawie mimowoli wilżyły oczy...

Tysiąc rzeczy mieli do powiedzenia i do polecenia sobie.

Władysławowi ani Tarnowscy ukochani, ani inni towarzysze nie mogli zastąpić brata! Kaźmirz czuł się także sierotą bez niego...

Jego miano wyprawić na Litwę, w której się wszystko burzyło, gdzie go czekali zazdrośni i niechętni.

Lecz matka rozkazywała, kraj tego po nich żądał, wiedzieli zawczasu, iż ich dostojność wielka była największą niewolą.

W Sączu oczekiwała już na nich matka, która wyprzedziła Władysława, aby go tam pożegnać raz

jeszcze biskup Zbyszek, całe grono panów, którzy mieli pozostać, i tych, co mu towarzyszyć mieli...

Z widocznem ociąganiem się Władysław ruszył z Krakowa... W progu obejrzał się na stare zamczysko... to gniazdo, w którym zrosł; potem szedł na Wawel pomodlić, potem pięknego dnia wiosny, z małą garstką, wyjechali tak smutni, jakby się dla nich młodość na progu skończyła...

Grzegorz z Sanoka towarzyszył też królowi. Miał on prawdopodobnie powrócić jeszcze do Krakowa, ale i ten jechał pogrążony w jakichś przeżuciach czarnych. U wrót zamkowych stali ludzie, pragnący raz jeszcze zobaczyć młodego króla. Tu stała i pani Frączkowa z matką...

Mistrz jadący w orszaku opuścił go na chwilę i zbliżył się do nich... On, im był smutniejszy, tem zawsze mniej z ludźmi dzielił się tem, co mu dolegało. Uśmiechał się.

— Spodziewam się — rzekł z udaną wesołością do kobiet, które chustki przy oczach trzymały — że z Węgier gościńca przywiezie pięknego. Ludzie głoszą, że tam się drogie kamienie po gościńcach walają!

— Wracajcie tylko sami cali i zdrowi! — zawołała Balcerowa, córkę wyręczając — a już gościńca od was nie zażądamy.

— Bóg łaskawy! — rękę wyciągając, dodał mistrz, i skinąwszy, orszak już oddalający się napełniać musiał.

Nie był on przesadnym wcale, naówczas jednak nawet umysły tak jasno widzące jak jego, uległy temu powszechnemu przekonaniu, iż Opatrzność ostrzega człowieka, gdy mu grozi niebezpieczeństwo...

Rzadko tyle się razem zbiega złych wróżb, jak przed tą królewską podróżą. Nie było prawie dnia, nie było przy wyborze wypadku, któryby się nie odznaczył jaką przeszkodą, zawadą, groźbą.

Konie króla chorowały, ludzie mieli przeczucie jakiegoś i wymawiali się od służby, nikt nie szedł

ochotnie... Smutek ciężki na wszystkich... Zaledwie wyjechawszy z zamku król z bratem, postrzegł z daleka ciągnącą na wozie trumnę, która mu drogę przejechała. Nie uszło to baczości towarzyszków jego. Wprawdzie, wedle ludowych przekonań, trumna i pogrzeb nie rokowały nic złego, lecz wrażenie czyliły przykre. Ani król, ani Kaźmirz nie rzekli słowa, udali, jakby nie widzieli... Nie śpieszono też wcale...

Pierwszego dnia zaledwie dojechawszy do Wielezki, Władysław stanął tam i zatrzymał się.

Zapomniano relikwii, które król miał wziąć z sobą i posłano po nie do Krakowa...

Drugiego dnia nocowali w Niepołomicach, tu napędził ich komornik z relikwiarzem... Ulubiony sokół Władysława zachorzał i zostawić go musiano. Ze zwieszoną głową, z najeżonymi piórami, nie chcąc jeść, siedział jakby czekając śmierci.

Królowi tak go żal było, że ztąd wyjazd do Bochni przyspieszył.

Czwartego dnia znaleźli się w Sączu, który podobniejszy był do wielkiego obozowiska, niż do małego miasta...

Spodziewano się jednak daleko większego zjazdu. Na zamku dowiedział się Władysław, że bardzo wielu z tych, którzy mu towarzyszyć mieli, do tam nie przybyli. Brakło tych prawie, na których najwięcej rachował. Królowa i biskup obstawali przy tem, aby poczet był jak najświetniejszy, a ci co mu dodać mieli blasku, właśnie dlatego, iż się kosztownie sztyftowali, gotowymi na czas nie byli.

Władysław niemal był rad zwłoce... tak mu się krajn opuścić nie chciało; ale królowa matka, widząc to, wesoło, natarczywie budziła w nim męstwo i ambicję.

Nie dano zresztą królowi myśleć o sobie... narzucano mu wyznaczenie rządców, kasztelanów po grodach, towarzyszków i opiekunów dla brata.

Władysław losem Kaźmierza gorliwie się zaj-

mował i to jedno go żywiej obchodziło. O Węgrzech nie mówił, a gdy zagadywano, odwracał rozmowę.

Wyposażenie brata, koszta ogromne podróży, obowiązek pomagania rycerstwu, które z nim szło do Węgier, zmusiło króla — przy wyczerpanym skarbie — zaciągnąć wielki dług u biskupa krakowskiego, który zastawem wziął ziemię Spiską.

Szemrano na to...

Układy, przygotowania, oczekiwanie na spóźnionych panów przeciągnęły pobyt w Sączu aż do czwartku przed św. Wojciechem.

Chociaż brakło jeszcze bardzo wielu z rycerstwa, dłużej już na nich oczekiwać nie było podobna.

Ci, którzy się opóźnili, mieli króla dognać na Węgrzech.

Pomimo to dwór i wojsko, które miało przekroczyć granicę, było tak świetnem, pięknem i takim duchem ożywione, że wobec rycerstwa chrześcijańskiego wszech krajów Europy, na równi z nimi stanąć mogło.

Co było zacofanego, uboższego, mniej wytwornie uzbrojonego, pozostawało w kraju. Kwiat i wybór wychodził z młodym panem.

Smutne było pożegnanie; król ukląkł przed matką, aby go pobłogosławiła, uściskał brata i milczący poszedł dosiąść konia, który, zwykle łagodny i spokojny, zbliżyć się do siebie nie dawał.

Wszystko to miało w uroczystej chwili znaczenie...

Niewesoła była podróż do węgierskiej granicy i Keszmarku, gdzie na opóźnionych oczekiwać miano... Tu Szymon Rozgon, biskup jagierski, który świeżo opanował dla młodego króla i osadził Preszów, przybiegł witac w poczcie znacznym węgierskich panów.

Ten pierwszy dowód, iż wybrany miał przyjaciół, którzy go wszelkimi siłami na tronie utrzymać postanowili, jeżeli nie dla Władysława, to dla biskupa Zbyszka i innych był wielce pocieszającym.



Grzegorz z Sanoka, który starał się odgadywać uczucia, jakie króla ożywiały, nie dostrzegł w nim ani radości, ani nawet młodzieńczego ożywienia. Jak gdyby przeczuwał, co go czekało, był ciągle pogrążony w sobie i milczący.

Dla Węgrów potrzeba się było zatrzymać w Kieszmarku i dla naganiających pocztów. Przez cały ten czas młody pan, posłuszny skinieniom biskupa Zbyszka, obracał się, wychodził, mówił co mu doradzono, ale nie dał znaku własnej woli.

Drugiego dnia wieczorem, gdy się opóźnionych spodziewano, a szczególnie marszałka Ryterskiego, którego król z sobą mieć żądał, i Mikołaja z Szarleja, niespodzianie zjawił się poczet Litwinów. Ci dniem i nocą gnali za Władysławem, aby u niego się dopraszać wysłania co najrychlejszego brata Kaźmierza na Litwę.

Wyjazd ten już był postanowiony, ale Litwini. Andruszko, Dowojna i Raczko, chcieli jak najprędzej mieć księcia, aby Michał nie zasiadł się w Wilnie. Malowali oni nierozważnie, gadatliwie stan Litwy tak groźnym, rozdzielenie, wojnę domową, tak niebezpieczeństwem brzemienne, że nawet biskup Zbyszek na chwilę się czuł tem zaniepokojonym.

Grzegorz z Sanoka miał sobie izbę wyznaczoną nieopodal królewskiej, i zdziwił się, późno w noc widząc Władysława, który już był suknie z siebie zrzucił, w jednym kaftanie, wchodzącego do ciasnej komory, jaką zajmował.

Chmura jeszcze widoczniejsza niż zwykle okrywała czoło młodego pana.

— Cóż ty na to wszystko? — odezwał się od progu. — Nieprawdaż, mistrzu Grzegorzu, że uczynilibyśmy oba lepiej zawracając nazad do Krakowa! Zważ, proszę, na Litwie się burzy wszystko, tam potrzeba kogoś... a mnie ślą na zdobycie królestwa nowego, w którym się nieutrzymam? Wierzę w roznę i radę zawsze zdrową biskupa Zbyszka, ale w tem

go nie poznaje. Kaźmirz sam na Litwie, nawet z pomocą dodanych mu, trudnoby sobie poradził. Młody jest i dobry. Nashy tam dwu nie było za wiele. Mam ochotę rzucić tę całą wyprawę, a! i powrócić do Polski.

Oczy mu błysnęły.

— Do Polskil do Krakowa! Po co mam wydierać królestwo cudze, gdy we własnem tyleby było do czynienia!—dodał król, ręce ściśnięte zwieszając.

— Miłościwy panie — rzekł odwracając się ku niemu Grzegorz. — Wszystko to prawda, ale przychodzi zapóźno. Litwie, dla Boga, żadne nie zagraża niebezpieczeństwo.

Zmarszczył się król słuchając.

— Nie o Litwę idzie—dodał mistrz—ale wam srodze żal Krakowa!

— Al tak! i z tem się nie taję przed tobą—rzekł Władysław porywczo—a sędzę, że i drudzy to rozumieją. Tak jest! tęskno mi za Krakowem. Jam tu obcy... a nawet ten tak przyjazny biskup Szymon, co zajął Preszow dla mnie, nie tai, że mnie tu bój i walka czeka. Królowa ma Niemców, ma cesarza za sobą, Czechów i znaczną część węgierskich magnatów.

— A znaczniejszą jeszcze odezwał się Grzegorz—wy, miłościwy królu mieć będziecie, bo ich pozyskanie łatwo. Cofać się zapóźno! Ja tak, jak wy, więcej czuję wstrętu, niż powołania do tego zdobywania Węgier, lecz wrócić zawsze czas będzie. Teraz wyprawa postanowiona, pierwsze kroki uczynione... jesteśmy już na tej ziemi. Ludzieby tłumaczyli obawą powrót do Polski.

Władysław poruszył się cały.

— Obawą! Ja się nie lękam niczego—zawołał dumnie — oprócz bym przeciwko sumieniowi własnemu nie wykroczył!

Grzegorz stał milczący, król przeszedł się po małej izdebce.

— Masz słuszość — rzekł — rycerzowi nie godzi się dać posadzić nawet, że się uląkł czegokolwiek. Zwyciężywszy nieprzyjaciół, rzucę im to królestwo pod nogi... z ich królową razem.

Z gorączką jakąś wyrzekł to młody pan i jeszcze raz powtórzył:

— Mogliby to tłumaczyć obawą! Musimy więc iść—dodał wzdychając.

— Miłościwy panie—szepnął Grzegorz—idźmy tylko z temi uczuciami, jakie dziś masz, a nie uczynimy nic przeciwko sumieniowi.

Węgry oddały ci się, bo się czują zagrożone bo Niemców nad sobą mieć nie chcą; zaufaniu ich i miłości trzeba odpowiedzieć... ofiarą.

— Wielką i gorzką ofiarą—dodał król.—Jutro rada... spodziewam się mieć za sobą ludzi, których o strach posadzić nie będzie można. Będę milczał... lecz jeśli oni postanowią, że Polsce naprzód służyć nam należy. posłucham ich z radością i... powrócę.

Na samą tę myśl powrotu, twarz piękna króla rozjaśniła się.

— Mistrzu mój!—westchnął—a! gdyby wrócić było można.

Nic mówili więcej.

Nazajutrz Zbyszek biskup przyszedł króla wziąć na radę. Oprócz niego znaleźli już zgromadzonych w dolnej sali: Jana z Tęczyna krakowskiego wojewodę, Przedbora z Koniecpola, Wincentego z Szamotuł, Piotra ze Szczekociu, Rafała z Obidzowa, Hinczę z Rogowa i innych

Dowojna ze swym towarzyszem znajdowali się tu także, wywodząc już żale nad stanem Litwy i konieczność szybkiego ratunku.

Król wszedł poważny nad wiek, milczący i zajął miejsce swoje.

Zamilkli wszyscy, spodziewając się, że Zbyszek

zagai to posiedzenie, gdy król po małej chwili odezwał się sam.

— Czynię was sędziami tego, co najpilniejszem mi się widzi. Sądziłiśmy, że wybór był zgodny; tymczasem widzimy już coraz dobitniej, że królestwa i korony orężem się dobijać potrzeba. Nie lepiejżby było poczekać, aż się Węgrowie zgodzą i wybór ten nznają, a teraz powrócić do Polski?

Spojrzał po przytomnych, którzy czas jakiś milczeli. Marszczył się biskup krakowski.

— Zaprawdę nie będę tań wtracił Jan z Tęczyna — że ja zupełnie podzielam to zdanie. Czekaj nas tu wojna... a król, co przelewając krew przyszłych poddanych, dobijać się musi panowania.

Nie dał mu dokończyć biskup krakowski.

— Garść warcholów jest przy królowej, wszystko co zaciejsze z nami! — zawołał. — Mam ufność w Bogu, że tak jak Preszow się poddał, inne miasta przyniosą nam klucze. Szymon biskup jagierski ręczy nam za to.

Za biskupem zaczęli odzywać się inni, potakując mu i twierdząc, że cofać się byłoby sromem i zawodem uczynionym narodowi, który Polsce i królowi jej zaufał.

Jeden tylko wojewoda krakowski i Przedbor z Koniecpola, z królem trzymali. Władysław, raz wypowiedziawszy myśl swoją, nie odzywał się więcej. Słuchał dając tylko oznaki, iż mimo zdania większości, on zostawał przy swoim. Rada przez ciągnęła się długo, na ostatku stanowczy opór biskupa Zbyszka zamknął ją postanowieniem, że na Węgry cześć i dane słowo iść zmuszało. Sędziwój z Ostroga, wojewoda poznański, poparł to zdanie, Jan z Tęczyna i Przedbor z Koniecpola umilkli. Król powstał nie odzywając się już i salę obrad opuścił.

Zatrzymano się jednak przez dni kilka następnych w Kieszmarku. Szło o powierzenie zamku i miasta Polakowi lub Węrowi. Panowie polscy

raili Dzierżka z Włostowie, biskup Szymon Węgra Mikołaja Peren, za którego ręczył. Król rozstrzygnął za ostatnim, znajdując, że nieznanemu kraju, choćby najdzielniejszemu rycerzowi, tak ważnego grodu dawać nie było można.

W dzień Ś Floryana, patrona Krakowa, ruszył wreszcie król z obozom i dworem z Kiesznarku, tak ponury i milczący jak tu przybył, smutniejszy może jeszcze.

W Sobinowie powolny pochód musiał się znowu zatrzymać, bo tu króla napędził poseł nowo obranego papieża Feliksa V., chociaż Eugeniusz IV żył i panował na Apostolskiej stolicy. Zdawało się, że co krok nowego coś opóźnia naumyślnie dalsze posuwanie się w głąb kraju.

W Przeszowie obchodzono uroczystość Ś. Stanisława. Tegoż dnia niesłychanej wielkości grad spadł na obóz królewski, co w umysłach, już po trwożonych, nową było przepowiednią złowrogą. Mnożyły się te oznaki.

Dwór króla pragnąc go rozerwać, nazajutrz po drodze do Rozgonu, namówił Władysława, który myślistwo z sokoły lubił, aby z niemi na kaczki zapo- lował.

Ten, który pierwszy myśl tę poddał, ulubiony królowi pisarz jego Jan syn Sęka z Sennowa, puścił się zapalczywie za sokołami ku rzecce... i utonął.

Nie śmiano dać o tem znać królowi, który był do niego przywiązany, lecz i zataić nie było podobna. Musiano się zatrzymać po drodze w Wisdowie dla uroczystego pogrzebu, na którym smutniejszy niż kiedy król sam się znajdował.

Z każdym dniem pochód się stawał mniej wesółym, a wszyscy mimowolnie czuli się ogarnięci jakąś trwogą i niepokojem. Jednym, co nigdy żartować i drugich rozśmieszać nie przestawał, był znany z niewyczerpanego humoru swojego Wincenty z Szamotuł kasztelan międzyrzecki.

Poważny mąż, wieku już dojrzałego, sam nie śmiejący się nigdy, odwagi i zimnej krwi niczem niezamąconej nigdy, kasztelan miał taki sposób wyrażania się, że najsmutniejszych pobudzał, choć chwilowo do śmiechu. Dodawano go też królowi do boku, aby czasem rzucenem słówkiem, młodego pana rozchmurzył; lecz i to niewiele pomagało.

Droga wiodła do Budy, której wprędce spodziewano się dosięgnąć, gdy nadechodzące wieści o wyprawie hr. Cilly z poczem zbrojnym dla opanowania jej, między Węgrów towarzyszących królowi popłoch rzuciły.

Szymon biskup jagierski, Wincenty z Szamotuł, Jan z Sienna Wojnicki, Andrzej z Tęczyna i znaczny poczet Węgrów, musiał poskoczyć przodem, aby się o posiadanie Budy zapewnić.

Nie było tak dnia prawie bez jakiejś wieści zatrważającej, przeszkody, zwłoki i powodu do zniechęcenia. Król znosił to cierpliwie, lecz wszyscy widzieli, że coraz bardziej pogrążony w sobie jechał jakby zmuszony tylko.

Jeden Grzegorz z Sanoka, któremu się zwierzał, wiedział co cierpiał i jak męcznie to znosił.

Pozostali przy nim panowie węgierscy mówili ciągle i gorączkowo o natychmiast mającej w Budzie nastąpić koronacyi, przekonani, iż uroczysty ten obrzęd młodego króla węzłem nierozzerwanym z krajem połączony.

W wigilią Zielonych Świąt, przybył Władysław do Eger i stanął na zamku. Tu, jak wszędzie po drodze, znaczny poczet magnatów wystąpił na powitanie; lecz pomimo wysiłku ich, aby okazać radość, Grzegorza z Sanoka, równie jak innych, uderzyła ta okoliczność, iż wszyscy byli pomieszani wielce i jakby gniewni.

Pomiędzy przybyłemi a temi, których na zamku zastali, wszczęły się szeptu jakieś i najmniej



wprawne oko dostrzedz mogło, że jakaś zła wieść wszystkich strwożyła.

Grzegorz z Sanoka domyślał się najgorszego, to jest zajęcia Budy przez hr. Cilly, gdy. nieco już z językiem Madziarów oswojony, bo miał wielką łatwość wyuczenia się każdej mowy, usłyszał coś o koronacyi. Jeden z panów węgierskich, z którym się po-przyjaźnił w podróży, zaledwie się na zamku rozłożyli, wpadł do niego blady, z zaciśniętymi pięściami.

— Widzę, że się coś stało znowu dla nas nie-pomyślnego— odezwał się Grzegorz do niego— mówcie otwarcie, abym w potrzebie króla do tego przy-gotował.

Węgier ręce podniósł do góry i począł z żywością krwi swej właściwą, krzyżeć na głos cały.

— Stało się, stało się to, czego nikt na świecie spodziewać się ani przewidywać nie mógł. Słuchajcie! Ten, co opowiada, wie to od naczynego świadka! Królowa Elża wykradła koronę węgierską i dwanaście niedziel zaledwie mające dziecko w Biagrodzie ukoronowała. Łotr ten kardynał Dyonizy Szeii, dopełnił obrzęd! Za dziecko przysięgał hrabia Cilly! Ale co warta koronacya ta i przysięga... zdepczemy ją nogami!

Węgier był wściekły. Grzegorz z Sanoka przyjął nowinę, myśląc o królu. Wykradzenie korony, ukoronowanie pogrobowca, dozwalało Władysławowi cofnąć się.

Zawahał się, czy ma z tem iść do króla, czy zdać na innych oznajmienie mu o wypadku, gdy już komornik wołał go do niego.

Z rozpromienioną twarzą stał młody król w otwartem oknie.

Był sam, gdyż wiadomość o koronacyi wszystkich od niego odciagnęła. Szli rozpytywać, radzić. Polacy byli oburzeni, Węgrowie miotali się z gniewem wielkim, odgrająć na sprawców, a szczególnie na Garę, któremu straż korony była powierzona.

— Mistrzu Grzegorzu! — zawołał zobaczywszy go król, prawie weselo. — Widzi mi się, że ten raz już nas Węgrowie puszcza, bośmy im niepotrzebni. Mają trzymiesięcznego króla ukoronowanego, a korony, gdyby mnie chcieli wieńczyć, nie dostaną, bo ją królowa wykradła!

Z dziecinną prawie radością mówił to król. Grzegorz stał, jak zwykle, dosyć chłodny.

— Dlaczego się ty nie cieszysz ze mną? — począł Władysław. — Jawną rzecz, że zręczna paui... do tronu mi drogę zaparła, za co jej wdzięczen jestem. Możemy teraz powracać.

Na te słowa wszedł Jan z Tęczyna, który w Kieszmarku głosował za powrotem do Polski, mocno zarumieniony i wzruszony a gniewny.

— Nie! powracać już nie czas. Można było odepchnąć ofiarowaną koronę ale dziś zagrabioną musimy dla czci waszej odzyskać. Jestem przekonany z tego, com słyszał i widział — dodał Tęczyński — że to co w przekonaniu królowej tobie panie przeszkodzić miało, pomoże właśnie i przyjaciół ci zjedna.

— Wojewodo — odparł Władysław — wiecie dobrze, iż ja korony tej nie pragnę.

— I możecie się jej zrzec — dodał Jan z Tęczyna — ale dziś ją odzyskać należy.

Drzwi stały otworem, towarzyszący królowi Marcellim wszedł z twarzą zaognioną, bijąc się ręką po piersi.

— Na naszą cześć nastała królowa — zawołał — tak jak wprzódy na wolność naszą nastawała! Ale Magyarowie nie dadzą się ani z niepodległości i prawa rozporządzenia swym losem, ani ze czci ogołocić. Tego, któregośmy obrali, ukoronujemy! Koronę odzyskamy, choćby Wyszehrad przyszło w perzynę i kupę gruzów obrócić!

Tuż za Marcellim szli już inni panowie węgierscy. tłęmnie, gwarno, zapominając niemal o czci królowi

należnej, tak byli rozpaleni gniewem i zagrzani zemsta.

Wszyscy powtarzali za nim:

— Igraszkom kobiecym nie ulegniemy! kardynał arcybiskup odpowie nam za to! Gara głowę dać musi! Cillym sobie przewodzić nie damy...

Król w milczeniu, poważnie przyjął te wszystkie oświadczenia, ani dziękując za nie. ani objawivszy. co myślał.

Nierychło w noc cokolwiek się na zamku uspokoiło. Władysław, który się spodziewał, że koronacya pogrobowca zmieni zdanie biskupa Zbyszka i Rady, przekonał się, iż wszyscy zgodnie głosili za tem, aby nie ustępować.

Grzegorz z Sanoka, który się już był do swojej izby wocofał, dumiał, jak się to wszystko skończyć może, życząc dla młodego pana, aby mógł pożądaną odzyskać swobodę. Królestwo to wkładało na niego kajdany... i dotąd poilo tylko goryczą. Ten sam Węgier, który mu przyniósł pierwszy wiadomość o koronacyi, wszedł już uspokony nieco, ale bardziej zasepiony niż kiedy, zwierając się, iż przybyły ktoś z Budy powiadał, jakoby palatyn Wawrzyniec wzдрыgał się z poddaniem zamku w Budzie, stawiając warunki, których w żaden sposób przyjąć nie można było.

Cierpliwy zawsze mistrz Grzegorz, usłyszawszy to, wybuchnął nareszcie.

— Zaprawdę — rzekł — czei to wam nie czyni, żeście nas tu ściągnęli obietnicami, których dotrzymać nie umiecie... Prędczej w królu i w nas, co go miłujemy, obudzicie niechęć niż życzliwość takim postępowaniem. Daliście nam koronę, której, jak się okazało, nie mieliście; złudziliście obietnicami, nie mając mocy ich dotrzymać. Sami sędziami bądźcie...

Węgier pochwycił za rękę mówiącego.

— Czekaj — rzekł — przekonacie się. iż to cośmy postanowili, spełni się. Chytróść niewieścia

i przewrotność ludzka stanęły nam na przeszkodzie, lecz... pogrobowiec panować nie będzie!!

To mówiąc, wybiegł Węgier.

Co się działo pomiędzy magnatami, którzy się zamknęli osobno i długo wrzawliwie naradzali, a potem nocą kilku z pomiędzy siebie do Budy wysłali, w obozie polskim nie wiadomo.

Niewzruszenie tylko głośzono, iż we czwartek po Złotych Świątach król musiał uroczysty wjazd odprawić do Budy...

Z Grzegorzem młody pan unikał rozmowy w ciągu tych dni, twarzą i postępowaniem okazując, iż ulega konieczności, nie zmieniając zdania swego. W oczach malowało się znużenie, obrażona duma i niecierpliwość...

Zapowiedziany zjazd uroczysty nie nastąpił wprzód aż w sobotę, w wigilią Św. Trójcy, gdyż z pałacem Hedrewarą potrzeba się było jeszcze o wydanie zamku układać. Oczekiwał król na to do soboty i dnia tego dopiero statkami wraz ze dworem swoim popłynął Dunajem do Budy.

Na Sykańskiej górze czekały na niego konie i ludzie przodem wysłani.

Miasto całe wysypało się na przyjęcie wybranego i chwila ta mogła choć w części nagrodzić wszystko, co Władysław doznał w tej nużącej podróży. Zakony, duchowieństwo, mieszczenie, chorągwie kościółów i cechów wystąpiły na powitanie... Tłum niezliczony okrywał przyległe wzgórza i ulice do Zygmuntońskiego zamku wiodące.

Władysław zsiadł z konia dla nabożeństwa relikwii i krzyża, skinął okrzykującemu go ludowi i dosiadłszy konia znowu, jechał w ogromnym orszaku na zamek...

W bramach miasta na trzy oddziały podzieleni stali ci, których król przodem wysłał przed sobą dla zajęcia Budy. Pierwszy z tych, w pełnych zbrojach, składał się z wyboru najprzedniejszej szlachty i pa-

nów, drugi z towarzyszków ich, także uzbrojonych, z kuszami, trzeci z samej młodzieży w szyszakach, z tarczami ozdobnemi i dzirydami.

Wszyscy oni, pokłękawszy przed królem, cześć mu oddali.

Przez otwarte na oścież wrota do zamku w Budzie, wspaniale przez cesarza Zymunta przebudowanego i ozdobionego, wjechał Władysław w orszaku panów swych i rycerstwa na przyszłą stolicę...

Z okrzyków tłumu, z nacisku magnatów węgierskich, z oznak poszanowania wnosząc, można było rokować, że młodego króla witano tu jako pożądanego opiekuna i obrońcę, przynoszącego państwu pomoc i sojusz rycerskiej Polski. Lecz baczniejsze oko, przenikliwszy umysł, który mógł przebić powierzchowne osłony, dojrzał za niemi łatwo znaczone dno niezgłębionych, tajemniczych ciemnic.

Na wszystkich tych dumnych twarzach magnatów i wojowniczych nawet biskupich obliczach, bo tu pasterze często jeszcze pod rozkazami mieli pulki i dowodzili oddziałami, można było czytać więcej rozdrażnienia namiętności, niepokoju, niż radości.

Grzegorz z Sanoka, który za dziekanem Lasockić jechał w orszaku króla, nie mógł się oprzeć temu wrażeniu i szepnął po polsku do niego:

— Zaprawdę, wspaniałe to i piękne, lecz za wierność tych, co nas otaczają, nie chciałbym ręczyć. W oczach wielu błyska niechęć i grozi zdrada!

Wszyscy to widzimy z wami zarówno — odparł Lasocki pocichu — lecz ufajmy w Boga, że większość będziemy mieli za sobą, a ta garść warcholów i przekupionych przez wdowę Albrechtową, nie da nam nic uczynić złego! Wszelako na wojnę się gotować potrzeba.

Z tem uczuciem i król i wszyscy wjechali na zamek do Budy... Cel zdawał się osiągnięty, bo tu już natychmiast wołać poczęto o koronację, aby

dopełnieniem jej okazać, że pierwsza, na pogrobowcu spełniona, żadnej wagi nie miała.

Władysław w ciągł podróży odbytej z Krakowa do Budy, jak się Grzegorz mógł przekonać z niewielu słów, które miał czas nysłyszeć od niego, cennym niemal sposobem dojrzał i spoważniał

Wszystkie te przeciwności i wróżby, jakie spotkał na drodze, walka, na którą był wystawiony, nie tajone mu przez biskupa trudności i zawady, jakie miał do przełamania, podziały na niego potężnie.

Z chłopięcia i młodzieńca stał się mężem. Dzieją się takie cuda, i wypadki są czasem czarodziejską różeczką, która otwiera źródło myśli ..

Na smagłej, a teraz trudem wewnętrznym duszy spęsniałej twarzy króla, widać było, iż pracował nad sobą, stał na straży każdego słowa swego i postępku ..

Tysiące też oczów wpatrywało się w te jego rysy tajemniczo przysłonięte, aby w nich wyczytać, co na przyszłość obiecywały...

Nawzajem król, mało się wywnętrzając, pragnął odgadnąć, na kogo tu mógł rachować.

W tem Grzegorz z Sanoka był mu pomocą wielką, bo miał większe ludzi doświadczenie i daleko lepszą zręczność przysłuchania się między swymi i obcymi, co o kim trzymano

Mistrzowi zaś bystry, przenikliwy, a zawsze wesół i tą wesołością, na pozór lekkomyślną, umiejący się wszędzie weisnąć, Wincenty z Szamotuł dostarczał wiele postrzeżeń. Ponieważ wprzódy był wysłany do Budy i miał tu czas, zabawiając się, o ludzi ocierać, o każdym z magnatów miał już pewne dane i poczynione postrzeżenia...

— Nie rozpaczam—mówił tegoż wieczora Wincenty - że my ich powoli sobie zjednamy, ale z wyjątkiem kilku, na których dziś już rachować można, bo wiedzą, że się od wdowy przebaczenia spodziewać nie mogą, za resztę bym złamanego nie dał



szeląga. Ale jak jest, to jest pewna, że liczba zwolenników naszych urasta z dniem każdym... Siła ma też swój urok, a nie ulega wątpliwości, żeśmy silniejsi.

Cesarz dla swojego krewniaka pogrobowca nie poruszy ani wojska, ani da pieniędzy. Królowa ostatkami goni.

— Nie mówcież tego królowi — przerwał Grzegorz z Sanoka — bo i tak się on nad losem jej użala. Cześć nie dozwala mu się cofać, lecz wiem to od niego, iż gdyby mógł, rychlejby wdowie i jej dziecku pomógł, niż z niemi wojował...

— Wojowanie to prawie nie potrwa długo — odezwał się Wincenty z Szamotuł. — Powierziałem, że Elża ostatkami goni i wiem to od Węgrów, którzy są o każdym jej kroku uwiadomieni, że koronę mniejszą królowych zastawiła cesarzowi w kilku tysiącach czerwonych złotych, za które w Czechach i po Niemczech robi zaciągi, ale wysiłek ostatni...

Po przybyciu do Budy nie było prawie chwili spoczynku, tak wiele rzeczy do spełnienia zostawało. Biskup Zbyszek wziął na siebie wprawdzie największą część spraw drażliwych, lecz i młody król obcym temu, co go tak blisko obchodziło pozostać nie mógł.

Przychodzili magnaci, biskupi, wojewodowie, banowie, wielkorządcy ziem do Węgier należących, oddawać mu hołdy i pokłony, a raczej wypatrzyć zawczasu, czy miał dosyć silną dłoń, aby ich utrzymać w posłuszeństwie.

Nie zbywało na dworze i owych dwulicowych postaci, które królowa Elżka wysłała, aby w obozie nieprzyjacielskim mieć ucho swoje i oko.

W przededniu wjazdu jednego takiego człeka, któremu się obelżywe słowo wyrwało, pod zamkiem rozsiekano...

Wincenty z Szamotuł utrzymywał, że z dobrych ust miał, jakoby zabójcę wysadzono, co króla przed koronacją z polecenia Cillych chciał zamordować. Lecz wojewoda się śmiał z tego, bo młody król był

ciągle otoczony rycerstwem, które nad nim dzień i noc czuwało, a Zbyszek biskup sam uprosił go, aby do czasu pod kaftanem koszulkę drucianą nosił.

— Strachy to być mogą próżne — mówił biskup — lecz ostrożność nigdy nie jest zbyteczną.

Na zamku wrzało i kipiało... Zjeżdżali się wszyscy dostojnicy państwa, urzędnicy wielcy, biskupi, a Władysław król z własnej woli zapewnił i obstał przy tem, aby wszystkim nieprzyjaznym sobie głoś ty były wydane, poręczające bezpieczeństwa osób...

Był to najlepszy sposób zbliżenia się i przeje dowania, chociaż zwolennicy króla magnaci, w myśli mieli użyć go podstępnie na pozbycie się swych przeciwników...

Wśród tego natłoku panów, którzy już od bli sko pięciuset lat do świata chrześcijańskiego należeli, widać i czuć było plemię ze wschodu przybyłe i osiadłe, ze krwią gorącą i obyczajem, którego kil ka wieków złamać nie mogło ni poskromić.

W tym wieku nawet, który w ogóle bujniej szym był i sprzeczności a wybuchów pełnym, Ma dziarowie Polakom wydawali się namiętniejszymi i gorętszymi, niż oni sami byli. Co chwila jakiś zu chwały wśród narad występował wniosek, który ha mować musiał Zbyszek i polscy panowie. Panowie węgierscy zjednoczenia i uspokojenia chcieli dokonać siłą, polscy i król szczególnie, łaskawością i do brocią.

Zgadzano się pozornie, ale Węgrowie w duszy pozostawali przy swoich przekonaniach...

Wśród tych wielu przybyłych tu Taloczów, Pe ren'ych, Orszagów, Palouczów, Czakieh, uderzał wy bitną swą osobistością jeden mąż szczególnie, już wślawiony zwycięstwami wódz, którego postać rycer ska, pełna szlachetnej powagi, odznaczała się boha terskim jakimś majestatem.

Chociaż nie ubiegał się o okazanie swojego znaczenia i wpływu, widać było, że go uznawali wszyscy. Oglądano się na niego.

Mężem tym był Jan Huniady, który młodemu królowi i panom polskim przy pierwszym spotkaniu wydał się jakby głową i wodzem wszystkich. Wiedzano w polskim obozie, iż zdanie jego przeważało przy wyborze Władysława. Przy rozprawach i układach terazniejszych Huniady nie występował czynnie i widocznie, był przede wszystkim żołnierzem i dowódcą, zdala tylko patrzył na zabiegi duchowieństwa i świeckich ludzi, mając ich na oku.

Jednego dnia, gdy się właśnie najgorętsze o przyszłą koronację Władysława toczyły rozprawy, Huniady zrana wszedł do króla, który oddawna zbliżyć się do niego pragnął.

Z zaufaniem i współczuciem jakimś młody pan się zbliżył do niego, domyślał się w nim jednego z tych ludzi, z którymi sercem otwartem mógł się rozmówić.

Długie milczenie serce mu ugniatało, młoda pierś z trudnością znosiła zanknięcie...

Byli sami. Grzegorz z Sanoka znajdował się opodal nieco, nmyślnie usunąwszy się, aby poufnemu zbliżeniu się ich nie przeszkadzał.

Huniady przystąpił z twarzą wesołą i jasną, spodziewając się może, iż w młodym panu znajdzie niedojrzałe pacholę, które lada czem zabawić potrzeba.

— Miłosierny panie—rzekł—spodziewam się ja i wszyscy, co cię tu witamy sercem wielkiem, że i kraj nasz i ludzie podobać ci się będą? Jest że na świecie piękniejszy? A jeszczeście wszystkich jego cudów nie oglądali!

— Kraj piękny—odpowiedział Władysław smutnie i poważnie—lecz wierzajcie mi, panie, że najpiękniejszy zawsze człowiekowi ten, w którym się on narodził... Gdybyście wy nasze lasy, drzewa i rzeki widzieli!

— Węgry przecie musicie sobie jako ojczyznę przyswoić i ukochać—rzekł Huniady.

— Tak, ale na to czasu potrzeba — odezwał się król powolnie — a przyznacie mi, iż dotąd więcej wygląda kraj ten jako zdobycz, o którą wojować potrzeba, niż jako podarek.

Jechałem tu w innej nadziei, z myślami innemi, przyznam się wam szczerze. Sądziłem, że zgodnie pożądaliscie mi oddać koronę, a ja o nią z wdową i sierotą walczyć jeszcze muszę.

— Wy nie, miłościwy panie — rzekł Huniady — my dla was... Niestety! zgoda u ludzi, w rodzinie w domu rzadka, cóż dopiero w kraju takim... w takie czasy!

Westchnął, podnosząc wzrok na Władysława, który słuchał go uważnie i bacznie, tak, że do mówienia wyzywać się zdawał.

— Królów korony i dostojęństwa są ciężarem, miłościwy panie — mówił Huniady — i myśmy wiedzieli, że nie lekką koroną św. Szczepana dla was będzie, ale ją okryjecie sławą i chrześcijaństwu się zasłużycie. Wdowa i sieroty nie mogą wchodzić w rachunek, gdzie o losy narodu chodzi. Cóż znaczą prawa rodu wobec praw narodu?

Nie chcieliśmy i nie chcemy panowania wdowy po Albrechcie, bo nam tam groziły frymarki niemieckie ziemią naszą; krajanie jej dla potomstwa, rozdawanie na posagi...

Kto wie jakie kalectwo dla miłości cesarzów...

My nasz kraj, da-li Bóg, rozszerzać pragniemy, ale ani pędzi jego nie damy oderwać.

Huniademu oczy czarne zaświeciły, podniósł głowę.

— Wybraliśmy was, miłościwy panie, jako młodego rycerza krwi dzielnej, bo nam i dłoni młodej i serca potrzeba, a w królu wodza i żołnierza...

Poganie leją się z Azji na kraje nasze i sąsiednie, my murem tu stać musimy, aby krzyża nie obalili i Europy nie obrócili w perzynę.

Nie skarściez się, miły panie — dodał — bośmy was do wielkiego i sławnego dzieła powołali.

Co znaczy płacz niewieści i pisk dziecięcy, gdy Chrystus woła na nas: brońcie znamienia mego! Musimy być głusi...

— Miły panie — odparł Władysław — tem prawda, serceście mi rozgrzali, ale nie mniej jam tu przywłaszczycielem, dopóki wy nie jesteście zgodni, i nie królem ale najezdzcą, dopóki pół Węgier przy królowej stać będzie.

— Nie potrwa opór — przerwał Huniady — za koronację pogrobowca i kardynał Dyonizy i kroacki ban, który korony strzedz był powinien, odpowiedzą. Ukoronujemy was, i wszystko się skończy, gdy my złożymy przysięgę wam, a wy nam...

Władysław pozostał milczącym chwilę.

— Wspomnieliście — rzekł ciszej — o odpowiedzialności, do której pociągnąć chcecie arcybiskupa i bana, proszę was, jako o pierwszą mojej woli oznakę, abym mógł wszystkim przebaczyć...

Huniady, jakby te słowa odkryły mu nową stronę charakteru młodego pana, zmierzyl go oczyma.

— Piękną jest łaskawość — rzekł zimno — lecz wierzajcie mi i pomniście to, rodzi ona niewdzięczników, uzuchwala nieprzyjaciół, odwleka koniec. Surowym być musisz i my także, mniej ofiar padnie. Poblężanie rozplecia złych!

Mówiąc to, spoglądał spokojnie, lecz Władysław mógł poznać, iż mąż ten nieustraszonej odwagi był zarazem człowiekiem dobrowolnie i z przekonania nielitościwym.

— Zostawcie nam — dodał Huniady — rozprawienie się z tymi, którzy się sprzeniewierzyli krajowi.

Rumieniec oblał twarz śniadą Jagiełłowego syna.

— Polejcie się li krew — rzekł z siłą wielką — ja korony nią skalanej na skroń moją nie włożę.

Słowa te, któremi rozmowa z Janem Huniadym zakończoną została, bo w tej chwili wszedł kanclerz Maciej, biskup wesprymski z banem sławońskim Taloczym, uczyniły na nim wrażenie zapewne dobre,

gdyż znamionowały siłę i energię, której Huniady po panującym wymagał.

To pierwsze zbliżenie się do najdzielniejszego z wodzów węgierskich, było początkiem stosunków, które wprędce poufalszy przybrały charakter. Król znalazł w nim doradcę i pomocnika, choć mu się mężnie sprzeciwiał, budził wiarę w siebie i poszanowanie.

Jeszcze narady o koronację przyszłą nie były skończone, gdy wieść nadbiegła o wzięciu Jawryna i pojmaniu Fryderyka hr. Cilly, wuja królowej, którego w krzakach na wyspie wśród Dunaju zbiegłego pochwycono.

Prawie razem z gońcem, który oznajmił o tem i sam jeniec skępowany przyprowadzony został do Budy.

Węgrzy z radosną wieścią o tem przybiegli do Władysława i sądzili, iż się on też ucieszy pojmaniem jednego z najczynniejszych pomocników królowej.

Krół oznajmienie to przyjął mileząco, chmurno i wejrzeniem, rzuconem na przytomnego Grzegorza z Sanoka okazał tylko, iż mu to przyczyniło frasunku.

Odgrążano się przeciw hr. Cilly, jako zdrajcy. Nim pierwsza wrzawa, tym wypadkiem obudzona ustała, Władysław wydał rozkaz, aby więźnia do niego przyprowadzono do wielkiej dolnej sali zamkowej.

Hr. Cilly był tak przełękły i niepewien losu, jaki go czeka, że we drzwiach, idąc, zachwiał się o mała nie padłszy. Dumna jego twarz, ogorzała, okryta pyłem, zmęczone oczy, poszarpane suknie, skępowane w tył ręce, cała postać pańska a nielitośnie przez żołdactwo sponiewierana, obudzała litość. Ludzie, którzy go prowadzili, gdy się zachwiał, zmusili paść na kolana przed królem, lecz dumny hrabia podniósł się prędko sił ostatkiem.



Król, poruszony, pośpieszył mu na pomoc i podźwignął.

Cilly, któremu ten dowód niespodziewany sympaty trochę wlał nadziei, niezrozumiałemi kilku słowami powitał króla nierząc go oczyma, w których nienawiść, trwoga i zdumienie się razem malowało.

Król stał przy nim i naprzód dał rozkaz, ażeby go rozwiązano.

Wszyscy oczekiwali odezwania się Władysława, a w twarzach Węgrów pewien niepokój widać było.

Władysław począł łagodnie.

— Bracie i przyjacielu — rzekł — nie zasłużyłem na to, abyście nieprzyjacielem mi się okazali. To co cierpicie dziś, nie jest moją winą, ale waszą. Na wybór mój wyście sami zezwolili, położyliście na nim pieczęć własną i złamaliście słowo... Waszej radzie królowa i ja zawdzięczamy wojnę.

Wicie najlepiej sami, żem ja pierwszy nie pożądał, ani się o królestwo ubiegał. Na wasze naleganie przybyłem tu, a jeśli nie zgodzicie się na wybór mój, w każdej chwili gotów jestem do mojego królestwa powrócić.

Cilly powiódł ręką po czole, chciał coś mówić, lecz głosu dobyć nie mógł. Słowa króla odbiły się tylko przykro na przytomnych Węgrach, którzy spojrzeli po sobie. Pierwszy to raz tak głośno i stanowczo mówił o opuszczeniu Węgier i powrocie do Polski. Czuć było, że nie wyrzekł tego lekkomyślnie i napróżno.

Cilly, gdyby był chciał i mógł, nie znalazłby środków tłumaczenia się. Po chwili król, odstąpiwszy kilka kroków, rozkazał swoim Polakom odprowadzić go do izby, w której oni na straży pozostać mieli.

— Chce — rzekł do Hińczy z Rogowa — abyście z więźniem obchodzili się, jak jego dostojność wymaga, krzywdy mu nie czyńcie, los mu ją już wyznadził.

Węgrzy nalegali o kajdany, aby z pomocą przy-

jaciół, jacy się w Budzie znaleźć mogli, nie uszedł, król nie dozwolił na nie,

Narady, dosyć burzliwe ciągle, z różnym skutkiem przeciągnęły się do śś. Piotra i Pawła. Wygodniejszym znajdowano odbywać je w klasztorze św. Jana u braci św. Franciszka w wielkim ich refektarzu.

Przez cały ten czas król bywał na nich przytomnym, lecz więcej słuchał, niż się odzywał. Grzegorz z Sanoka, który teraz po śmierci Jana z Sennowa, często przy panu pisarza zastępował, śledził w nim skutków tych narad i wrażeń. Znajdował tylko zniechęcenie coraz większe.

Pytany, król poruszał ramionami i myśli swej nie tłumaczył.

Widać było jednak ze wszystkiego, że to królestwo go nie cieszyło, i że nie myślał się dobijać o nie.

O powrocie do Polski mówił często ze swoimi. Biskup Zbyszek tymczasem pilno się właśnie o to starał, aby koszta, mozoły i nadzieje nie zostały stracone. Z nim król, nawykły do poszanowania i uległości, nie wchodził w spór żaden.

W dzień śś. Piotra i Pawła, gdy się wszyscy znowu gromadnie zebrali, a nikt się nie spodziewał, ażeby król głos miał zabrać, zarumieniony młodzian powstał z siedzenia. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

Począł mówić. W początku gwar, który się jeszcze nie uciszył i głos słaby nie dawał usłyszeć słów króla, lecz wprędce sama ciekawość sprowadziła milczenie.

Prostemi słowy przemawiał do nich od serca, że rzucając kraj swój, spodziewał się, powołany głosy wolnemi, znaleźć zgodę, pokój i porządek na Węgrzech. Dla nich się poświęcając, opuścił Polskę i Litwę, która właśnie jego przytomności potrzebowała, będąc po śmierci Zygmunta zakłóconą. Powtórzył, że o własnym koszcie, z wielkim wyiłikiem

przybył ze znacznym pocztem na głos ich i powołanie dla żądzy panowania.

— Opierałem się długo, zmuszony zostałem prośbami waszemi, nie przewidując, co mnie spotkać miało. Zostałem wasze zdania podzielone, kraj w rozterce. Proszę was i błagam, nie pomniście na mnie, nie uwodźcie się żadnemi względami, czyńcie, co się wam zda lepszem dla kraju. Ja, jakom przybył chętnie, tak chętnie i bez żalu ustąpię.

Taka była treść przemówienia króla, który, coraz się więcej ożywiając, sam poruszony, wszystkich też poruszył szlachetnem tem odezwaniem się, które zdumienie wywołało.

W słuchaczach widać było szczere i serdeczne współczucie dla tego młodzieńca, który korony go-tów się był wyrzec dla sumienia.

Wszyscy podzielili się na gromadki, powychodzili niektórzy, widać było gorące i żywe rozprawianie i narady, i w parę godzin dopiero Palatyn Hedrewar wystąpił z odpowiedzią w imieniu zgromadzonych.

Wy tłumaczył, jak i dlaczego we Władysławie sobie obrali pana, dla silniejszej od pogan obrony, jak zgoda zdawała się zapewnioną, bo i wdowa po Albrechcie przystała na nią. W końcu wybór ten pierwszy a niezmienny dzisiejszym okrzykiem zgodnym potwierdził.

Palatyn mówił długo, gorąco, zapewniając króla o wierności, o gotowości do poświęcenia, aby koronę niepodzielną osiągnął. Ofiarowano przysięgę wierności posłuszeństwa.

W czasie mowy Palatyna ani jeden głos się nie odezwał przeciwny, owszem ciąglemi okrzykami słowa jego potwierdzano, a całe zgromadzenie podnosiło ręce, zdawało się ożywione uczuciem wdzięczności i gotowością ofiary.

Król zaledwie kilku cichemi słowy podziękował, prosząc, aby nie doznał zawodu. „W obronie i dla

dobra kraju tego nie będę szczędził trudu!“ — rzekł w końcu.

Dyonizy, arcybiskup strygoński, przyniesiony krzyż ucałował pierwszy na znak przysięgi ze wszystkimi towarzyszącymi mu biskupami. Po nim Palatyn Gara i wszyscy inni wierność ślubowali.

Starym obyczajem pochwycono potem króla na ręce i podniesiono po trzykroć do góry, z wołaniem wielkiem wiodąc do kościoła, gdzie arcybiskup dziękczynną pieśń zanucił.

---

## VI.

Wprzódki jeszcze, nim król na zamek powrócił, mistrz Grzegorz w towarzystwie Węgra Paloczego, z którym, jakśmy wspomnieli, dobrą czasu podróży zabrał znajomość, wyszedł z kościoła, aby świeżem odetchnąć powietrzem.

— Dzięki Bogu, wszystko teraz skończone, choć długośmy na to czekali — rzekł Paloczy, który i Polaków i młodego pana, obcując z nim dłużej, polubił bardzo. — Mistrz Grzegorzu, myślcie teraz, abyście sobie tu gniazdo usłali takie, by po Krakowie nie tęsknić. Nie puścimy was już do Polski.

Spojrzał nań Grzegorz z Sanoka.

— Wszystko to jeszcze są słowa — odpowiedział na przekór Paloczemu, drażniąc go. Myślcie o koronacyi, a korony nie macie; my zaś nie damy naszego pana uwieńczyć inaczej, jak tą pobłogosławioną, której królowa Elża wam nie da!

Paloczy dziwną minę zrobił.

— My na to sposób znajdziemy! — rzekł zagadkowo.

— Jaki? Chyba poślecie Polaków Wyszehrad zdobywać? he? — odparł uśmiecchając się Grzegorz. — Razem z koroną potrzebaby zdobyć i królowę. a tej ani nasz pan, ani my dla niego nie życzymy.

— I bez wyszehradzkiej znajdzie się poświęcana korona — rzekł Paloczy.

— Nie słyszałem, abyście mieli zapaśną — przerwał Grzegorz.

— Przecież widzieliście dziś na zgromadzeniu własnymi waszemi oczyma Władysława Garę, któremu straż koron powierzona była. Mamy go w ręku, musi nam albo koronę dać lub...

Tu Paloczy powiódł ręką po gardle.

— Takich panów i magnatów jak on — rozśmiał się Grzegorz — na gardle nie karzą nigdy; małych ścinają, wielcy uchodzą cali... my mamy na to przyśowie,

— A my — gorączkowo przerwał Palocz — przyśłowia nie mamy podobnego ani zwyczaju; im przestępstwo większe, a pełni je mąż, któremu ufano i zwierżono wiele, tem kara straszniejszą być powinna.

Grzegorz chciał w żart obrócić to, co Węgra w gniew wprawiało.

— Choćbyście Garze głowę ucięli — rzekł — korony przez to nie odzyskacie!

— Musimy ją mieć, albo inną, któraby tej była warta — dodał Paloczy, żywymi ruchami popierając mowę swoją — bo koronacya nieuchronna, tem śpieszniej i konieczniej, ażeby pierwszą niemowlęcia Albrechtowego zniweczyć.

— Pamiętajcie tylko — poczał Grzegorz z Sano-ka, poważniejąc — gdyście poznali młodego pana, że korona, którąbyście krwią zmasali, lnb gwałtem dla niego zdobyli, na jego czystej skroni nie spocznie. Mieliście zręczność zrozumieć go wy sami; my po-

wiedzieć możemy, że teraz go dopiero poznajemy bliżej i lepiej, bo w oczach naszych jak kwiat się rozwinął; jest to natura bohaterska, piękna, szlachetna, brzydząca się gwałtem wszelkim i przestępstwem. Banowi Garze daliście listy żelazne, zaręczające mu bezpieczeństwo; raczej Władysław zerwał się korony waszej, niż dozwoli, ażeby mu tu włos spadł z głowy.

Namarszczył się Paloczy.

— Bądźcie pewni—rzekł— że na wszystko radę znajdziemy, a koronacya rychło nastąpić musi.

Grzegorz z Sanoka poruszył ramionami i chcąc dłuższego sporu uniknąć, zamilknął.

Nazajutrz, jak Węgier przepowiedział, panowie węgierscy napadli na bana Władysława Garę, stróża korony, o sprzeniewierzenie się i, nie pytając króla, natychmiast go uwięzić dali — za osobę jego czyniąc odpowiedzialnem Szymona biskupa jagierskiego, palatyna i Mikołaja z Frysztadu.

Król, zaledwie wstawszy, ubierać się począł, gdy mu Tarnowski Gratus wiadomość tę przyniósł.

Powolny w innych sprawach, gdzie o cześć jego chodziło, Władysław uniósł się wielką niecierpliwością i gniewem. Nie chciał czekać przybycia panów, którzyby mu o tem oznajmili; posłał po Gratusa, aby Huniade-go i kilku przedniejszych do niego natychmiast prosił.

Nie widzieli go jeszcze nigdy tak poruszonym przyboczni, do jego łagodności i dobroci nawykli.

Zaledwie Huniady z kanclerzem ukazali się w progu, gdy król żywo podszedł ku nim z brwiami ściągniętymi.

— Nie chcę wierzyć temu, co mi przyniesiono — rzekł dumnie. — Prawda-li, żeście bana Władysława uwięzić kazali?

Huniady wystąpił pierwszy.

— Tak jest, miłościwy panie — odparł stanowczo i śmiało. — Ban miał powierzoną straż insygniów królewskich, był odpowiedzialnym za nie. Wydał je lub



niedbalstwem swem dozwolił je królowej przywłaszczyć. To ułatwiło śmieszłą koronację pogrobowca, a drugą koronę królowa zastawiła cesarzowi i za okup jej wojnę prowadzić będzie. Słuszną rzecz, żeby stróż za skarb odpowiadał.

— Z tego com słyszał i wiem—rzekł król—widzę, że królowa i jej służba więcej winna niż Gara. Ale, winien czy nie, ban ma list żelazny, za którym, słowu mojemu ufając, tu przybył; nie dozwolę go więzić i zatrzymać

— Listy dane były, gdy winą jego nie została dowiedziona—przerwał kanclerz.—Nie one uie znaczą.

— Słowo moje—zawołał król—droższe mi jest niż korona. To jedno powiedzieć wam chciałem i uroczyście oznajmić, iż, Bóg świadek, jeżeli ban nie zostanie uwolniony, ja koronować się nie chcę, nie będę i natychmiast do Polski powracam.

Młody król wyrzekł to z taką mocą, głosem podniesionym, i skończywszy z dumą taką cofnął się w głąb izby, dając czuć, że dłużej o tem rozprawiać nie myśli, iż Huniady i kanclerz odpowiadać nie śmieli.

Po chwili milczenia, Władysław zwrócił się do Huniada.

— Bądźcie posłem moim, to ostatnie słowo.

Skinął i wszedł do sypialni.

Kanclerz z towarzyszem, nie zwlekając zwrócili się do izby, w której obradowano, odnosząc wyrok królewski.

Długi dość przeciąg czasu upłynął, nim oznajmiono królowi, że nadeszli węgierscy magnaci, wiódąc z sobą bana Garę.

Widać było po nich, jak gorącą i namiętną walkę stoczyli. Twarze i oczy były rozognione, piersi buchały, z ust wyrывały się słowa jak bryzgi ukropu. Szli sporząc jeszcze, a Władysław Gara w pół strwożony, na pół roznamiętniony doznaniem upokorzeniem, ciągnął za niemi, nie ustając wyrzekać i tłumaczyć się.

Dopiero w sali umilkli oczekując na króla, który

wyszedł sam jeden, a spojrzenia nań dosyć było, aby dowieść, że zdania swojego zmienić nie myśli.

Kancelarz w imieniu rady począł się rozwodzić usprawiedliwiając uwięzienie, gdy król mówić mu nie dając, przeciął zaraz.

— Słyszeliście wolę moją, tej nie naruszy żadne dowodzenie przeciwne.

Gara podniósł głos, bijąc się w piersi i krzycząc namiętnie.

— Nie wydawałem korony... wyrwano mi ją, stał się gwałt! rabunek! rozbój! Słijcie, przekonajcie się, pudło już złamane, pieczęcie pokruszone.

— Dobrowolnieś ją wydał — przerwał jeden z magnatów. — Trzymałeś z królową.

Zaczęto wołać ze wszystkich stron i wrzawa się stała, która królowi była uwłaczającą i nieprzyjemną.

Powtórzył krótko i stanowczo, że żąda uwolnienia Gary.

Kancelarz na to wybuchnął spojrzawszy po swoich.

— Na rozkaz wasz, miłościwy panie, dajemy mu wolność; ale pomnijcie, że wrogiem był i będzie. Stanie się li co przez niego, własnemu pobłażaniu przypiszcie to, miłościwy panie... my nie będziemy wiinni.

Król spojrzął na Garę, który powiódłszy oczyma pełnemi nienawiści po stojących dokoła, ze złożonemi rękami zwrócił się do młodego pana i pokłonił mu.

— Pókim żyw, dobrodziejstwa tego nie zapomnę — rzekł — a przekonam oszczerców, iż mnie osądzili niesprawiedliwie.

Tak przeciwko wszystkim zawyrokowawszy król, odpuścił ich, nie chcąc słuchać ani dziękczynień bana ani usprawiedliwień sędziów jego.

Wszyscy tłumnie i z wrzawą ponowioną wysypali się z królewskich pokojów.

Do dalszych uchwał, tyczących się koronacyi, król mieszać się nie chciał, bo mu wcale o przyspieszenie jej nie chodziło. Unikał nawet dowiadywania się o nie.

Za to Grzegorz z Sanoka, który nie miał do czy-

nienia wiele, bo go poniekąd z umysłu—niedowierzając mu i lękając się niezależnego charakteru, o który go posądzano—zastępowano przez dziekana Lasockiego... stosunki pozawiazywawszy z Węgrami, nauczywszy się już ich języka, przestając ciągle z nimi, najprędzej był o każdej czynności uwiadomionym.

Wszystko, co się tu działo, nie było mu po myśli. Żałował Władysława, przeczuwał, że mógł się stać w rękach ludzi ofiarą swego szlachetnego charakteru.

Diekan Lasocki i biskup Zbyszek, słysząc czasem swobodnie i ironicznie odzywającego się mistrza Grzegorza, nie dowierzali mu, obawiali go się przy królu. Była już parę razy mowa o wysłaniu do Polski, ale król okazał, że radby go zatrzymać przy sobie.

Do czasu więc nie ruszano go, patrząc nań tylko z daleka.

Biskup Oleśnicki zaraz po koronacyi, o którą ualegał wraz z Węgrami, chciał i musiał powracać do Polski. Na swem miejscu, jako *alter ego*. zostawił Lasockiego, a dla większego bezpieczeństwa byłby chętnie zabrał Grzegorza z Sanoka.

Wszystkie śmielsze odezwania się króla, słusznie czy nie, jego wpływowi przypisywano.

Nim na dworze wiadomem było, co postanowią w sprawie koronacyi panowie, Paloczy przybiegł już do mistrza.

— Tym razem—rzekł siadając zdyszany—skończone wszystko, zaprawdę. Dla sprawdzenia, że korona wykradzioną została, posyłają do Wyszehradu braci Jaczków; a w miejsce tej, którą królowa sobie przywłaszczyła, mamy świętszą jeszcze i ubłogosławioną, tę, która spoczywa na głowie Szczepana św.

— Jakto?—zakrzyknął Grzegorz, łamiąc ręce. — Z grobu, ze zwłok chcecie świętokradzko porwać koronę, aby nią koronować... jakby na śmierci przepowiednią! Na Boga! Pomyślcieź, godzi się to? Z grobu? z trupa?

Paloczy ruszył ramionami.

— Jest to najdroższa relikwia nasza!—zawołał— a któraż korona nie spoczywała na umarłych skroniach? Nie możemy młodemu panu dać lepszego dowodu miłości naszej, jak uznając go godnym tej korony, która na głowie Apostoła Węgier czekała na niego!

— Nie potraficie przecież odjąć i jemu i nam tej myśli, że wy go nie koroną żywych, ale umarłych uwieczniliście, jakby był sam na śmierć przeznaczonym!—odparł Grzegorz z Sanoka, wzdychając.

— Władysław Gara jedzie z Jaczkami zdać Wyszehrad królowi—dodał Węgier. Koronacya naznaczona w Białogrodzie na dzień świętego Aleksego.

Wszystko to mniej obchodziło mistrza, w myśli jego utkwiliło jedno to, że koronę z grobu brać musiano. Nie mógł się oprzeć tej smutnej wróżbie, jaką z sobą niosła, a więcej nad wszystko obawiał się, aby na królu wiadomość o tem nie zrobiła przykrego, odrażającego wrażenia. Ale temu podejmował się zapobiedz biskup Zbyszek, który miał koronę Św. Stefana jako ubłogosławioną i błogosławieństwo przynoszącą relikwię Władysławowi ukazać.

Grzegorz z Sanoka wcale nie śpieszył się oznajmywać królowi, czekając raczej aby on mu pierwszy o tem powiedział i swoje zdanie zwierzył. Zwykł był bowiem król, najeczęściej gdy dzień się urzędownie skończył i wszyscy porozchodzili, powoływać do siebie mistrza i poufale z nim rozmawiać, radzić się lub użalać. Być może, iż poufne te, ciche rozmowy, o których komornicy Władysława wiedzieli i donosić o nich musieli, niebezpiecznemi się wydawały biskupowi Oleśnickiemu, na miejscu Grzegorza z Sanoka żądajacemu widzieć Lasockiego.

Tego król chętnie też słuchał i nim się posługiwał, lecz skłonności do zwierzenia mu się myśli swoich nie okazywał.

Wieczorem, jak zwykle, znalazł się Grzegorz dla odczytania modlitw w sypialni królewskiej.

— Wy wszystko wiecie naprzód i prędzej uż

ja—odezwał się do niego Władysław—więc i o koronacyi pewnie już wam mówiono.

— Naznaczono ją na dzień S. Aleksego—rzekł Grzegorz—słyszałem o tem.

— Dali mi dowód czci swej, niemały — dodał król—najdroższą relikwię, koronę S. Szczepana przeznaczając na ten obrząd.

Grzegorz czekał co król o tem powie i przekonał się, że to co go uderzyło, owa przepowiednia grobowa, na umyśle Władysława wcale się nie odbiła. Widział tylko świętość korony. Uradował się temu prawie, iż on sam tylko doznał uczucia przykre-go, które młodemu panu pobożność jego nie dozwoliła dzielić.

— Tak więc — mówił król z pewnym smutkiem dokonać się ma to, co mi było przeznaczonem. Tyś świątkiem, żem nie pragnął brzemienia tego... nie mogłem się mu obronić. Potrafię ja li je dźwignąć?

— Miłościwy królu rzekł pocieszając Grzegorza z Sanoka—już ten pośpiech i gorącość, z jaką cię na tron wiodą, wróżą, że u boku twego dostoją wiernie. Zatem, w Bogu nadzieja.

Zamyślony Władysław nie odpowiedział nic, rozpoczęto wieczorne modlitwy.

Nazajutrz Gratus Tarnowski, dwaj Zawiszowie i kilku młodzieży, pragnący znużonego króla rozerwać, zrana do łowów się z nim przysposobili.

Były one rozrywką dla niego, ale nie taką namiętnością, z jaką się im ojciec oddawał. Z sokołami szczególnie Władysław jeździć lubił, a tu mu na nich nie zbywało. Codziennie prawie przynoszono je w podarkach, tak że sokolniczych do nich nastarczyć było trudno.

Dzień się obiecywał skwarny. Konie już stały w podworcu zamkowym, gdy wrzawa jakaś w izbach poprzedzających królewskie słyszeć się dała. Rozeznać w niej mogli łatwo głosy krzykliwe, spór jakiś

i wołanie Węgrów, stojących z Polakami u drzwi na straży.

Codzień prawie się trafiało coś podobnego, więc wagi do tego nie przywiązywano; Gratus z Tarnowa wybiegł się dowiedzieć o przyczynie sporu, i po chwili wrócił blady a zaniemiały.

Król wstrzymał się z wyjściem, choć już rękawicę ptaszniczą miał w ręku.

— Cóż to za wrzawa?—zapytał.

— Zaprawdę—bąknął Gratus pomieszany—nie wiem. Człek jakiś nabija się do króla, chcąc go widzieć koniecznie... strażę nie puszczają. Krzyczy umyślnie, aby się dał słyszeć.

— Któż to? pokrzywdzony może? potrzebujący sprawiedliwości?—oparł król, posuwając się naprzód?

Gratus zastąpił mu drogę.

— Miłościwy panie, włóczęga jakiś. Ks. Lasocki go na rozkaz wasz wspomógł jakim datkiem... nie wychodźcie.

— Ale ja chcę go widzieć! — przerwał Władysław, marszcząc się i zlekka usuwając Tarnowskiego.

Stał w progu sali wielkiej król, gdy w drugim jej końcu, wyrywający się z rąk dwom drabom, mężczyzna ogorzały, silny, wielkiego wzrostu, w odzieży potarganej, z odsłonioną piersią obroslą, krzycząc weisnął się, a ujrzawszy króla, rękę podniósł i wołał:

— Muszę z królem mówić! muszę.

— Puszczajcie go!—zawołał Władysław.

Nim ten rozkaz spełniono, już po za nieznanym człkiem znaleźli się niespokojni o bezpieczeństwo królewskie: Huniady, Orszag i kilku innych.

Puszczony rzucił się wprost, oczyma szukając króla. Domyślił się go z postawy i oblicza. Padł na kolana, lecz nie mógł mówić, bo walka ze strażą i jakieś roznamiętnienie oddech mu zatamowały.

Tymczasem Huniady i inni nadbiegający stanęli tuż.

Kłęczący na ziemi, obłąkanemi oczyma wodził



„łokoła, potem rękami drżącemi począł dobywać coś z za sukni i worek skórzany, w którym brzęczało złoto, rzucił na podłogę. Podniósł ręce ku królowi i mówić począł żywo, niezrozumiale, bełkotliwie po madziarsku.

— Oto złoto—krzyknął—które mi dali słudzy królowej z jej rozkazu, za to, abym cię zabił, panie! Tak, przysięgam na to... chciano mnie kupić, wysłano z tem... i oto przychodzę ci wyjawić. Nie będę zbójcą!

Król nie uląkł się wcale, lecz pobladł i czoło zmarszczył. Nim miał czas odpowiedzieć, rzucić pytanie, rozmyśleć co czynić z winowajcą, już za nim krzyk się dał słyszeć i na znak Huniada, porwała się na niego straż węgierska, schwyciła, jeden za gardło go ścisnął i na rękach prawie miotającego się wynieśli.

Na rozkaz króla pobiegli zaraz Polacy, lecz Węgrzy byli tak rozjszeniu i wściekli, że niepodobna było do nich przystąpić, ani mówić z nimi.

W mgnieniu oka znikł i ten człowiek, i ci, co go porwali. Cisza zaległa w podwórcach.

Król wstrzymał się z wyjazdem. Cały dwór polski zbiegł się w jakiejs trwodze o pana swego. Stało się to w chwili, gdy o żadnem niebezpieczeństwie nie marzono nawet i nie przypuszczano.

Napróżno wyglądał Władysław, ażeby wiadomość mieć jakąś o człowieku tym i przygodzie... nikogo na zamku znaleźć nie było można do południa.

Nadchodzący biskup Zbyszek nie wiedział o niczem. Nierychło wreszcie zjawił się Huniady z tą twarzą jaką micwał zawsze, nawet gdy wszyscy się roznamiętniali... poważną i chłodną. Przystąpił do króla z pokłonem i uprzedzając jego pytanie, rzekł spokojnie.

— Wrzawa niepotrzebna. Człowiek szalony, jak się zdaje. Skwar słoneczny przepalił mu czaszkę, plótno od rzeczy. Niema mówić oczem.

— Cóż z nim uczyniono? — przerwał król.

— Zapewne jako szalonego zamkną go — dodał obojętnie Huniady.

Nic więcej dowiedzieć się już nie było można. Panowie węgierscy dali sobie słowo zapewne, iż toż samo będą wszystkim powtarzać.

O losie człowieka nikt nie wiedział, starano się wypadkowi odjąć wszelkie znaczenie i wagę. Król się jednak uspokoić tem nie dał, ale domaganie się jego zbywano odpowiedziami obojętnymi.

Wszyscy usiłowali przez dzień cały uwagę od tego wypadku odwrócić i zatrzeć jego wspomnienie. Na królu wszakże widać było, iż nim zuowu niepokój owładnął.

Grzegorz z Sanoka, który nie był wypadkowi przytomny, dowiedział się o nim dopiero od jednego z Tarnowskich. Natychmiast poszedł na zwiady, ale Paloczego, na którego najwięcej rachował, nie znalazł go. Gdy się już nad wieczorem zjawił, miał oblicze nachmurzone.

Zapytania mistrza zbywał w początku, tak samo jak inni, tłumacząc przygodę szaleństwem i usiłując ją lekceważyć. Lecz Grzegorza z Sanoka niełatwo oszukać było.

— Kłamcie sobie przed królem co chcecie — rzekł — ja wam nawet w tem dopomagać jestem gotów, ale dla siebie chcę prawdę wiedzieć.

— Kiedy pono nikt jej tu się już nie dowie — szepnął po naleganiu Paloczy. Człowiek albo istotnie przez sługi Flży przekupionym był, bo ta co koronę dla dziecka wykradła, mogła dla niego i na zabójstwo się ważyć. albo kłamał dla zyskania nagrody.

— Przecie w końcu pod grozą kary przyzna się — rzekł Grzegorz.

Paloczy ręką zamachnął i szepnął cicho:

— Ja tam nie byłem. Brali go na męki! bralil kleszczami go rwali, pickli.

Dokończył ruchem tylko znaczącym.

— Żyw?— zapytał Grzegorz.

— Rozszarpać go kazano—dodał Pałoczy jeszcze ostrożniej i oczy podnosząc dodał:

— Któż ich wie? może ci, co się obawiali aby ich nie wydał, śmierć mu przyspieszyli!

— Zewsząd więc jeszcze otacza nas niebezpieczeństwo! — łamiąc ręce rozpaczliwie, wykrzyknął Grzegorz.—O! ten biedny młodzian nasz, po co jemu i nam było leżać w to gniazdo osie!

Wstrząsnął się Pałoczy.

— Nie mówcie tego, nie mówcie. Żłem się wygadał. Srogości tu potrzeba było, dlatego ukarano podłego zoczyńcę! I nikomu nie przebaczymy. Wasz pan za dobry jest, ale my za niego okrutni być musimy. Niech i człowiek ten i pamięć o nim przepadnie!

Pałoczy nie już więcej powiedzieć nie chciał. Wypadek też zatarty żadnych dalszych następstw nie miał. Utajony przed królem los, jaki spotkał winowajcę czy szaleńca, o którego nazwisku sami nawet Węgrowie nie wiedzieli. Pastwiono się bowiem nad nim z wściekłością taką, z takim zapamiętaniem, że nie badając prawie, życie mu wzięto.

Tajemnicą więc na wieki okryte było to wrzekomie targnięcie się na życie króla, a domysł tych, którzy przypuszczali, że nasłanego zbójcę zadławiono, aby obydę czynu od królowej odwrócić... może nie był bez podstawy. W pośród tych, co Władysławowi przysięgali wierność i służyli mu, znacznie-sza część potajemnie sprzyjała wdowie.

Nadszedł w ostatku dzień ten uroczysty, w którym na skroń młodzieńczą polskiego króla miano włożyć koronę Ś. Szczepana.

Wszystko, co otaczało Władysława w Peszcie, pociągnęło do Białogrodu.

Tu naprzód wobec Jaczków i panów polskich okazano rozbitą skrzynię, z pieczęciami złamanymi,

z której korona wykradziona została przez starą Kottanerin

Znalazły się w niej berło, jabłko i ów podwójny krzyż, który w r. 100 papież dozwolił nosić przed królem Węgier, gdy mu koronę dla Bolesława polskiego przeznaczoną oddawał.

W niewielkim kościele białogrodzkim zaledwie celniejsi panowie, dostojnicy i duchowieństwo pomieścić się mogło. Tłumy oblegały go do koła. Arcybiskup Dyonizy dopełniał obrzędu.

Szaty, w które przybrano króla stojącego przed ołtarzem, były też same, które się od tysięcznego roku przechowywały, ze starości wytarte i zszarżane, ale starością swą samą uświęcone.

Z kościoła po nabożeństwie i obrzędzie, w którym Zbigniew Oleśnicki uczestniczył, poprowadzono w pełnym ubiorze królewskim Władysława do grobu Giejszy i Adelajdy.

Wszystkie obyczaje dawne zachowane zostały, sąd pierwszy i na wieży kościoła św. Marcina dobytym mieczem na cztery strony świata cięcia w powietrzu, oznaczające, iż gotów był bronić państwa od wszelkiej napaści.

Wspaniała uczta, turnieje i zabawy, wśród radości powszechnej, zamknęły ten dzień pamiętny.

Teraz mógł Paloczy powiedzieć w istocie przyjacielowi, że wszystko skończone zostało.

Władysław przed ołtarzem wziął ślub nierozrywany z państwem, o które wojować musiał. Był panem dwóch królestw, a biskup Zbyszek po skończonym obrzędzie z rozrzewnieniem go witając, rzekł mu słowa, które w duszy młodej wypiętnowały się jak wyrok i przepowiednia.

— Spełniły się wróżby. Bóg ci dał potęgę. Dwakroć namaszczone skroń twoją! Apostolski krzyż niesiono przed tobą, stałeś się rycerzem Chrystusowym, obrońcą świata chrześcijańskiego na granicy, którą szczerbi miecz pogański.

— Walcz za wiarę w imię Ojca i Syna i Ducha świętego.

— Amen!—szepnął król pocichu.

Od dnia, w którym przebył granicę, aż do tej chwili wielkiej, rozstrzygającej o posłannictwie jego, Władysław rosnął w oczach wszystkich i dojrzewał cudownie.

Dawało się to najmniej czuć w porównaniu z rówieśnikami, z którymi wyjechał z Polski, stojąc na jednym stopniu, czując się im bratem. Dziś i on i oni sami codzień się przekonywali, że przerosnął ich głową i sercem. Zdawał się duchem pracować nieustannie, aby odpowiedzieć temu wielkiemu przeznaczeniu wodza chrześcijańskiego, które na niego włożyły losy.

Dokoła nieustannie słyszał to powoływanie, to wzywanie na wodza, na obrońcę. Do ostatka w porozie i obawie wzdragał się wziąć brzemień nad siły, lecz gdy raz uczuł, że wyrok był nieodwołalny, starał się dorosnąć do swych przeznaczeń.

Po dniu tym nabożeństwa i znnżenia, gdy Grzegorz wszedł po wszystkich innych powitać go i winszować mu, znalazł złamanego trudem niezmiernym, ale z obliczem rozjaśnionem.

— Nie winszuj mi—rzekł—ale mi życz, abym godnym był tego co otrzymałem... krzyża i miecza poświęconego!

Teraz dopiero poczyną się życie moje, które promienić powinno cnotą i sławą.

Podniósł ręce do góry i twarz sobie zakrył niemi.

— Grzegorzu mój—szepnął poufalej—gdybyś ty był w sercu mojem, a wiedział co się w niem działo dnia tego i co przesunęło się przed oczyma mojem! Czulem jak moc jakaś wchodziła we mnie z tych szat apostoła, z tej korony świętego, z tych modlitw i pieśni.

Łzy mi na oczach stawały... a za niemi widziałem Polskę naszą, której się stałem niewiernym.

— Abyś służył sprawie Chrystusa—dodał również wzruszony Grzegorz—Chrystusa, którego ta nasza Polska jest córką.

— Kiedy ja ją zobaczę!—westchnął król—kiedy się dowiem, co się z nią, z matką i Kaźmirzem dzieje?

— Biskup powraca do Krakowa — odezwał się Grzegorz uspokajając—posiłki też z Polski są potrzebne, bo Turek około Białogrodu stoi. Nie opuszczają nas tutaj.

W kilka dni potem Władysław powracał do Budy, dokąd napozór pomyślna przyszła wiadomość, że królowa Elża, dowiedziawszy się o koronacyi, zrozpaczona, we łzach cała, przeklinając wiarołomnych Węgrów, z Presburga ujechała do Austrii, udając się pod opiekę cesarza Fryderyka wraz z synem.

Mogło się zdawać krótkowidzącym, że wojna była skończoną, a przynajmniej zachwianą, bo Fryderyk, ten „pan małego serca” własnych korzyści szukając w opiece sieroty, pomagać mu nie myślał; ale Elża ostatni łańcuch i pierścień gotową była poświęcić dla sprawy syna, a ochotnicy, których łup wojenny łudził, cisnęli się pod chorągwie Giskry, aby Węgrom nie dać spokoju.

---



VII.

Najprzewielebniejszemu panu, opiekunowi najłaskawszemu, ojcu Wincentemu z Bożej łaski arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, Grzegorz z Sanoka, sługa najmniejszy, zdrowia i powodzenia życzy:

Buda 10 grudnia 1442 roku.

*Najmiłoścowszy Panie i Ojcze!*

Przez powracającego z Krakowa ojca Klemensa, który miał to szczęście miłość waszą oglądać i z nią obcować, otrzymawszy zlecenie, abym o tem co się tu z nami, a najbardziej z królem naszym panem najmiłszym dzieje, listownie doniósł; śpieszę rozkaz miłości waszej spełnić tem ochotniej, że tą spowiedzią jakobyem ciężar i brzemień zrzucił z serca, które często je ugniata.

Aczkolwiek jest nas tu niemało swoich a i obcych przyswojonych nie braknie, nie wszystko można i godzi się im zwierzyć, bo słowo jest jako lekarstwo, które zarazem trucizną być może, gdy się je nie w porze i nie w pełni zdrowia ludziom zadaje.

Myśmy zaś tutaj przewielebny ojcze wszyscy bez mała chorzy, a w nieustannej gorączce trwający, i jednemu dziwić się przychodzi, że lat oto już trzy bez mała słabując, jeszcze się przy życiu trzymamy.

Wiadome są miłości waszej pierwsze przygody na Węgrzech nasze, jakośmy na gotowy tron i królestwo otwarte wesoło śpieszyli, a znaleźli kraj siodze

zawiechrzony, przyjaciół niepewnych, wrogów skrytych i jawnych, pułapki i zasieki na każdym kroku.

Jeżeliśmy dotąd szczęśliwie i z chwałą wielką dla pana naszego wyszli z onych zasadzek, zasługując na imię dobre u bliskich i dalszych, szczególnie to opiece Bożej i modlitwom pobożnych zawdzięczamy.

Zważyć albowiem potrzeba, żeśmy i my dosyć nieświadomi kraju tego przybywali i król nasz jeszcze sztuki rządzenia nie miał czasu się nauczyć tem, co najskuteczniejsze, doświadczeniem.

O pierwszych, jakieśmy tu mieli do przewyciężenia, trudnościach, nie potrzebuję donosić przewielebności waszej, albowiem one powszechnie są znane.

JMks. biskup krakowski powracając z Budy po koronacyi, najlepszą z tego zdał sprawę, co oglądał, przebył i w czem (*ars magna fuit*) brał udział wielki.

Zdawało się ludziom płytkiego umysłu, że z tem uwiecznieniem pana naszego tak uroczystem, koroną apostolską Szczepana świętego, wszystko szczęśliwie dokonaniem zostało. Powieźli tę wiadomość królowej pani do Sanoka ks. biskup krakowski i wojewoda. Aliści rozpoczęły się tu dopiero ze zwolennikami matki i syna, nieskończone utarczki, branie i odbieranie zamków, ściąganie coraz nowych oddziałów z Czech i Niemiec, wszelkiego najemnika, który zbroje dla tego przywdziewa, aby żądzy łupieztwa i mordu za-  
dość uczynił.

Co król nasz pod te czasy od nieustannych zrad ucierpiał, od tych właśnie, którym żywot i cześć łaską swą darował, od Cillych od Gary, od innych panów węgierskich, tego nie chcę opisywać ani mogę. I jakom ja też za posiłkami do Polski jeździć musiał i ich się depraszać na zjeździe, o tem miłość wasza wiecie dobrze.

Z jednej strony mając oddziały najemników królowej Elży, z drugiej pogan od Adrianopola na granice i w same wnętrzości niemal państwa tego wkra-

czających a okrucieństw swemi i zuchwalstwem zagrażających, król musiał do Polski odwoływać o ludzi, aby dwojakiemu nieprzyjacielowi podolać.

A jako ten pan nasz, przez wszystkie czasy upłynione, monarszym swym obowiązkom, mimo młodego wieku, krewkości i złości ludzkiej, cudownie podolał, tego tu wszyscy świadkami są, jednogłośnie wychwalić się go nie mogą. Jedno mu tylko Węgrowie, szczególnie wojewoda Huniady zarzuca, iż zhytnią łaskawością złych uzuchwala. Ale do srogości go nawet własne niebezpieczeństwo skłonić nie mogło, gdyż wziął to sobie za godło, iż monarchy przywilejem najdroższym jest życzliwość.

Widzieliśmy go też i widzimy, ilekroć tylko może, przebaczać go, a nie zdarzało się go nam widzieć domagającego kary.

Ta dobroć króla, choć mu wiele serc pozyskała, nie potrafiła jednak wojny ukrócić i królowej wdowyskłonić do układów, wielokroć przedsięwziętych.

Zbliża będąc przy królu ciągle, a często powiernikiem myśli jego, najlepiej poświadczyć mogę, jak boli, iż go Węgrowie postawili w takiej ostateczności, że świat cały, nawet Ojciec św. Eugeniusz IV i zachodni monarchowie Europy widzą w nim przywłaszczyciela i wydziercę korony, komu innemu należnej.

Niemal krwawemi łzami nieraz opłakiwać mu to przyszło, iż się skłonić dał do przyjęcia korony, którą mu gwałtem narzucano, a z nią razem potwarzą okryto. Stokroćby się jej był rad wyrzec, a do Polski powrócić, ale go tu związano przysięgą, i musi bronić nie tylko Węgier, ale chrześcijaństwa całego, do których one są jakby wrotami dla pogan.

Na straży więc bramy tej, na której wierzchołek krzyż Chrystusów jest utkwiony, stać musi ten wielki duchem, choć młody wiekiem pan nasz.

Walc tych z Turkami z jednej strony zwyciężko wiedzionych przez walecznego wodza Huniada,

z drugiej przez ochotników naszych polskich, opisywać nie będę.

Wiadomem miłości waszej, jak ciężko dotknięty jest kościół i cały świat chrześcijański są rozterką, która Ojca św. Eugeniusza IV papieża z Soborem poróżniła i skłoniła do wyboru Feliksa V, przez co rozdwojoną została zwierzchnia nad kościołem władza w chwili, gdy ona całą siłę swą przeciw poganom obrócić była powinna.

My tutaj, nie rozstrzygając sporu tego, aczkolwiek akademія krakowska za nowo obranym Feliksem V się oświadczyła, w Węgrzech pozostaliśmy wiernymi dawnemu panu. Z obu stron też do króla naszego i cesarza wyprawione zostały poselstwa w celu pojednania i zawarcia pokoju, aby tem skuteczniej przeciwko poganom uderzyć było można całą siłą.

Od Feliksa V wysłany biskup trydentski, patriarcha akwilejski, książę Aleksander mazowiecki, rodzony wuj króla naszego, nie bez myśli, iż węzłem krwi z nim połączony, skuteczniej na myśl jego wpłynąć może.

Ze strony Eugeniusza IV wybór posła niemniej był trafny i szczęśliwy, padł bowiem na dawno w Polsce znanego i oswojonego ze sprawy i ludźmi naszymi najprzewielebniejszego biskupa Sabińskiego kardynała Juliana Cesarini. Komukolwiek posłowie oba bliżej znani byli i kto ich na dworze cesarskim oglądał, łatwo mógł zawczasu przewidzieć, przy kim z nich będzie zwycięstwo.

Nie odmawiając ani powagi ani innych przymiotów kardynałowi Aleksandrowi, żadną jednak miarą porównać go do biskupa Sabińskiego nie było można. Wszystko, na czem zbywało akwilejskiemu patriarcharsze, Cesarini posiada w najwyższym stopniu. Wielką znajomość ludzi i spraw, bystrość i żywość umysłu niezrównaną, pracowitość niezmordowaną, dar wymowy nadzwyczajny, naostatek w podobnych okolicznościach najniezbędniejszą śmiałość i wiarę w siły własne.

Już na cesarskim dworze zauważonem było, że patriarcha akwilejski w tropy Cesariniego wchodził, sam drogi swej niepewny, co przewidywać dozwalało, że mężowi takiej rzutkości i śmiałości a przenikliwości wielkiej podolać nie może.

Węgry też, jako stały wprzód przy Engeniu-szu IV, tak wiernemi mu być postanowiły.

Można rzec, że przybycie biskupa Sabińskiego do Budy i króla naszego nowe jakoby życie w nas wlało.

Zwątpiliśmy już byli o możliwości pokoju i układów z królową Elżą, a wojna z nią walkę z poganami hamowała.

Cesarini, przybywszy tu, odrazu natchnął nas nadzieją, niemal pewnością tą, że królowa wdowa pojednać się musi z panem naszym, będąc do tego zniewoloną zupełnem wyczerpaniem skarbu i straconą nadzieją, aby cesarz Fryderyk miał jej i synowi być pomocnym. Zabrał on wprawdzie sierotę i koronę jego, ale zagarnął razem austriacki dział nań przypadający i dochody z niego, a królowej wszelkiego posiłku odmawiał.

Przybywszy tu w czerwcu kardynał Cesarini, ani chwili nie stracił, namawiając do pokoju i zgody. W paun naszym znalazł do nich takie usposobienie, iż lepszego pożądać nie mógł. Do niczego bowiem od wstąpienia na tron król Władysław nie wzdychał, tylko do przejednania się z wdową Elżbietą. O ile mu niewłaściwe dla wieku małżeństwo z nią zawsze wstrętnem było, o tyle układ jakiś, bodaj z ustępstwem części swych praw, upragnionym.

Bliżsi go będąc niż inni, jako domownicy, najdowodniej o tem poświadczyć możemy. Tu więc ziarno padło na rolę dobrze przygotowaną i uprawną.

Byłem przytomnym, gdy biskup Sabiński po raz pierwszy życzenie to wynurzył, na co król mu odpowiedział: „Nikt nademnie goręcej tego nie pragnie, ale też i mniej się tego nie spodziewa.

Posyłałem do królowej niejednokrotnie do Presburga i do Jawrynn, ofiarując gotowość do wszelkich ustępstw, królowa zawsze je odrzucała. Z panami węgierskimi zagać sprawę tę było trudniej, gdyż niewielu z nich pojednania żądało, z różnych powodów się go lękając, a najmożliwszy podczas Huniady oświadczył się stanowczo i wyraźnie przeciw wszelkiej zgodzie, któraby jakikolwiek uszczerbek królestwu przynieść mogła.

Nie zraził się tem jednak Cesarini, i poczęły się odtąd podróże jego do Jawrynn, kędy królowa przebywała, dłuższe na dworze jej zamieszkiwanie i przygotowywanie.

Nie bez podstawy ufał kardynał potędze słowa swojego, albowiem mało jest ludzi na świecie, którzyby równą jemu obdarzeni byli. Nie spotykałem w życiu mężów, coby zręczniejsi, wchodząc zawsze na pozór w myśl tego, z kim mieli do czynienia, zwolna go na to pole wyprowadzać umieli, na którym mieć chcieli. Sądzę też, choć świadkiem rokowań nie byłem, wnosząc z tego, jak się one z drugimi odbywał, że kardynał i królowę do zamierzonego celu doprowadzić się starał.

Jeżeli mn się to nie tak prędko i nie tak łatwo dało spełnić, przypisać potrzeba macierzyńskiemu uczuciu, obrażonej dumie, niewieściemu uporowi i kilkoletniej walce, która nadzieję dalszego jej przedłużania usprawiedliwiała.

Częstokroć tygodni kilka zostawał kardynał w Jawrynic, powracając do Budy z niczem, ale z nymyslem niezachwianym, nigdy nadziei nie tracąc.

Z królem zaś o zgodzie mówić nie potrzebował, tu on miał cel inny i równie jak pierwszy do osiągnięcia łatwy. Usiłował skłonić Władysława, aby stanął na czele wojska chrześcijańskiego dla złamania tureckiej potęgi. Więc obietnice pieniężnego zasiłku od papieża, ogłoszenia krucjaty, wysłania w pomoc floty, nadejścięcia posiłków z Niemiec, Włoch i dal-



szych krajów, wszystko to powtarzanem było. Lecz żeby wodzem stanąć na czele tej potęgi, potrzeba było wprzód Węgry zabezpieczyć, z królową i cesarzem pokój lub rozejm zawrzeć długoletni. Tego żądał król i Węgrowie, a potrzebę widział kardynał.

Wszelkie więc staranie ku temu skierowanem być musiało.

Rachował Cesarini na to głównie, iż w Jawrynie przebywając, miał zręczność przekonać się najdowodniej, jak wszelkie zapasy i środki pozyskania pomocy pieniężnej wyczerpane zostały.

Na tem zubożeniu królowej Elży wszystko się budowało.

Jednakże przywiedziona do ostatka wdowa, widząc, jak pokój był potrzebny nie tylko Władysławowi, ale światu całemu twarde stawiała warunki, z godnością, dostojęstwem, nawet czcią pana naszego nie dając się pojednać.

Stojąc przy tem, że syn jej był dziedzicem królestwa, wymagała, aby Władysław rzekł się tytułu królewskiego i praw z nim połączonych, rządy zaś królestwa sprawował w imieniu jej syna aż do dojścia jego do pełnoletności, to jest lat piętnastu.

Za poniesione koszta ofiarowała wprowadzić królowa ziemię spiską i sumę na Szląsku, a gdyby syn jej zmarł przedwcześnie, następstwo po nim przyznawała Władysławowi i obie swe córki dwu braciom (Kazimirzowi młodszemu) oświadczała dać w małżeństwo; ale warunki te przyjęte być nie mogły i z oburzeniem przez panów węgierskich odrzucone zostały.

W ten sposób wszystkie ich czynności, uroczysta koronacja w Białogrodzie, a jako oni mówili, wszelkie ich prawa w niwecz byłyby obrócone i na pośmiewisko wydane.

Aliści na tem właśnie rozbijało się wszystko, że królowa prawa wyboru króla przyznać im nie chciała, gdy oni przy swobodzie wybierania monarchy obstawali.

Zdawało się więc po kilkakrotnej bytności kardynała w Budzie i Jawrynie zachwianem wszystko.

I zaprawdę, dla każdego innego pośrednika jużby było nietylko niepewnem, ale straconem. Tylko bystrości umysłu i niezmiernej wytrwałości kardynała zawdzięczać należało, iż się wszystko na próżnych słowach nie zerwało odrazu. Choć los później inaczej dokonał, co przeznaczonem było.

Przeciągnęły się te rokowania nadaremnie do miesiąca grudnia.

Tu na słuszną pochwałę pana mojego powiedzieć muszę, iż weale latom swym i dostojęństwu niezwykłą okazał cierpliwość i krew zimną.

Nie zwykliśmy monarchów młodzieńczego wieku widywać tak powolnymi rządzeniom losu, tak łagodnymi w przeciwnościach, tak łaskawymi dla ludzi, którzy na nich nastają i nalegają.

Nie można bowiem, uwielbiając wielką umiejętność obchodzenia się z każdym, zaprzeczyć temu, iż kardynał natarczywością swoją, namowy, argumentami króla niejako w obleżeniu trzymał przez kilka miesięcy. Tyleśmy, mogę powiedzieć śmiało, pokoju mieli, póki siedział w Jawrynie, a częstokroć dopiero wolnośmy oddychali, gdy nas opuścił, nalegać i boleć przestał.

Ale naówczas zastępował go dziekan Lasocki, mąż, którego nauki, powagi i wielkiego umysłu będąc czcicielem, niemniej przyznać muszę, iż królowi i nam stawał się często przez natarczywość swą nieznośnym. Albowiem nie było dnia i godziny, u stołu i przy rozmowach, abyśmy nie słyszeli zawsze tej samej pieśni, jako pokój był pożądanym dla kościoła, chrześcijaństwa i kraju, a sławy pana naszego.

Jeżeli nam kardynał nie śpiewał tego hymnu, nucił sekwencję o tem dziekan Lasocki. Na co my pobożnym responsem chórem odpowiadaliśmy: Bóg daj!

A przyszło-li potem z panami węgierskimi mówić, burzyli się i wołali, że jakkolwiek pokój był, oni go

ze sromotą dla siebie i z uszczupleniem granic kraju zawierać nie mogą.

Przybył wreszcie, zmięczywszy już królowę kardynał, wielce uradowany tem, co przywoził, w grudnin, oznajmując, iż królowa gotową była oświadczyć się Władysławowi i widzieć się w Jawrynie i sama z nim to pojednanie układać.

Małą się to rzeczą zdawała wydawać może, przecież było wielkiem nad umysłem królowej odniesieniem zwycięstwem. Albowiem wiedzieć potrzeba, jak ośmieli się mieli dowodzić, iż królowa dawniej nie nawiązała i chciała zemsty najgorętszą przeciwko panu naszemu pałała, a nietylko na oczy go przypuścić, ale imienia jego przy sobie nie dawała wspomnieć bez obelżywych dodatków. Nie obeszło się więc bez łez, bez wielkich wysiłków, bez upokorzenia, zanim umysł jej dumny i serce goryczą przepełnione skłonić się dało do tego ustępstwa.

Niektórzy z panów węgierskich, ulękli się tak samo zasadzki jakiejś i zdrady, jak królowa Elżba, która (co się później okazało), spodziewając się przybycia Władysława, znaczną liczbą Czechów i Austriaków zamek zawczasu obsadziła.

Węgierscy panowie zrazu króla do Jawrynu puścić nie chcieli, pomimo poręczeń kardynała i zaklęć jego. Powiadali, że po królowej, która już nie jeden raz na życie Władysława czyhała i zabójców nań nasadzała, wszystkiego się spodziewać można.

Lecz wtém król sam, mąż wielkiego zawsze serca i szlachetności takiej, że nikogo o nieszlachetność posądzać nie umiał, rozstrzygnął. Z góry zapowiedział, że królowej ufa i z małym poczem pojedzie tak bezpieczny jakby do własnego domu.

Napróżno go usiłowano przekonać, żelazną wolą obstawał przy swoim, a ile razy ją objawiał, wiedzieli Węgrowie, że się złamać nie da. Dobroci niewyczerpanej, do przebaczenia zawsze gotowy, jak ojciec hojny i rozrzutny, miał to do siebie król, że

gdy myśl własną z serca zaczerpnął, nie dozwolił jej odjąć sobie nikomu.

I tym więc razem wyjazd do Jawryna postanowiony został, na co Węgrowie koso patrzyli. Do orszaku też króla wyznaczono przeważnie polski dwór. Dwóch młodych Tarnowskich, dwu Zawiszów, ze starszyny też kilku, dziekan Lasocki, bo ten nigdy nie odstępował, gdy o ważniejsze chodziło sprawy, naostatek i ten, który słowa te pisze, jako kapelan i spowiednik do orszaku został włączony.

Kardynał Cesarini towarzyszył nam jako zakladnik, poręczyciel i pośrednik, a jako był szczęśliwy, jadąc, że do tego terminu doprowadził nas, wyrazić mi trudno.

Nie bez wzruszenia też pewnie jechał król, pan nasz, i twarz jego młoda o niem świadczyła. Kilka lat wojując z królową, znając ją jako nieprzyjaciółkę nieprzejednaną, na końcu jechać do niej, było ofiarą, którą tylko mąż tak wielkiej przebiegłości, jak kardynał, mógł wyjednać.

Ofiara to była dla kościoła i sprawy całego chrześcijaństwa.

Poczet królewski, dosyć liczny dla dostojęstwa jego, był jednak za małym, aby obawę jaką mógł obudzić. Na zamku też, gdy bronę podniesiono, ujrzelśmy dwór rycerski Elży i panów, którzy jej służyli, dosyć okazałe przystrojonych i zbrojnych. Szło jawnie o to, aby niedostatek i zubożenie nie okazało się przed obcymi.

Szliśmy wszyscy z królem przez kardynała prowadzeni po wschodach do górnej sali zamkowej.

Czekała tu na nas królowa Elża, której Władysław nigdy w życiu nie widział i spotykał po raz pierwszy. Ja, com ją w podróży niegdyś z Pragi do Znamu jadącą przy ojcu Zygmuncie oglądał zdala, naówczas młodą, świeżą i krasną, zaledwie po znać mogłem w niewieście przed czasem zwiędłej, postarzałej, cery woskowej, wychudłej, a takie cier-

pienie całą postawą wyrażającej, iż w sercu nieprzyjaciela nawet litość by obudziła dla siebie. Pomimo to, wielką powagę miała cesarskiej córki i resztki piękności.

Gdy król Władysław wszedł na salę i uklon oddawszy, nieśmiało się przybliżył, wpatrzywszy się wprzód w twarz jego, która dobroć wyrażała, jakby wewnętrznem wzruszeniem skłonią do tego, królowa podała mu obie ręce.

Tak się pierwsze powitanie dosyć mileząco ale pomyślnie odbyło, a kardynał, zahrawszy głos za oboje, zbliżył ich mową zręczną, do której był przygotowany.

Wpłynęło to na zachowanie się wzajemne osób do obu dworów należących, które niedowierzająco i ostro na siebie spoglądały, a później zaraz przyjaźniej obchodzić się z sobą zaczęły.

Tego dnia, jak sądzę, do żadnych układów nie przyszło... zaledwie do wzajemnego przybliżenia i porozumienia. Przyjmowano nas bez przepychu, ale tak jak przystało królowej, i na niczem nie zbywało, a o pomieszczenie na zamku nie było trudno. Całe jedno skrzydło oddane nam zostało, a choć bezpieczeństwo poręczał kardynał, przecież polska straż królewska przez całą noc na przemiany czuwała. Uważaliśmy też, że i Czesi tak samo z czat nie schodzili i nie zasypiali.

Następnych dni, rokowania bowiem nie poszły prędko ani łatwo, cokolwiek z tych zbyt ostrożności z obu stron pofolgowano, zawsze jednak nad królem czuwać było potrzeba.

Władysław po przezwyciężeniu pierwszej obawy przy spotkaniu z królową, aby zbyniem wyrzuty go nie trapiła, odzyskał swobodę umysłu, a jako się pragnął okazać, czem w istocie był, tak sądzę, że dopiął tego. Królowej też oblicze, pierwszego dnia chmurne i posępne, stopniowo się rozpogadzało. Można było widzieć na niem i czytać, że sku-

tek rokowań obiecywał się pomyślnym. Jakoż ostatniego dnia, gdy na następny wyjazd był zapowiedziany, w kościele jawryńskim zawarty układ odczytano dla wiadomości wszystkich, w języku węgierskim, polskim i niemieckim.

Król w podarku złożył Elżbiecie kilka szub sobolowych z Polski przywiezionych i otrzymał wzaajemnie kilka dzielnych koni.

Zauważyliśmy wszyscy wprzód jeszcze, niześmy o warunkach byli uwiadomieni, że królowa z pouałością prawie macierzyńską z panem naszym obchodzić się zaczęła, a i uśmiech, acz smutny, na ustach się jej zjawił.

Na zapusty król zaprosił Elżbietę do Budy, która mu bytność swą przyrzekła. O warunkach ugody mówić nie chcę, gdyż, jako się niżej okaże, i ona i wszystko, cośmy z pomocą kardynała z wielkim wysiłkiem dokonali tu, dziwnem zrządzeniem Bożem w niwecz obrócone zostało.

Mnie ostatniego wieczora oświadczył król poufnie, iż królowa Elżbieta wielce mu się życzliwą okazała i z zupełną ufnością potajemnie zaręczyła, połączywszy go ze starszą córką swoją, że go jak syna miłować będzie i we wszystkim posiłkować i pomagać mu nie przestanie, byle się starał z rąk Fryderyka króla rzymskiego jakimkolwiek środkami syna jej i koronę jego odzyskać, a razem i dziedziczne księstwo austriackie, które zagarnął.

Gdy przyszła chwila odjazdu, król, królowa, kardynał, wszyscy my, najlepszej myśli byliśmy, ciesząc się zawartym pokojem i obiecując sobie z niego przyszłość szczęśliwą.

Ja, który tak dawno przy osobie królewskiej zostawać mam cześć i szczęście, wyznać muszę, że go dawno tak wesołym, tak uradowanym, tak ożywionym nie oglądał. Miałem sobie do wyrzucenia, iż dziwnem usposobieniem wewnętrznem, czułem się



smutnym i niespokojnym, jak gdyby w tej chwili właśnie zawód jakiś i nową klęskę przeczuwał.

Na prośbę królowej z naszego dworu dziekan Lasocki, który przy spisywaniu ugody był prawą ręką kardynała, w Jawrynie pozostał. Myśmy z dobrą myślą do Budy powracali, krom mnie, któryjechałem smutniejszy nazad niż gdyśmy do Jawrynu ruszali. Działo się to dnia czternastego Grudnia.

Nieprzewidziane są wyroki Boże. Gdy Cesarini zwycięstwem swem, a my wojny ukończeniem cieszyliśmy się, naprzód to nas spotkało, że pozostali w Budzie panowie, o warunkach jakkolwiek korzystnych pokoju usłyszawszy, od razu przeciwko niemu głosy podnieśli. O wyposażeniu córek Elżbiety ko sztem państwa i oderwaniu choćby piędzi ziemi od niego ani słyszeć nie chcieli. Kardynał dał im wołać i gardłować, jak zwykle czekając by burza z gromami przeszła i umysły się uspokoiły. Pochlebiał sobie, iż ich skłonić potrafi.

Nie miał obyczaju w zgromadzeniach z wielu głów złożonych, silić się sam jeden przeciw wszystkim, ale pojedynczo biorąc przeciwników zniewalać do zmiany zdania; a dopiawszy tego, by większość nawrócił, dopiero występował. I tu zapewne takby się obszedł z nimi, gdyby Bóg inaczej nie zrządził.

Gdyśmy Jawryn opuszczali i żegnali królowę, widzieliśmy ją wszyscy, acz znużoną, bladą i niezbyt krzepką, lecz zupełnie zresztą zdrową i na żadną dolegliwość się nieuskarżającą.

Nagle w cztery dni potem naprzód goniec z Jawryna, potem sam dziekan Lasocki, nadbiegł z tą wiadomością nie do wiary, że królowa Elża nagle, trzeciego dnia po wyjeździe naszym, zmarła.

Opisać miłości waszej tego przerażenia i podziwu, jaki nas opanovał, a boleści i żałości króla, rozpacz y niemal biskupa Sabińskiego, którego dzieło, trud kilkomiesięczny marnie przepadł, słowy słabemi nie potrafię.

— trzemieńczyk. T II.

Przyczyna tego zgonu tak nagłego, jednemu Bogu najwyższemu wiadoma, pozostanie pono na wieki zakrytą. Było to może wyroków Opatrzności zrządzeniem, lecz po ludzku sądząc, mogło też być sprawą złych, którzy się spodziewają dla siebie korzyści z zamieszki. Sędzią nie chcę być, bom świadkiem nie był, lecz cesarzowi Fryderykowi pokój był nie na rękę, równie jak zaciężnym Czechom. Mogli się znaleźć tacy, co z Elżbietą chcieli i traktat zawarty przez nią pogrzebać.

Lasocki opowiadał o niesłychanym zamęcie na zamku w Jawrynie, o płaczu wiernych niewiast przy zwłokach królowej.

Kardynał zaś, chociaż zmarłej żałował, chwili nie stracił. Widział jasno, że na zawarty układ wcale rachować nie było można i że natychmiast musiał na nowo rozpocząć traktowanie z cesarzem Fryderykiem, opiekunem pogrobowca, z którym daleko ciężiej było dopiąć celu. Cesarz bowiem od początku przy prawach następstwa obstawał i skłonić go do zupełnego pokoju nawet kardynał się nie spodziewał, ograniczając się już tem, by rozejm na lat kilka zabezpieczyć.

Biskupowi Sabińskiemu zaprawdę, sprawę chrześcijaństwa mającemu na widoku, nie szło nigdy o interes pana naszego, byleby wyprawę przeciwko Turkom uczynić możliwą. Coby później po odniesionych zwycięztwach nastąpić mogło, o tem nie myślał zawczasu. Ani mu też za złe brać się godzi, iż nas by poświęcić gotów dla obrony krzyża.

Z jego natchnienia już raz tu przybyło poselstwo tureckie, które nam pokój wprowadzie pod ciężkimi ofiarowało warunkami, ale, gdy się o nie z Grekiem układać było można, odesłaliśmy precz z niczem.

Postarał się Cesarini, byśmy je z wielką wspólnością i wojenną okazałością przyjmowali. Zdumiewali się nam Turey i towarzyszący im Grecy,

którzy Boga zaparliszy poganom służą, ale nie nie wskórali.

Wszystko tu u nas brzmi i rozlega się przyszlą wojną. Nagli o nią Paleolog, żąda jej papież, zachęca pomoc obiecując cały świat chrześcijański, a i młody pan nasz duszą i sercem jej pragnie. Wreszcie sługa wasz, który te wyrazy przesyła, radby też wojnę mieć i widzieć skończoną, abyśmy wraz z królem w pomoc pośpieszyli naszemu królestwu, które z jednej strony łotrzyki szlązkie napadają i plądrują, z drugiej Tatarzyn najeżdża, ażali prawda aż pod Lwów nasz się zapędzając!

Bogu wiadomo, czy kiedy w przyszłości porachuje nam to historia, żeśmy własnego kraju zabywszy, własnej zaprzawszy się sprawy, stali na rubieżach za krzyż Chrystusów walcząc. A ten młody pan nasz, który wszelkich rozkoszy wieku swojego się zrzekłszy, zbroją odziany, czeka tu rychłoli mu znak dadzą, aby szedł w bój... i trwa posłuszny na tych czatach żołnierza Chrystusowego, ażali nie godzien najwyższej chwały?!

Co z nami wygnańcami, w służbie przeciw nieprzyjaciółom krzyża, stanie się i jako obróci dola nasza, jeśli żyw będę, miłości waszej, panu mojemu najgodniejszemu nieudolnem piórem nakreślić nie zaniedbam. Całuję nogi miłości waszej, modlitwom jej niegodnego polecając służyć.

---

### VIII.

Grzegorz z Sanoka, jak z listu tego widzimy, nie opuszczał króla Władysława, chociaż jak w kraju, tak i tu, nie odgrywał przy nim żadnej ważniejszej roli, bo więcej zawsze unikał jej, niż się o nią starał.

Nie był on stworzonym do tych zabiegów ruchliwych, w których trzeba było często twarzą i słowy przypochlebiać się, prawdę zakrywać, kroki mierzyć, i jak łowiec do zwierzyny, iść ostrożnie do celu.

Kunszt ten wysoko ceniąc w kardynale biskupie Sabińskim i prawej ręce jego dziekanie Lasockim, chętnie im z miejsca ustępował, a nawet nad myślą Władysława dozwolił osiągnąć władzę wielką.

Grzegorz z Sanoka, kochając młodzieńca, na którego rozkwitnienie patrzył, więcej go chciał mieć dla kraju, dla Polski, niż dla świata. Ale mógł że walczyć z ludźmi, którzy mu ciągle sławę wielkich bohaterów prorokowali, Aleksandrem go i Cezarem przyszłym głosili, wystawiali mu chwałę, jakiej się miał dobić, i gorące serce rycerskie rozpalali, nie dając zwrócić się ku własnej ziemi i rodzinie.

Cenił i kochał król zawsze mistrza swego, rad się mu zwierzał, rad przed nim westchnął, ale się nie tał, że wielkiego owego głosu, którego papież Eugeniusz IV był tłumaczem, powołaniu na wodza i obrońcę usłuchać musi.

Rosło w nim serce bohatera, a Grzegorz, choć ze łzami w oczach, oziębiał go nie śmiał i sprzeciwić się szlachetnemu popędowi.

Ogarniał wszystkich zapal, który dokoła siebie kardynał szerzył, mając jakby od Boga zesłane natchnienie, wieszczym głosem zapowiadając, że Wła-

dysław urośnie na pierwszego bohatera swych czasów.

Król tak codziennie podżegany, trwał w zapale, młodzież polska i węgierska otaczająca go, uczucia te podzielała. Nieodstępny towarzysz, skarbnik, pisarz, mentor, pośrednik dziekan Łasocki wtórował wiernie kardynałowi.

Zjednany tym samym widokiem, wsławiony już zwycięstwami, obciwy nowych bojów i dostojności, rycerz mężny i wódz najlepszy Jan Huniady, ile razy przybył do Budy, prawił o walkach z niewiernymi i o możności odzyskania na nich zdobyczy, wygnania z Europy.

Zdawało się, że rozpocząć tylko było potrzeba wojnę, iść i zwyciężyć. Kardynał Cesarini ofiarował się też z krzyżem w rękę razem ciągnąć i stawać na placu boju. Obiecywano posiłki zewsząd. przyrzekano pieniądze, ale owi pielgrzymi zbrojni z Niemiec, z Włoch i innych krajów, o których mówiono wiele. przybywali bardzo skąpo, a byli to po większej części odarci i lichy zbrojni łotrzykowie, którzy gdzieindziej miejsca i chleba znaleźć dla siebie nie mogli.

Lata, które tu przebył nasz Grzegorz z Sanoka, wysyłany czasem do Polski, powoływany przez króla nazad, nieopuszczający go prawie, choć tak jak bezczynny, zubożyły jego doświadczenie, nauczyły go ludzi poznawać, lecz nie podniosły ani na stopień wyższy, ani położenie zmieniły.

Nauczył się języka węgierskiego tak, jak wprzód niemiecki sobie zupełnie przyswoił; przyjął wielu, nikogo z tych, których miał, nie stracił, i pozostał widzem ciekawym tego, co się dokoła zawiązywało, płatało i gotowało na przyszłość.

Kardynał Cesarini wysoko cenił uczoność jego, łacinę, podziwiał do języków zdolności, bo Grzegorz z podróży włoskiej i włoskiej mowy przywiózł znajomość, lecz nie znajdując w nim tak posłusznego na-

rzędzia, jakiego potrzebował, weale go do niczego nie używał.

W zdaniach też różnili się często. Kardynał Cesarini jeden tylko cel miał na oku, dróg do dojścia do niego nie wybierał, dla niego wiele gotów był poświęcić, a co mu Grzegorz miał właśnie za złe, siebie zarówno, ale i młodego króla.

Z Grzegorzem więc miłą się zabawiał pogadanką, ale w sprawach ważnych zamykał się z Lasockim i naradzał, jego posyłał, nim się wysługiwał.

Niepospolitym też on był człowiekiem i nie darmo ulubieńcem biskupa Zbyszka, który go tu na swem miejscu zostawił. Uczony, bystrego pojęcia, w pracy niezmordowany, życia wstrzemięźliwego, żelaznego zdrowia, zawsze gotów zarówno sięgnąć na koń i do pióra a z oku skorzystać, jak należało, dziekan był ulubieńcem kardynała, który nie wahał mu się najświętniejszej obiecywać przyszłości.

Poeta i śpiewak, Grzegorz z Sanoka nie nadawał się do spraw, wymagających przebiegłości, utrzymując głośno, że prostą drogę zawsze uważał za najkrótszą i najlepszą.

Trochę więc go lekceważono, a on obojętnie i nieco ironicznie na krzątających się poglądał.

Po długich zabiegach około cesarza Fryderyka, owego pana „małego serca,” który własne interesa zawsze stawiał przed innemi, udało się nieznanemu kardynałowi zawrzeć nie już pokój, ale rozejm dwuletni i to na niekorzystnych warunkach.

Było to raczej pozorne niż rzeczywiste zabezpieczenie się od domowej wojny, bo najemne Czechy z Giskrą pozostawały na tyłach.

Lecz niecierpliwość była tak wielka, tak rozdrażniona oczekiwaniem, że król ani Huniady. nie wahali się natychmiast, pomimo spóźnionej pory i nadchodzącej jesieni w listopadzie wyruszyć w pole.

Wszystko stało w pogotowiu tak, że gdy kardy-



nał przybył z powrotem, zawrzało w Budzie... i wnet pułki wyciągać zaczęły.

Władysław był niewypowiedzianie szczęśliwy. Wieczora tego, gdy wiadomość przysłała, powitał Grzegorza, jak zwykle powołanego do modlitw wieczornych, okrzykiem.

— Idziemy nareszcie! idziemy!

Oczy mu pały, drżał cały.

— Ty stoisz zimny — dodał z wyrzutem — jak gdyby ci sława moja drogą nie była.

Mistrz podniósł ręce obie.

— Królu mój — zawołał — także to o mnie sądzisz?

— Przebacz mój drogi — odezwał się Władysław — ty ducha tego wojowniczego nie masz... ja czuję, że powołany do boju! Wszystko się tak składa, abym w ręce Opatrzności i jej zrządzenie wierzył. Ona mnie woła i popycha!

Stanie nas w polu, Bogu dzięki, czterdzieści tysięcy żołnierza, które łatwo podwójną siłę turecką zmóżdż potrafią!

Huniady sam zebrał dwadzieścia pięć, mamy Czechów na żołdzie papieżkim, mamy ochotników, mamy Krzyżowców z Niemiec i Francji, Serbów i Wołochów.

— I co najlepsza — dodał Grzegorz — Polaków, którzy za ciebie królu nasz, ostatnią krwi kroplę wylać są gotowi.

— Zwyciężymy! — krzyknął król z zapalem niezmiernym — a ty, mój mistrzu, nieprawdaż, wierszem łacińskim podasz potomności sprawę nasze?

— Pozwolisz więc miłość wasza — dodał Grzegorz — abym, opiewać je mając, oglądał.

— Jakto! chcesz być z nami — dodał król radośnie.

— Jeżeli kardynał Cesarini towarzyszyć się wam nie waha, jakżeby ja, jałmużnik i spowiednik wasz, miał pana swego opuścić?

W ten sposób Grzegorz z Sanoka zaciągnął się

także na tę krzyżową wyprawę i razem z innymi wdział krzyż na piersi.

Oprócz niego, prócz młodego dworu i nieodstępnych towarzyszków, szli z królem polscy panowie: podkanclerzy Piotr ze Szczekocin, Piotr Nałęcz z Szamotuł, Paweł z Sienna Wojnicki, Jan z Tarnowa. Mikołaj z Chrzastowa, Mikołaj Różyc z Zakrzowa. Hinka Toporeczyk z Balic, Michał Lasocki, Stanisław z Pleszowa i wielu a wielu innych. Wszystkie rycerstwo najdzielniejsze, którego widok sam mógł trwożę wrazić w nieprzyjaciela.

Z Węgrów co przedniejszego brało ochotny udział w wyprawie.

Mniej pokąźnie stawily się pulki zaciężne i obce, ale te tak rozkładano, aby na oczach nie były.

Przy królu jechał z krzyżem w ręku przez krucyfery poprowadzony kardynał Cesarini, który na siebie rachował najwięcej, aby wojsko zagrzewać i nie dopuścić mu ostygnąć, dopóki by śmiertelnego nieprzyjacielowi nie zadało ciosu.

Pochód po uroczystym wyjściu z Budy, przy okrzykach, pieśniach, biciu we dzwony i modlitwach po kościołach posuwał się w takim ducha podniesieniu, z tak ognistym zapalem, że gdyby w tej pierwszej chwili nieprzyjaciel stawiał czoło, jak burza zniósłby ze szczytem.

Z nadzwyczajnym pośpiechem przebywszy Dunaj, wojsko oskoczyło mury Zofii. Gród nie mógł mu się opierać, poszedł w perzynę, a zaciężni żołnierze mężnie się na rabunek rzucili. Wszystkich ożywiał ten duch, który płynął z młodego króla. Pierwszy on do dnia dosiadał konia. kładł się na spoczynek ostatni, był jakby gorączką jakąś trawiony.

Nie dawał też mu ostygnać kardynał, równie bojowniczego ducha. Nic się oprzeć nie mogło zwyciężkim zastępom, a każda walka dodawała mężstwa.

Turey zasadzki czynili, napadali z boku, czato-

wali po wąwozach, rzadko znaczniejszy ich oddział wychodził do walki.

Dnia 3 listopada po wielu bitwach zwyciężkich nastąpiła krwawa i szczęśliwa pod Nissą

Zdobyto wrota Trojana, wąwozy Ssulu-Derbend. Turcy nie śmieli już wyjść w pole, ale osaczali prześciecia, kryli się za skalami, z wierchołków gór zasypywali strzałami.

Wśród tych szczytów okrytych śniegiem, po drogach zeszlonych od lodu, położyło się wojsko na krótki spoczynek w przededniu wigilii Bożego Narodzenia. Zwycięzki pochód, nicustanne utarczki pomniejsze, nie dające chwili do rozmysłu ani na spoczynek, utrzymywało wojsko całe w tym stanie roznamiętnienia rycerskiego, który zaślepił na następstwa i nie dawał widzieć niebezpieczeństwa.

Dnia tego. gdy na noc obóz rozbito w dolinie wśród białych gór, z których wiatr dał śniegiem i mrozem, król do nędznego wszedł namiotu. aby jeśli nie zdjąć, to choć zwolnić na ramionach zbroję.

Starsi z jego towarzyszków, których konie po drodze popadały, widząc brak żywności, nadchodzącą zimę, pozamykane wąwozy, w których głębinach Turcy siedzieli. pierwsi poczęli się domagać odwrotu. Dalej posuwać się nie było podobna.

Ale kardynał Cesarini. który sam chlebem suchym i roztopionym śniegiem żyć był gotów, pędził naprzód i o odwrocie mówić nie dawał.

Grzegorz z Sanoka u maleńkiego, rozpalonego z biedą ogieńka, pod nędznym namiotem, którym wicher targał a śnieg doń zalatywał, grzał ręce zbiedzony, gdy nadszedł podkanclerzy Piotr ze Szczekocin.

Nie zdjął on był zbroi z siebie ani helmu, w ręku trzymał kilka strzał, które w jego koszuli żelaznej uwieźły, a jedna z nich u ramienia lekko raniła.

Był to jeden z najwaleczniejszych rycerzy i jeden z najtroskliwszych o króla.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Mistrz Grzegorz — odezwał się do siedzącego, który nie dojrzał nawet gościa — jutro wigilia do Godów, pono ryby nie skosztujemy.

— Bylebyśmy chleb mieli — westchnął Grzegorz.

— Nie wszyscy go napewno dostaną — odparł podkanclerzy — kardynał sam żyje słowem Bożem i ogniem świętym, ale my, niegodni grzesznicy, wkrótce jeżeli nie od strzała nieprzyjacielskich, to od mrozu i głodu poginiemy Bogu na chwałę, ale komu na pożytek, nie wiem.

Grzegorz się uśmiechnął, poprawił ogieniek, który wiatr gasił.

— Mistrzu, czasby nam jeśli nie o sobie, to o królu pomyśleć — dodał Piotr ze Szezekocin. — Wy ucho pańskie macie. Włoch święty człowiek, ani słowa, ale ani kraja nie zna, ani wojny nie rozumie.

Zwycięstw, dzięki Opatrzności, odnieśliśmy dosyć, dokazali cudów. Turcy dokoła nas otaczają, nam głód doskwiera, zima nad nami... nie wyjdzie ztąd noga nasza!

— Ucho pańskie wprowadzie dostępne jest dla mnie — odezwał się Grzegorz — ale jakże zwycięzcę zatrzymać? nie widzi on i nie chce dojrzeć niebezpieczeństwa, a gdyby je przeczuwał nawet, jedno słowo kardynała popchnie go dalej.

— Na Boga, mistrzu — przerwał podkanclerzy — króla i sławę jego ratować potrzeba. Zwyciężyliśmy, lecz pragnąc nad siłę, stracimy plon zdobyty. Mówcie mu.

— Ja? — odparł Grzegorz. — Nie posłucha mnie. Idźcie wy wszyscy, coście dali męstwa i wytrwałości dowody, macie większe prawo przemówienia nademnie.

— Chodźże i ty z nami — zawołał podkanclerz — król jest w swoim namiocie i już do jutrzejszej przygotowuje się potyczki, która nas niechybnie czeka, bośmy wokół otoczeni. Chodźcie.

Cokolwiek zawahawszy się, wstał Grzegorz, poprawił kożuszek na sobie i wzdychając, szedł za podkanclerzym.

W gołem polu na śnieżnej zamieci, pootulani opończami, nieopodał stali, cicho radząc rycerze polscy, starszyzna: Jan z Bobrku, Piotr Nałęcz, Paweł z Sienna i inni. Gwarzyli pocichu, ale z żywością wielką, gdy Piotr ze Szczekocin nadszedł z Grzegorzem.

— Do króla chodźmy — rzekł, przystępując podkanclerzy.

O kilkanaście kroków był namiot Władysława z prostych wojłoków mały i ciasny. Świeciło się w nim trochę, a przez co chwila uchylane opłotki widać było ciżbę we wnętrzu. Młodzież napelniała namiot.

Czeladź tymczasem u ognia chudego zamarzłe zagrzewała wino i resztki skostniałego od mrozu mięsa.

Władysław stał w pośrodku, hełm zdjawszy ze skroni, z włosami rozpuszczonemi, z oczyma błyszczącemi, z czołem promieniejącem. On, Tarnowscy, Zawiszowie żywą prowadzili rozmowę. Kardynał obok w drugim namiocie znajdował się na modlitwie.

Gdy starszyzna ukazała się u wnijscia, rozstąpili się młodsi, król, zobaczywszy ich gromadą wciąż gających, zmarszczył się trochę.

Podkanclerzy zdjął szyszak i głos zabrał.

— Przychodzimy do miłości waszej — rzekł — z obowiązku sług wiernych. Szliśmy naprzód nie zważając na nic, lecz dalej chyba kości położyć przyjdzie. Wojsku żywności brak, konie padają, mroź ścisła, Turcy nas osaczają, a zima i śnieg dobijają.

Miłościwy panie, myśmy ginać gotowi, ale tobie, młodemu i do wielkich przeznaczonemu zwycięstw i dzieł, nie możemy dać tu zastrzegnąć marnie.

Zwycięzcami byliśmy, ale czas powracać, czas!

Wszyscy za podkanclerzem potakująco powtórowali.

Król drnął z niecierpliwości.

— Na Boga! — zawołał — wracać? wracać, gdyśny na progu zwycięstwa?

— Tego progu nie przestąpimy — rzekł podkanclerzy — Ludzie padają jak muchy. Nic przed Turkiem ustąpimy, ale przed mrozem i śniegiem, przed głodem!

Mruczenie i kilka głosów potwierdziło słowo Piotra. Król stał widomie zafrasowany...

Wtem z hoku podniosła się ścianka i kardynał w sobolowej szubce wcisnął się do namiotu. Twarz jego zbladła wyrażała przestach, oczy niespokojnie biegały.

Król, jakby na pomoc wzywając, wejrzał ku niemu. Cesarini podnosił już ręce

— Mówicie o odwrocie — zawołał — teraz, w tej chwili, gdy... krok dalej. a hordy te pierzchną strwożone przed nami... Chcecie laur zwyciężki zedrzyć ze skroni waszego króla?

— Wasza przewielebność — począł powoli Paweł z Sienna — nie widzieliście, jak my, co się z wojskiem dzieje. Z głodu i zimna zginiemy tu wszyscy. Koni połowa padła, w każdym obozowisku zostawiamy trupa, nie od strzał nieprzyjaciela, ale od chrobów i wysiłku. Litość mieć potrzeba nad ludem tym.

Cesarini zamilkł, spuściwszy głowę.

— Próżne obawy szepnął cicho — opieka Boża nad nami. Opatrzność nie da ginąć żołnierzom Chrystusowym.

Szmer dał się słyszeć między rycerstwem.

— Wasza przewielebność modlić się za nas racz, ale o wojsku dozwól nam myśleć, bo to nasza sprawa — rzekł trochę szorstko podkanclerzy. — Daliśmy dowody, że nam na męztwie nie zbywa, że nie z obawy ustąpić chcemy, ale z musu.

Wtem król, który słuchał znieszauny i smutny, wyciągnął ręce ku nim.

— Piotrze — odezwał się do podkanclerzego —



zaklinam cię i was na wierność waszą dla mnie, jutro wigilia do Godów... jutro.. tylko dozwólcie. Wiem i czuję, że wielką walkę zwyciężką stoczymy.

Potem—dodał ze smutnem westchnieniem—jeżeli rada wojenna postanowi, pociągniemy do Budy!

Wszyscy zamilkli, skłonił się podkanclerzy.

— Niech się stanie wola wasza—rzekł spokojnie—lecz pojutrze najdalej musimy wracać, jeśli choć część wojska miłość wasza do Budy chcesz doprowadzić.

Natychmiast cofnęli się wszyscy z ciasnego namiotu, w którym król, kardynał, na boku młodzież, a u wnijsia Grzegorz z Sanoka pozostał. Zmierzył go nieufnym wzrokiem kardynał, jakby w nim przeczuwał przeciwnika.

-- Znużeni są rycerze nasi—przerwał milczenie Cesarini—przebaczyć im to należy, lecz, zaprawdę, źle obrali chwilę do żądania odwrotu.

Stracimy owoc całej wyprawy!

-- Łękam się—odezwał się śmiało Grzegorz z Sanoka—aby dla owocu drzewo nie runęło. Siły ludzkie mają granice... a myśmy do niej doszli. Stan wojska okropny, śmierć grozi... Jeszcze chwila, a zguba nasza niechybna. Turek nas wojować nie potrzebuje, zima jest mu najlepszym sprzymierzeńcem. Bitwy nie wydaje, bo wie, że legniem i bez niej.

Król słuchał jakby zawstydzony. Cesarini się odwrócił milczący.

— Rycerstwo to—dodał Grzegorz—tyle okazało mężstwa, że mu uwierzyć można, gdy mówi *non plus ultra*. Ono zginąć gotowe, lecz króla ocalić mamy obowiązek.

Syknął kardynał.

— Wszyscyśmy na równe wystawieni niebezpieczeństwo—rzekł—czemuż go nie czujemy?

— Waszej przewielebności święty zapal—odparł mistrz—nie daje ziemskich rzeczy dojrzeć.

— Jutrzejszy dzień rozstrzygnie—wtrącił król

gorąco. — Zwycięstwo pewne. Ono podźwignie wojsko i sił mu doda.

Cesarini ręce podniósł ku niebu.

— Ten, którego narodziny w żłobku betleemskim pojutrze radośnie obchodzić mamy, Pan nasz i Wódz nasz zaopiekuje się nami.

Natychmiast król, jakby nie miała już rozmowę chciał przerwać, zapytał Grzegorza z Sanoka o Zbigniewa Rosperskiego, który tego dnia strzałą pod pachwinę ugodzony, na wozie do obozu jechać musiał, bo dużo krwi utracił.

Grzegorz odpowiedział, że ranę zawiązano i krew zatamowano, ale Rosperski spoczynku potrzebował.

Wtem wniosła czeladź rozmarzłe wino, chleb czerstwy, ser i skromny posiłek, którego pomimo znużenia, ponieważ dzień był piątkowy, zaledwie dotknęto.

Późną już nocą pokładli się, kto mógł na spoczynek krótki, ledwie rozdzielając ze zbroi.

Zaledwie szarzyć zaczęło, w obozie wszystko się poruszyło. Czaty na otaczających dokoła górach dostrzegły émy pogan, które stanowisko obwawszy sobie ponad wojskiem, zabierali się zasypać je strzałami. Gdzieniedzie okrzyki, pisk i nawoływania dzikie słychać było.

Król, już zbroję wdziawszy, konia niecierpliwie dosiadał i rwał się prowadzić swoich. Oddziały ściągano, namioty składano, dowódcy ludzi gromadzili, podnoszono chorągwie. Jeden z pierwszych, Cesarini siedział na koniu, zdążając za królem, lecz Władysław, który naprzód z młodzieżą wyruszył, prosił go, aby przy obozie pozostał.

Równo ze dniem, nie z jednej strony, ale naokół zawrzał bój straszliwy. Zdawało się, że Turcy czuli, iż nieprzyjaciela sam pochód i zwycięstwa wysiliły, spadali więc z gór zuchwale i walczyli wściekle. Lecz brzmiała już Bogarodzica, polskie pułki z królem rzuciły się na pogan, a przed ich żelaznym zastępem kupy dzikie pierzchały.

Grzegorz z Sanoka stał za kardynałem, który z konia nie zsiadając, modlił się i błogosławił. Patrzył na króla swego, który, uniesiony przez konia, zniknął mu z oczów wśród tłumu wijącego się i wrzeszczącego. Strzały tureckie sypały się jak grad i słychać było zdala dźwięczenie ich na zbrojach.

Dwa działa małe, które król miał z sobą, ustawione z boku, nabite drobnymi kulami, wsypywanymi w nie, dały się słyszeć zdala i buk ich rozległ się po górach. Tam, gdzie padł ich strzał, młotów pierchał. W ślad za nim biegli konni.

Lecz zaledwie jedną kupę rozegnano, druga z gór spuszczała się, jakby w ich wnętrzach niezliczone się tłumy legły.

Dzień stał się wielki, biały, ale z nim razem zerwała się zamieć śnieżna, która z wąwozów buchała obłokami i zakrywała walczących.

Całe wojsko z niezmierną zajądłością walczyło z poganami. Przy wozach i obozie zaledwie kto pozostał, bo i ciury zagrzane do boju biegły. Ponad tem śnieżnem bojowiskiem, jakby jeden krzyk ogromny, ryczało głosów tysiące.

Nadeszło południe. Na chwilę z za przelatujących obłoków ukazało się blade słońce i znikło.

Walka nie ustawała. Cesarini modlił się, upatrując króla, ale go już dojrzeć nie było można. Z wiernym orszakiem swoim znajdował się w pierwszych szeregach.

Z południa już, pieszo, straciwszy konia, rąnny w twarz, bo hełmu nieostroźnie uchylił, ukazał się nakuliwający Lasocki.

Grzegorz z Sanoka pośpieszył ku niemu.

— Co się z królem dzieje?—zawołał.

Zwrócił się kardynał ku niemu.

— Z królem?—odezwał się Dołęga.—Nie wiem już ile strzał w nim uwięzło i czy go nie raniła która, alem widział, gdy pędził naprzód i rozbijał a siekił pogańców!

Podkanclerzy hamował go napróżno. Ustąpić nie chciał, choć na góry te wdrapać się za niemi nie można, na karki nam spada ta szarańcza.

Cesarini poblaskł. On sam nareszcie dojrzał niebezpieczeństwo i strwożył się o króla.

Weźmijcie konia mojego—odezwał się—a jeśli siły macie, jedźcie ku królowi, zaklnijcie go, aby powracał. Na lepsze czasy zachować mn się potrzeba.

Mrok zaczynał padać, gdy w końcu wojsko, które na pierwsze wyniosłości cudem męstwa się spięło, zadawszy Turkom niemało ciosów, bo stoki były niemi usłane, zwoła dla nocy samej cofać się zaczęło.

Grzegorz z Sanoka upatrywał króla, tylko Cesarini niecierpliwy jeszcze wyjechał naprzeciw niemu. Na górach widać było uchodzące Turków gromady, kryjące się w wąwozach i na płaszczynach śnieżnych leżące pomostem trupy. Powracające pułki nuciły pieśń zwyciężką, którą wiatr, zrywając, roznosił. Górą niebiosą z za białych obsłon, wieczornym lazurem przyćmionych, nocne wypogodzenie i mróz zapowiadały.

Gwiazdy, co dnia tego w Polsce uroczystą odmówiły wieczrę z chrześcijańskim ołyczajem łamania się poświęconym chlebem, tu świeciły powracającym z boju wygłodzonym, rannym, znużonym, ale rozpromienionym zwycięstwem.

Podkanclerzy i ci wszyscy, co wczorał domagali się powrotu, dnia tego dokazali cudów, wojsko oprócz zaciężnych papieżkich żołnierzy i cudzoziemców do zimna nie przywykłych, skostniałych, biło się bohatercko. Król wracał ranny w rękę muóstwem strzał wśród dnia rażony, z których żadna zbroi jego i koszuli nie przebiła, oprócz jednej.

Rana ta, nieznacząca, tocząca się z niej krew radowała młodzieńca. Spoglądał na nią z dumą, pokazywał ją szczęśliwy. Była to krew za wiarę wylaną.

Z podniesionym hełmem jechał teraz, śmiejąc się i żywo z Tarnowskimi rozmawiając, tak jak niegdyś

na krużgankach zamku krakowskiego swawoląc z sobą, drażnili się wzajemnie.

Ponad głowami ich powiewały górami podziurawione od strzał chorągwie św. Wacława, Jerzego i królewska. Starsi rycerze jechali poważni i zadumani. Mieli słowo króla, że to była bitwa ostatnia. Dalej posuwać się nie było podobna. Przewidywali jednak, iż upojenie bojem dnia tego odwrót utrudni.

Podkancelerzy naradzał się ze swemi. Postanowiono, jakby wczorajszy rozkaz króla spełniając, gotować się do zwinięcia obozu.

Z wesołą twarzą Władysław powitał mistrza Grzegorza, ukazując mu ranę swą, pogiętą zbroję i cały pęk strzał, które wiózł geremek, wyjąwszy je uwiezione w królewskim rynsztunku.

— Bogu najwyższemu dzięki, dzień mieliśmy dobry i szczęśliwy!—zawołał król wstępując do namiotu z Grzegorzem.

— Miłościwy panie — odezwał się mistrz śniadło—Bóg pobłogosławił pobożnemu orężowi waszemu, ależ to dzień boju ostatni.

Mamy zięcia Amuratowego w niewoli, poległ Begler-bey Rumelii, Turków padło dosyć, grodów i zamków obrócono w perzynę wiele, chorągwi nabrano tyle, że niemi sklepienie kościoła w Budzie zawiesić będzie można. Czas powracać!

Władysław odwrócił się smutny. Cesarini, który już był może dnia dzisiejszego doświadczeniem nawrócony, milczał.

Wkrótce potem nadeszli wodzowie węgierscy i polska starszyzna.

Wszyscy zgodnie nalegali, aby się dalej poza ten wawóz Isladi nie posuwać.

Ludzi chorych, koni rannych było bez liku, częściej wozów dalej już iść nie mogła, żywność była wyczerpana. Król, choćby z Cesarinim może chciał zwyciężyć przeszkody i choć w zmniejszonej garści

naprzód się posuwać, nie mógł iść przeciwko zdaniu wszystkich.

Nazajutrz więc, w sam dzień Godów, po odprawionych pasterkach pod namiotami, do których się cisnęło rycerstwo, zaczęło robić przygotowania do podróży.

Wielką ilość wozów, uprzęży, broni, sprzętu wojennego, musiano dać na pastwę ognia, aby się nie dostała nieprzyjacielowi. Konie ranne dobijać kazano. Poukładano stosy olbrzymie, podłożono płomień i rycerstwo otoczyło je, ogrzewając się przy nich wesoło.

Wstąpiła otucha we wszystkie serca na tę wiadomość, że rozkazy dano do zwijania obozów i odwrotu.

Wczorajsi wojownicy, Turcy zasaczeni po górach, spoglądali z nich na te przygotowania, nie rozumiejąc co znaczyły.

Król spoczął przecież dnia tego. Lekką ranę przewiązano i zalano balsamem, który miał z sobą Cesarini. Resztki zapasów jadła zastawiono pod namiotami dla rycerstwa, lecz ta uczta na pobojożywie była prawdziwie rycerską i mniszą, i zaledwie głód doskwierający zaspokoić mogła.

Drugiego dnia Godów, ruszyły pułki z wawozów wyciągając nie bez ostrożności, gdyż przewidzieć było można, że Turcy z zasadzek wypadać będą i próbować, czy znużony nieprzyjaciół, który się cofał, nie postradał męstwa i siły.

Zaraz też drugiego dnia, pogaństwo ściągawszy się do kupy, na tyły i tabory rzuciło się z wrzaskiem zwykłym, sądząc, że łatwo uchodzących i zmęczonych pokona.

Spalenie wozów, pozabijane konie, krwawa bitwa ostatnia, kazały się domyślać, że wojsko słabem się czuło.

Zaledwie pisk dziczy usłyszał król i znany świst a szelest strzał, nie go utrzymać nie mogło. On, jego młodzież, starszyzna polska, inne też pułki zwróciły



się ku nieprzyjacielowi z taką gotowością do boju i zapalem, że Turcy zmieszani, zaledwie ujrzawszy ich, tył podawać zaczęli.

Władysław z młodzieńcem zuchwalstwem puścił się w pogoń za niemi, i ze swoimi pięciuset Polakami, składającymi jego straż przyboczną, wbił się klinem w pośrodek tego pogaństwa.

Można się było obawiać, ażeby go nie osaczono, lecz taka była obawa chorągwi tej i tego hnfa zwycięzkiego, iż Turcy w wąwozy i parowy cisnąć się i uciekając wkrótce zniknęli.

Króla, podkanclerzy, konia mu za cugle pochwywszy ledwie mógł powstrzymać, aby dalej się nie zapuszczał, gdzie zasadzka zdradliwa grozić mogła.

Tak się dokonała ta pierwsza wyprawa zwycięzka, która imię Władysława szeroko po świecie roznieść miała.

Turcy, jeżeli nie całkowicie pokonani, to przeżeni zostali. Stracili oni ludzi i chorągwi mnóstwo, a straty ich były nieskończenie większe, niż wojska chrześcijańskiego, bo lud był gorzej zbrojny i wojował bezładnie, siebie nie oszczędzając, przez dowódców też nie szczędzony.

To co wyliczał królowi przy powitaniu Grzegorz, zabicie Begler-beya Rumelii, wzięcie w niewolę zięcia Amuratowego Mohameda Czelebi, grody i chorągwie, łupy zabrane, starczyły na okrycie sławą wodza chrześcijańskiego, młodzieńca, na którym teraz świat cały pokładał nadzieję. Po ostatniem odparciu Turków, pochód dalszy był już zwyciężkiem ciągnięciem, radosnem a wesołem.

Przodem kardynał wysłał gońców, wyprawiono listy głoszące, że wojsko łanami okryte powraca. Nim ono do Bndy dociągnąć mogło, już i tu i wszędzie, gdzie wieść doszła radosna, sposobiono się króla i kardynała przyjmować jak tryumfatorów.

Polacy też, którzy niemałe dali dowody dziel-

ności, przyznawali sobie słusznie wielką część w tem zwycięstwie, a większą jeszcze męztwu i rycerskiemu duchowi młodego króla.

Od króla szedł ten zapach, jego słowo i przykład zagrzewało. Węgrów zazdrość to budziło. Oni doświadczeni, rozumowi i kierunkowi swojego wodza Haniada gotowi byli więcej jeszcze przypisywać, i w powrocie spory się o to wszczynały niemale, chociaż sam król młody oddawał swojemu pomocnikowi sprawiedliwość, a zasługi mu nie odejmował.

Huniady w istocie znając kraje te i Turków lepiej daleko, był niezbędnym, lecz naczelnictwo w boju wszędzie przy królu zostawało.

Z pewnością też i kardynał Cesarini rościł prawa do tryumfu, do którego zagrzewał, chociaż posiłki przez niego przywiezione, najmniej się na tej wojnie odznaczyły.

Przez dni kilka musiało wojsko spoczywać w Białogrodzie, dopóki się oddziały rozprószone i opóźnione nie pościagały.

W Budzie przygotowano się na uroczyste, świętne przyjęcie zwycięzców. Dzień to był wielki. Jeden z tych, które się w pamięci żywych wrażają na zawsze i przechodzą do potomności na kartkach dziejów. Rycerstwo przybrało się w szaty i zbroje najświetniejsze; wozy z łupami, chorągwie zdobyte szły za niem. Król z pokorą chrześcijanina, obyczajem starodawnym, szedł pieszo wprost do kościoła Panny Maryi, aby tam na ołtarzu złożyć trofea swoje.

Duchowieństwo, mieszczanie, cechy, chorągwie, przy biciu dzwonów wystąpiły na spotkanie. Obok króla szedł z krzyżem Cesarini, współwojownik i zwycięzca.

Lud witał okrzykami radosnymi, które wprędce aż na krańcach Europy odbić się miały.

Jak chorągwie krzyżackie Jagiełło na Wawelu, tak syn jego tureckie zawiesił u Panny Maryi w Budzie, oprócz tego na pamiątkę dzielnych swych to-

warzyszków broni polskich i węgierskich, rozkazawszy odmalować dwanaście herbów polskich i węgierskich.

Umieszczono pomiędzy niemi herb, kardynalskim kapeluszem okryty, Cesariniego i celniejszych Krzyżowców.

Grzegorz z Sanoka, niemy świadek tej wyprawy, powracał z niej szczęśliwy dla pana swojego, lecz przewidując wcześniej, że zwycięztwo to upoi, i osłepi i przywiąże króla do tego teatru wojny, na którym pierwsze swe zdobył laury.

Listy, które odbierał z Polski, przybywający z niej Polacy, wiadomości, które tu przynoszono, dla mistrza Grzegorza powrót Władysława do kraju, czyniły pilnym i koniecznym.

Lecz Polska i jej sprawy malały i nikły zaćnione interesem chrześcijaństwa. Co znaczyło owo wołanie szlachty, zgromadzonej na obrady w Sieradzin lub Korezynie, gdy głos Eugeniusza IV i Paleologa je gloszył?

Na naleganie mistrza odpowiadano niecierpliwie, że biskup Zbyszek i wielkorządcy starczą w Polsce i Litwie, że Kaźmirz zastąpi brata w Wilnie.

Tymczasem kardynał Cesarini, którego pragnienie wojowania pogan, wyprawa ta więcej wzmogła, niż zaspokoila, umiał z właściwą sobie zręcznością wypotrzebować tryumf ten, jako bodziec do nowej walki.

W umysłach zagrzanych jedna myśl się powta-rzała, przechodziła z ust do ust, stawiała się hasłem.

— Teraz chwila nadeszła, która złanie potęgę turecką!

Na pogan! na pogan!

Pewność zwycięztwa każdy nosił w piersi.

Jeżeli w tak nieszczyśliwych warunkach, zimą, z garścią niewielką otrzymano zwycięstw tyle, cóż dopiero gdy z całej Europy przybędą posiłki, gdy się najdzielniejsze rycerstwo skupi pod chorągwie młodego bohatera!

Cesarini listy pisał i rozsyłał nawołując.

Z ciasnej komórki swej patrzył na to i przysłuchiwał się wszystkiemu mistrz Grzegorz, a że widział jasno i chłodno, wiele pięknych widm, które w oczach innym takim jaśniały nrokiem, dla niego szaro i smutno wyglądały.

Często o to walki staczał z dziekanem Lasockim, którego kardynał sobie całkiem zniewolił i pozyskał.

Zapomniano, że Władysław był zarazem królem Polski.

Grzegorz, ile razy był z nim sam na sam, miał sobie za obowiązek mu to przypominać. Po takiej cichej z nim rozmowie, król tęsknił znowu, niepokoił się, nieśmiało wnosił przed kardynałem, że radby choć na krótki czas zjechać do kraju, który przytomności jego wymaga.

Mozolnie przygotowany dnia jednego grunt, najajtrz jak burza Cesarini i ks. Lasocki pustoszyli.

Domyślano się w końcu, że wpływ jakiś działa potajemnie i sprowadza te zwroty w usposobieniach.

Przez cały dzień, król był pod wrażeniem rozmów o wojnie i marzeń o przyszłej olbrzymiej wyprawie, której pożył.

Z góry układano plany. Wprost uderzyć na Adrianopol i pogan do morza wrzucić, zniszczyć, wytepić. Siłę krzyża, potęgę męstwa bohaterskiego nie oprzeć się nie mogło. Wyobrażenia przedstawiała już chorągwie z krzyżem powiewające na szczytach wież, nad którymi księżyc się unosił. Władysław widział się pogromcą tej nawały, która zagrażała Europie.

Wszystko zniknęło z oczów w blasku tych świetnych marzeń, które karmił Cesarini.

Wieczorem rozgrzany powracał jeszcze król do swej sypialni, gdzie mistrza Grzegorza z jego książeczką modlitw znajdował, z twarzą wypogodzoną, spokojną i smutną.

Naówczas wszczynala się zawsze rozmowa o Pol-

sce, o Litwie, o tem wołaniu i wzywaniu, wyciąganiu rąk do króla.

Z Polski tej dochodziły głosy: Myśmy ci pierwszy dali koronę, tyś nam winien opiekę... Opuściłeś nas...

Grzegorz z Sanoka stawał się tłumaczem miłości, tętnie ludu, jego prośb i przynagłań. Władysław słuchał i w duszy budziło się niezgasłe, ale przyćmione przywiązanie do własnej ziemi. Czuł, że tam powoływał święty obowiązek.

Tu otaczająca go wrzawa, sława, pochlebstwa, ale tam ręce wyciągała Polska, matka, brat, Litwa i utracone prowincye. Książęta mazowieccy, Litwa, Szlachacy; najazdy, zafargi... czekały na króla.

Bystrzej może widział i głębiej Grzegorz z Sanoka, niż wszyscy współczesni. Litwa dążyła do oderwania się z Kaźmirzem, a w Polsce tajemne, skryte knowania przygotowywały powrót Piastów do tronu.

Sam biskup Zbyszek, który napozór Jagiellończykom sprzyjał, nie był wolen od pewnej dla piastów sympatyj. Później się to objawiło dowodnie, a najdowodniej bije z kart dziejopisa (Długosza), który duchem Oleśnickiego był przejęty i wszystkie jego przekonania podzielał, czynnościom służył.

Oddalenie Władysława, uczynienie go obcym Polsce w chwili, gdy Piastowie zyskiwali tam zwolenników, potajemnym tym dążeniem sprzyjało. Lecz były one tak skryte jeszcze, osłonięte i niewidoczne, że raczej je przeczuwać, niż dojrzeć można było.

Ponawiane przypomnienia obowiązków dla Polski uczyniły wreszcie na Władysławie wrażenie silne. Otwarcie począł mówić kardynałowi, iż radby pojechać po kraju. Cesarini ulękli się. Groziło to ostygnięciem, któż wie? może zupełną zmianą usposobień.

Huniady na wodza nie starczył.

Europa nie знаła go tak dobrze jak króla, opromienionego urokiem bohaterskiej młodości.

Puścić go z rąk, z oczów, znaczyło tyle, co stracić.

Sama zwłoka groźną się zdawała. Turek prze-  
rażony mógł ściągnąć z Azyi siły nowe.

W izbach królewskich kardynał dnia jednego spo-  
tkał się z unikającym go Grzegorzem z Sanoka i przy-  
witał z tą słodyczą, która zawsze przepowiadała  
u niego jakąś walkę i potrzebę pozyskania czło-  
wieka.

— Pożegnałem też te boginie — odparł Grzegorz —  
i służę Marsowi, razem z przewielebnością waszą.

— Tak, o wszystkim musimy zapomnieć, po-  
mając tylko na tę świętą wojnę — dodał Cesarini.

I chwilkę pomileczawszy, rzekł znacząco.

— Król, który dotąd zapalem nam wszystkim  
dawał przykład, od niejakiego czasu zdaje się tę-  
sknić do Polski. Uważaliście to?

— Tak, i znajduję słusznem a naturalnem —  
odezwał się Grzegorz. — Dał już dowody, że do ofiar  
jest gotów, ale jako król polski ma obowiązki, któ-  
rych zaniedbywać nie może. Wiąże go tam przy-  
sięga.

— Wyżej wszystkich stoi przysięga na chrzcie  
krzyżowi pańskiemu — zawołał kardynał gorąco.

— Lecz obie się godzą z sobą — mówił spokoj-  
nie mistrz.

Zmarszczony i chmurny Cesarini zdawał się tra-  
cić cierpliwość.

— Posadzam was, kochany poeto, że wy to  
w królu budzicie tę tęsknotę do kraju niewczesną.

— Nie wstydzilibym się tego i przyznał, gdy-  
bym to czynił — rzekł Grzegorz — lecz młody król nie  
potrzebuje, aby mu jego obowiązki przypomniano.

Wtem Cesarini za rękę go pochwycił.

— Ojcie kochany — zawołał. — Wszystko na  
świecie jest względne, obowiązki mają hierarchię  
i stopnie. Dla najwyższych trzeba podrzędne umieć  
poświęcić.

Nie wątpię o miłości waszej dla pana, ale służy-  
cie mu źle, chcąc go uczynić maleńkim polskim kró-



łem, gdy my go pragniemy mieć wielkim bohaterem chrześcijaństwa.

Polska się nim pochlubić będzie mogła przed narodami!

Grzegorz z Sanoka skłonił głowę.

— Pozwolisz mi przewielebność wasza przypomnieć sobie, że już jedna królowa polska, Jadwiga, poświęciła się raz dla Kościoła i ochrzciła całą Litwę białą ręką swoją!

— Kościół pewnie jej tej zasługi nie zapomni — odparł lekceważąco kardynał. — Dziś chrześcijański świat wyrządza wam tę cześć, że waszego króla wybiera za wodza, a wy...

— A my — przerwał Grzegorz — skłaniamy głowy! ale wolno nam rzec, że czynim ofiarę.

Ułagodzony znowu, przycisnął się do mistrza Cesarini i poufale rękę mu kładąc na ramieniu, szepnął na ucho:

— Nie psujcie mi króla, proszę, nie ostudzajcie!

Grzegorz milcząco skłonił głowę, a kardynał, już spostrzegłszy kogoś potrzebnego sobie, oddalił się, pozdrawiając go miłym uśmiechem.

Tak samo ks. Lasocki zabiegał około starszyzny polskiego rycerstwa, którą wiadomości z kraju niepokoiły.

Wszystko się składało, aby upoić i nie dać ostygnąć.

Wiadomość o zwycięstwach Władysława, o tej pierwszej wyprawie Krzyżowców, zwiększona może oddaleniem, doszła do wszystkich dworów Europy.

Pierwszy uradował się nią papież Eugeniusz IV i natychmiast wyprawił legata do Budy z powinszowaniem i błogosławieństwem. Wiózł on Władysławowi kosztowny obraz w podarunku i miecz poświęcany przeciwko niewiernym.

Na stalowej głowni jego stało złożonemi głóskami pod krzyżem:

In hoc signo vinces.

Przyjęcie legata było nroczyste, publiczne, połączone z tą wystawą i przepychem, które Władysław tu ciągle otaczały.

Wszystkie posłuchania na wielkiej sali zamkowej w Bndzie odbywały się tak, aby oczy cudzoziemców olśniewały. Rycerstwo występowało w złotych zbrojach, w szatach od purpury i złotogłowi, w piórach, z tarczami sadzonymi, z pasami błyszczącymi od klejnotów, w łańcuchach ciężkich, w szubach sobolowych. Polskie i węgierskie stroje szły o lepszą. Duchowieństwo też nie ustępowało im w okazałości.

Tak wkrótce potem przyjmowano posła króla Franeyi, Anglii, Hiszpanii, Arragonu, ks. Filipa Burgundzkiego, książąt Medyolanu i innych włoskich dzielnic, rzeczpospolitej weneckiej, florenckiej, genueńskiej.

Stroje i języki wszystkiego świata zbiegały się tu u tronu Władysława, a posłowie przywozili listy, głoszące chwałę jego, zagrzewające do boju. Mógł młody zwycięzca czuć się dumnym i zapragnąć pień z tej czary, z której kto raz skosztował napoju, wiecznem się pali pragnieniem.

Oprócz pochwał i życzeń, niektórzy posłowie przywozili obietnice pomocy, zaręczenia posiłków. Czcze słowa, które później okazały się zwodniczymi.

Wszystkich panów, przybywających tu, Władysław nietylko z przepychem królewskim przyjmować musiał, ale zwyczajem wieku ich obdarowywać.

Skarb to wycieńczało, lecz zapal, jaki panował na dworze, nie dozwalał ni oszczędzać ani rachować. Ojciec święty obiecywał posiłkować złotem, inni monarchowie dawali do zrozumienia, iż się też do obowiązku poczuwali.

Wśród tego rozgorączkowania kardynał Cesarini wymógł na królu, bo miał nad nim przewagę wielką, że Polakom wzywającym do Polski odpowiedziano zwłoką, a wielki zjazd zwołano na św. Jerzy do Budy.

Miał on na celu wyprawę nową.

Na ten dzień zawezwano i Giskrę, dowódcę zaciągów zmarłej królowej i miasta, które trzymały stronę pogrobowca.

Młody pan był zawsze tym samym wspaniałomyślnym, rycerskim mężem wielkiego serca, co przebaczył i oswobodził niegdyś hr. Cilly i Władysława Garę. Bo, gdy na zjeździe przeciwko Giskrze zmówili się węgiersey panowie, aby jego i współników buntu, a niepokoju sprawców pochwycić, mimo listów żelaznych i poręczeń, król, dowiedziawszy się o tem, potajemnie Giskrze ułatwił ucieczkę, jemu i towarzyszom ocalając życie.

Mężny na placu boju, burzył się na samą myśl przeniewierstwa.

Zjazd pobór ogólny na wojnę uchwalił, bo skarb był wyczerpany do dna.

---

## IX.

W mieszkaniu swem na zamku, bo kardynał jak najmniej się od króla oddalał, siedział za stołem zadumany Cesarini. Wieczór się zbliżał i komnata, dosyć ciemna we dnie, cała już była mrokiem posępnym okryta, ale oblicze Włocha gęstsze jeszcze powlekały ciemności. Przy ludziach nigdy na tej twarzy, po której przechodziły błyskami wrażenia przelotne, poznać nie było można, jakie uczucie panowało duszy. Kardynał jak zwierciadło odbijał, co go otaczało; zdawał się odczuwać wszystko, lecz siebie nie zdradzał. Ruchoma ta maska była zagadko-

wą przez to właśnie, iż się zmieniała co chwila. Taką ją czynił temperament włoski. Umiejętność życia okrywała nieprzebitą zasłoną.

Lecz w tej chwili, gdy sam z sobą nie potrzebował się ukrywać ani baczyć na siebie, Cesarini zmarszczoną, posępną, nasrożoną niemal twarzą wypowiadał wielkie cierpienie. Poruszał się machinalnie, bez myśli, jakby nim krew rzucała, powstawał, siadał, podpierał się i ręce to zacierał, to łamał, to tarł niemi twarz i rozrzuceł już przerzedzone włosy.

Na drzwi spoglądał niekiedy niecierpliwie, jakby oczekując na kogoś, i znowu wpadał w zadumę, która sprawadzała rozdrażnienie jeszcze większe. Walczył z sobą.

W progu ukazał się dziekan Lasocki, idący cicho, mierzonemi krokami, z również zafrasowanem obliczem.

Dwaj ci ludzie, pod wrażeniem jednych myśli, pod ciężarem wspólnym, niepodobni byli do siebie, jak te dwa plemiona, których krew mieli w sobie.

Włoch miał krew zburzoną, Polak z zimną krwią, zabierał się do boju. Ale Włocha bój miał ostudzić i uczynić rozważnym, gdy Polak właśnie dopiero na placu mógł się rozgorączkować.

Różnica ta natychmiast na jaw wyjść miała. Na widok dziekana Cesarini obliczu kazał milczeć, a Lasocki mimo woli poddał się przykreemu wrażeniu, które z sobą przynosił.

— Tak jest — odezwał się cicho do kardynała. — Niestety! Nie ulega to wątpliwości. Jerzy, despota Rascij i Jan Huniady bez wiedzy króla, podstępnie, tajemnie weszli w układy z Turkami. Owoc tylu usiłowań stracony... zawarli pokój... to jest zmuszą króla do zawarcia go. Warunki są... korzystne.. Ustępstwa, jakich się nigdy po Amuracie spodziewać nie było można!

Kardynał ręce załamał.

— Nieszczęście! — zawołał wyrażając się popu-

larnie po włosku (*accidentel*), co razem jest rodzajem przekleństwa.

Chwilkę mileżał.

— Iść przebojem — dodał pocichu — na nie się nie zdało... Walczyć w tej chwili przeciwko pokojowi niepodobna... Gra musi być inna...

Lasocki patrzył i zdawał się czekać na wytłumaczenie. niedobrze rozumiejąc jeszcze.

— Wysadzeni z siodła — dodał Cesarini — musimy iść przy koniu i głaskać go, dopóki się nań wsiąść nie uda.

Spojrzał bystro na Lasockiego, uśmiechnął się i dodał, jak zwykle, gdy bardzo coś uczuł mocno, po włosku:

— *Chi va piano, va sano... e lontano, lontano.* Musimy zgodzić się na pokój, pochwalać go nawet.

Przerwał i dołożył, szepejąc, obiema rękami robiąc ruch, jakby rozdzierał coś w nich:

— Pójdzie ten pokój w kawałki!

— Lepiejby go niedopuszczyć — rzekł Lasocki równie cicho.

— Niepodobna! — przewał niecierpliwie kardynał. — Kopano dolki pod nami, wpadliśmy w nie... wprowadzimy z kolei kopaczy...

Położył palec na ustach.

— Słuchajcie mnie, proszę; nie sprzeciwiamy się pokojowi, pomagamy do niego...

Poruszył ramionami żywo.

— Tak, ale wyprawa przyjdzie do skutku i będzie świetną, będzie zwycięzką... daję na to głowę moją. Pamiętajcie, jesteśmy za pokojem!

Przeszedł się po izbie raz i drugi kardynał, pociągając mucet i poprawiając czapeczkę na głowie.

— Wiecie warunki? — zapytał — ja się ich domyślam. Despocie oddaje zapewne Turek zabrane zamki i miasta... a Huniady?

— Huniademu oddaje Jerzy to, co z nadania Alberta i Władysława na Węgrzech posiadał...

— Panowie pamiętali, że pierwsza miłość od siebie!—rozśmiał się kardynał.— Nie dziwuję się despotcie, nie pojmuję wojewody! Huniady! ten nasz wódz i bohater!

— To też pokój nie jest jego sprawą, ale despoty. On, Huniada, namówił, wciągnął, zbałamucił, opętał. Wielki wódz dał się omamić.

— Huniady!—powtórzył kardynał.

— Despota wybrał do zawarcia pokoju z Amu-latem chwilę sposobną— mówił Lasocki.

— Tak, wyprawa, którąśmy przeciw niemu sposobili i która przyjdzie do skutku — sierdzisto i z naciskiem rzekł Cesarini — napędziła mu strachu. Despota korzystał.

— Oprócz tego mówią, że Karaman, syn chana Tatarów, z ogromnym tłumem zbierał się iść na Natolię — dołożył Lasocki.—Niewola Czelebiego, klęski poniesione, wszystko to dumnego najeżdzcę zmiękczyło.

— I Huniady, Huniady dał się omamić — wtrącił kardynał, a po chwili dodał: — Rozumie się, że i my jedziemy do Szegedyneu.

Spojrzał na dziekana, który lekkim głowy skinieniem zgadzał się na wszystko.

Wieczór nadchodził szybko, w komnacie robiło się coraz ciemniej; sługa wniósł światło i razem z nim wtoczył się raczej niż wszedł ogromnego wzrostu opasły mężczyzna, którego twarz wschodniego wybitnego typu, z czarnymi wielkimi oczyma, więcej chytrości niż rozumu oznaczała. Łatwo było odgadnąć, że on miał się za bardzo przebiegłego i mądrego, lecz czy nim w istocie mógł się zwać, wątpić się godziło.

Obejście się wielce pokorne a zarazem niby do-broduszne, zdradzało ochotę uchodzenia za prostaczka.

Był to Grek, którego pod imieniem Arkadiusza znano, posługujący różnym, a teraz despotowi Rascij.

Kardynał, znawca wielki ludzi, oddawna go już ocenił i stosownie się obchodził z nim. Oblicze



Cesariniego w przewidywaniu, że na niem przybyły szpiegować będzie myśli, przybrało wyraz obojętnego spokoju.

Arkadyusz po niskim pokłonie, obejrzawszy się na Laseckiego, westchnął i ręce zacierając, począł:

— Przychodzę przewielebność waszą zapytać, bom nieświadom niczego a niespokojny. Wieść się rozechodzi, bałamutna może, o pokoju? Nie zanosilo się na to?

Kardynałowi nie drgnął żaden mięsień twarzy.

— O pokoju?—powtórzył.—Nie nie wiem. Zkądże ta wiadomość?

— Pogłoska — rzekł Arkadyusz—miał ją jakoby przywieźć goniec od wojewody Siedmiogrodu i despoty.

— A cóż mówią o nim?—pytał zimno ale z zajęciem pewnem Cesarini.

— Powiadają, że korzystając z usposobienia sultana, który siedmdziesiąt tysięcy dukatów za Czelebiego zapłacić musiał i dużo ludzi utracił. Huniady i Despota skłonili go do przystania na bardzo dobre warunki.

— Cóż to zowiesz dobrymi warunkami?—uśmiechając się, spytał kardynał.

Arkadyusz pilno mu w oczy patrzył i ramionami poruszając, rzekł:

— Mówią o dobrych warunkach, ale ja, ja ich nie wiem! Lecz... czyby król, pan nasz miłościwy, w którym taki zapal do boju goreje, przystał na to?

Cesarini ramionami poruszył, udając obojętność. Obrócił wszystko w żart.

— Kto wie? gdyby sultan Amurat opuścił Adrianopol i z całą swą tłuszcą powrócił do Azji!

Arkadyusz przymuszonym śmiechem odpowiedział, ale oczy jego nie schodziły z kardynała.

— A przewielebność wasza — rzekł — cobyście trzymali o pokoju?

— Ja, mój Arkadyuszu—odparł kardynał—z po-

wołania, jako duchowny, jestem człowiekiem pokoju. Wszystko zależy od tego, czem go okupić potrzeba.

— Pogłoska ta jeszcze do was nie doszła? zapytał Grek.

— Dotąd nie wiem — odezwał się Cesarini.

— Zdaje się jednak, że listy jakieś przysły od Huniady do tutejszych panów — zniżając głos, dodał poufnie gość, który, nie śmiejąc się, stał w uniżonej postawie. — Węgrzy sobie dosyć życzą pokoju. Wojna wszystkich znużyła, skarb wyczerpała. Króla do Polski wyzywają, podobno jechać tam będzie musiał, bo się w jego Polsce zawichrzyło. Skarb też wyczerpany, bo młody pan szafuje nim po królewsku, a nim miasta złożą pobór uchwalony...

Zatrzymał się Arkadyusz, chcąc wydobyć jakąś odpowiedź od kardynała; Cesarini siedział z oczyma spuszczonemi, ręką białą po stole przebiegając i zdawał się tak obojętnym, jakby go ta sprawa najmniej obchodziła.

Grek, który postanowił go wybadać, nie po-przestał na pierwszej próbie.

Waszej przewielebności przypisują, że życzyliście nowej wyprawy i pogromu Turków; cóż tedy, gdyby do pokoju przyszło? Zmieszałyby się wszystkie szyki i poszły w niwecz przygotowania! Szkoda!

Kardynał tak zagadnięty, nie spojrział nawet na Greka, ale patrząc na ścianę, odparł.

— Ci, co mi przypisują pragnienie wojny, nie mylą się, dziecko moje. Pogan pragnąłbym w istocie widzieć wyżenionemi z Europy, ale pokój zawarty nawet nie jest nigdy wiecznym. Cóż tu dopiero rozprawiać o niedokonanym? Ja nie wiem.

Odparty tak Arkadyusz westchnął i zwrócił się do Lasockiego, który zdala stał milczący.

— Wy, ojcie—rzekł—co wszystko wiecie, powinniście już byli słyszeć coś o tem?

— Byłem zajęty ekspedycją papierów do Polski odrzekł Lasocki—nie widziałem nikogo.

— Gońcy przybyli, bom ich sam widział—do-  
dał Arkadiusz.

— Więc niezwłocznie się to wyjaśni — zakończył dziekan.

Grekowi zawiedzionemu nie pozostawało już nic nad zmianę rozmowy. Zwrócił ją na przedmiot obojętny i ciągle oczyma śledząc kardynała i dziekana, nie niewydobywszy z nich, odejść musiał.

Cesarini wieczora tego, pod pozorem choroby, nie wyszedł na pokoje do króla. Nie chciał okazać zbytnej nawet ciekawości, niepokoju i pośpiechu.

Wiadomość o przybyłych pismach już się po całym dworze rozeszła, a Cesarini nie dał znaku życia. Lasocki słuchał, nie mówiąc nic.

Jeden z pierwszych o pokoju zamierzonym i na wpół już dokonanym przez potężnego Huniada, dowiedział się Grzegorz z Sanoka.

Dla niego była to wiadomość pomyślna bardzo. Lękał się wyprawy przeciwko Turkom, na której tak niezmierne pokładano nadzieje... radby był króla widzieć w Polsce. Nadzieja zawarcia pokoju uradowała go, lękał się tylko wpływu kardynała i wojennej żądzy Władysława, a drżał z niepokoju.

Dnia tego wcześniej niż zwykle poszedł do sypialni królewskiej, tak bardzo pragnął się z nim widzieć. Króla tu jeszcze nie było, pomimo że godzina spoczynku zwykłego nadeszła. Nierychło dał się słyszeć szybki chód jego i żywa z towarzyszącym mu Gratusiem Tarnowskim rozmowa.

Król wszedł niespokojny i zaszepiony. W progu pożegnał się z towarzyszem i zobaczywszy Grzegorza, wprost zmierzył ku niemu. Błady był i poruszony.

— Wiesz — zawołał — słyszałeś! Huniady pokój z Turkiem umówił!

Załamął ręce.

— Wszystkie nasze najświetniejsze nadzieje rzucone w błoto! Nigdy drugi raz nie nastreży się już

taka zrzeczność zgładzenia potęgi pogan! Starania kardynała, wysiłki Paleologa, pomoc wszystkich panów chrześcijańskich przyrzeczona I wojewoda siedmiogrodzki, mój najlepszy wódz, ten prawdziwy bohater, prowadzi nas do tego upokarzającego układania się z tym rozbójnikiem okrutnym! do traktatów z poganymi! Srom i hańba!

Wykrzyku tego mistrz wysłuchał spokojnie i dawszy ostygnąć królowi, począł zwolna.

— Ja w tem nie widzę nic tak dla nas nie-szczęśliwego a, uchowaj Boże, sromotnego. Prędzej-bym się radował z tego końca, jeśli warunki pokoju korzystne.

— Pokój każdy teraz zgubą i hańbą! — przerwał król. — Cała Europa ma na nas obrócone oczy i na mnie pokłada nadzieje. Miałabym zawieść oczekiwania i okazać się małoduszny?

Grzegorz zmilczał nieco.

— Królu mój—odezwał się umyślnie ociągając z odpowiedzią — za porywczo bierzecie to wszystko. Cała Europa karmi cię obietnicami, listami pochwalnemi i pochlebstwy, i za twą krew, daje piękne słowa. Gdzież są te obiecane zastępy i te ślubowane posiłki pieniężne? Przysłano nam garść włóczęgów, których w obozie wstydzić się i kryć z nimi było potrzeba. Palacz i Węgrowie walczyli sami Krzyżowców niemieckich i włoskich niema co wspominać. Na przyszlą wyprawę nie dadzą więcej.

— Mylisz się—przerwał król.

— Bogdajbym się mylił—rzekł Grzegorz.—Pokój kilkoletni dałby czas urządzić sprawy polskie, przygotować się powoli a silnie do ostatecznej rozprawy. Huniady jest mąż odważny, baczny, świadomy potęgi, z którą walczyć będzie do wojny, ja w sumieniu mem pokój doradzam i modłę się do was, jeżeli słuszny a godny... nie odpychajcie go

Złożył ręce, w których trzymał książkę modlitw i stał tak przed królem, patrząc mu w oczy.

Władysław zdawał się nieco wzruszonym, lecz wprędce wróciło mu usposobienie, z którem przyszedł; tęsknota za sławą, za wojną, za tą aureolą rycerza chrześcijańskiego, której pożądał.

— A—zawołał—ty dobrze wiesz, czem mnie złamać możesz! Przypominasz mi Polskę i pierwszy względem niej obowiązek. Widziałeś sam, byłeś świadkiem, że go spełnić żądałem, że chciałem jechać, żem postanowił.

— A kardynał to jednym słowem w niwecz obrócił—wtrącił Grzegorz.

— Nie kardynał! wszyscy, wszyscy mnie błagali, ahym pozostał — odparł Władysław. — Ta wyprawa ma być stanowczą i ostatnią!

— Losy wojny niepewne — odezwał się mistrz smutnie. — Największe nadzieje zawodzą. Jeżeli pokój możliwy, królu.

Tu Grzegorz przykląkł na jedno kolano.

— Zaklinam cię.

Władysław uchwycił go za ramiona.

— Grzegorz mój, ojcie kochany — rzekł. — Ty wiesz, ja nie zależę od siebie. Papież, ojciec nasz, Paleolog, królowie, książęta... żądają tego po mnie. Zaszczyt to, cześć dla mnie i dla Polski naszej.

— Grzegorz uczuł, że w tej chwili nalegać byłoby próżnem; spuścił głowę, rozłożył książkę, zaczął szukać modlitw wieczornych. Król też nie wznowił rozmowy, ale widać było, że rzucone przez Grzegorza słowa na opokę nie padły.

Nazajutrz rano, panowie węgierscy, którzy listy od wojewody i despoty odebrali, po naradzie weszli uroczyście i tłumnie do króla, domagając się posłuchania. Kardynał wiedział zawczasu o tem, że w Budzie nie było prawie jednego człowieka, któryby się nie cieszył nadzieją pokoju.. pokoju żądanego przez samych Turków!

Juz to samo, że oni go pragnęli i wzywali do

niego, pochlebiało dumie... a wewnętrzny stan kraju nakazywał z tego korzystać.

Kardynał wobec tak jednomyślnego domagania się, obrachowawszy, że oprócz w Lasockim, nie znajdzie poparcia w nikim, przybrał zagadkową postawę... stawiał się neutralnie. Wiedzieli wszyscy, że podzegał do wojny, że uwodził obietnicami wysłania floty, która miała pilnować na morzu i niedopuszczyć, aby posiłki z Azyi dla Turków przybyły; nie udawał więc, że zmienił zdanie (temu by nikt nie uwierzył)!. przybrał postać złamanego, zwyciężonego i ulegającego przeważnej sile człowieka. Król widząc, że nawet kardynał jawnie oporu stawiać nie myśli, zachwiał się.

Węgierscy panowie przybywszy tłumnie, wymownie i gorąco wyrazili zgodne zdanie swe, aby pokoju nie odrzucać. Kraj był wycieńczony, ogłodzony, znękany, wojną, a sławy miał do syta

Na to poselstwo, przemawiające natargiwie, nie mógł król inaczej odpowiedzieć, jak milczeniem przyzwalał.

Kancelarz państwa i inni dopraszali się, aby Władysław niezwłocznie udał się do Szegedynu, gdzie posłowie tureccy przybyć mieli.

Naglono tak o pośpiech, domagano się tak gorączkowo, iż opierać się nie było podobna. Kardynał, który dotąd zawsze głos zabierał i gotów był walczyć z przeciwnikami, zapewne rozrachowawszy ich liczbę, milczał. Oblicze jego pochmurne, niemal szyderskim jakimś uśmieszkiem skrzywione stało jak groźba niema ponad roznamietnionymi

Dawszy szeroko się wytłumaczyć Węgrom, do których panowie polscy się nie mieszała, stojąc na uboczu, król wtrącił tylko:

— Pomniście, że Turek z chytryści i przeniewierstwa słynie. Być może, iż nas uwodzi pokojowymi nadziejami dlatego, aby nasze przygotowania wojenne wstrzymał. Gdybyśmy nawet do Szegedynu



jechać mieli, to nie inaczej, jak wyprawivszy część wojska, którą gotową mamy, aby stała w polu i groziła mu wtargnięciem.

Kardynał po raz pierwszy mocno poparł króla.

— Najprostsza ostrożność i rozum doradzają to — rzekł. — Nie wprzódv jechać, aż wojsko wyciągnie. Jeśli pokój ma w istocie stanąć, ono go poprze najdzielniej.

Panowie węgierscy widząc, że król stawil to jako warunek, spojrzeli po sobie i zgodzili się.

Krół nawzajem podróży się nie opierał.

Łatwiej na pozór daleko, niż się spodziewali panowie, zdobywszy to czego życzyli sobie, widząc kardynała milezącym, niepróbującym nawet oporu i sprzeciwiania się. nie mogli zrozumieć, jak się to stało.

Cesarini dotąd nigdy takiego nie ukazał umiarkowania.

Wychodząc z posłuchania od króla, jeden ze znanych dobrze Grzegorzowi magnatów, spotkawszy go w podwórzu, a widząc, że mistrz nie bardzo z Włochem był przyjaźnie, poczał śmiejąc się chwalić odniesionem zwycięstwem.

— Wiesz, ojczu, cud się stał — zawołał do królewskiego kapelana. — Kardynał zaniemiał. Tryumf odnieśliśmy niespodziany.

— Sądziecie? — przerwał szydersko mistrz. — Nie cieszcie się zawczasu a nie dowierzajcie. Człowiek ten, gdy mileży, niebezpieczniejszym jest niż w rozprawie. Dopóki on tu mieszka, wierzajcie mi, jest panem i was wszystkich przemoże, jeśli nie rozumem to przebiegłością.

— Ależ król jedzie do Szegedynu! — zawołał Węgrzyn.

— A pokój nie zawarty jeszcze! — szepnął Grzegorz. — Więcej powiem... gdyby zawartym był, ja i temu nie zaufam.

Zmarszczył się magnat, ale ręką uderzywszy po szablę i zakląwszy w swoim języku, rzekł.

— Jeden przeciwko wszystkim nic nie dokaże!  
Rozeszli się tak.

Król złamany domaganiami się Węgrów, przymuszony traktować o pokój, spotkania się sam na sam z Cesarinim obawiał i wymówek a uzaleń, które go ominąć nie mogły.

Gdy po odejściu panów, weszli razem z nim do pobliskiej komnaty, król tak był zmieszany i upokorzony, że na kardynała spojrzeć nie śmiał.

Wielką moc mający nad sobą Cesarini, w pierwszej chwili nie okazał nic nad smutną rezygnację.

— Padam ofiarą — odezwał się — mojej wiary w Węgrów, ale spodziewam się, że oczyścić się po-  
trafię. Niestety! za nierozważnie, za pośpiesznie zaręczyłem, że wyjdziemy w pole! Zawiadomiłem o tem papieża, księcia Burgundyi, Wenetów i Genuańczyków, którzy z flotami w pomoc nam śpieszą. Okrutny! sromotny zawód dla mnie, lecz Bogu go ofiaruję! — dodał pokornie.

Król ujęty bólem tym, starał się go pocieszyć.

— Nic się jeszcze nie stało — rzekł — nic może się nie dokona. Znaćcie moje uczucia, wiecie żem gotów... lecz...

Kardynał przerwał, dając znak ręką, że mówić nie potrzebuje.

— Cierpliwości... tak, miłościwy panie, burzę tę przetrwać potrzeba, nie przekonamy ich. Milezmy na teraz, patrzmy, czekajmy! Ja zostanę ofiarą, ja ogłoszony będę kłamcą i lekkomyślnym, ale czas to naprawi, wyjaśni i oczyści mnie.

Kardynał złożył obie ręce na piersi, oczy podniósł ku niebu, westchnął i ułożył tak twarz swą, że się prawdziwym wydawał męczennikiem.

Król poruszony mocno uściskał go.

Postanowiona podróż do Szegedynu nie cierpiała zwłoki. Panowie obawiając się, aby jej co nie stanęło na zawadzie, wzięli się zaraz do przygotowań. Wojskom dano rozkazy wyciągania pośpiesznego

nad granicę, dwór sposobił się do podróży. Król sam prosił Cesariniego, aby go nie opuszczał, kardynał też wybierał się mu towarzyszyć. Dwór polski, młodzież, niektórzy z panów, Grzegorz z Sanoka, dziekan Lasocki, wszyscy jechali za królem.

W Szegedynie czekali Węgrowie bardzo licznie zebrani wszyscy, którym szło o to, aby pokój zamierzony stanął w istocie.

Czasu tego, który upłynął od pierwszych gońców wojewody siedmiogrodzkiego do zjazdu w Szegedynie, kardynał używał bardzo oględnie lecz zrzęcznie.

Publicznie wcale nie występował przeciwko traktatom. Pytany bolał tylko, że sprawy węgierskie zmuszały do tego kroku, który w Europie, po świetle surowo mógł być sądzony. Gdziekolwiek rozmowa o pokoju rozpoczęta została wobec liczniejszych świadków, Cesarini wcale w niej nie brał udziału. Okrywał się wielce znaczącem milczeniem.

Na osobności, z młodzieżą polską i węgierską, odzywał się z wielkim żalem, że rycerstwu wydzielano cłwałę, którą się okryć miało. Przemawiał gorąco, a że słowo jego działało na umysły, do których z dziwną zrzęcznością było zawsze zastosowane, odchodzili od niego gorętsi z żalem w duszy, z niechęcią przeciw starszyźnie, która dała się pieniędzmi i mającemi korzyściami uwieść do sromotnego kroku.

Tak pokątnie tylko działając, Cesarini publicznie przeciw układom nic nie działał... był świadkiem bezczynnym przygotowań do nich.

Wszystkich, a najbardziej Grzegorza z Sanoka, to zachowanie się kardynała w zdumienie wprowadzało.

Mistrz Grzegorz nie krył się z tem wcale, że pokoju dla króla pragnął i popierał go wszelkimi siłami. Lasocki równie był zamknięty i milczący jak ten, który nim władał.

Młody król walczył z sobą. Mistrz, mający jego zaufanie, bo przed nikim się z taką otwartością nie

wywnętrzał jak przed nim, najlepiej wiedział co się w tej młodej, zburzonej duszy działo.

Wieczorem czasem znajdował go na modlitwie cichej, ze łzami na oczach.

Jednego dnia poddawał się konieczności, drugiego wracał do żalów swych i pragnień.

— W pół drogi do celu... zaparto mi ją! Los złamali... przyszłość tak świetna zgubiona na wieki.

— Królu mój!—wolał Grzegorz—nie masz lat dwudziestu... przeciwko Tatarom i Turkom we własnym kraju będziesz mógł walczyć i wstawić się. Ten pokój to palec Boży! Kardynał jest zaślepiony... nie obwiniam go, bo wiem, że sam gotów jest z życia uczynić ofiarę; ale rachuby jego mylne, zaufanie w pomoce płocze, nieprzyjaciela za lekko ceni.

Król bolał niewymownie.

Kilka dni oczekiwano na posłów tureckich. Wiadomem już było, że na czele poselstwa ma się znajdować Grek, renegat, o którym Arkadiusz mówił, zapierając się z nim znajomości, jakoby ze słuchu tylko, lecz drudzy utrzymywali, że dwaj jednoplemienni byli z sobą w tajemnych stosunkach.

Głoszono go, jako przebiegłego wielce i chytręgo człowieka. Wstręt zawczasu budziło to, że przechodząc do służby tureckiej, zaparł się dla niej Boga i przyjął mahometańskie wyznanie.

Grek, przeciw któremu przodem wysłano mały poczet dla bezpieczeństwa, dodając Arkadiusza za tłumacza, nadciągnął w sto koni, bogato i wspaniale strojnych i objuczonych. Kilkunastu janczarów, dla świetności orszaku, dodał mu sultan.

Z Szegedyńu wysypało się co żyło dla zobaczenia tego wyjazdu, który się odbył w milczeniu, ale z uroczystością wielką.

Od granicy już, wedle zwyczaju, podejmowano Turków, dostarczając im żywności, wyznaczając gospody, a w Szegedynie czekały na nich domy opróżnione i tłuste barany, któremi się żywić mieli.

Turcy wieźli dla króla podarki kosztowne, koni kilka najpiękniejszych, materyj, tkanin różnych i klejnotów.

Na dzień następny pierwsze posłuchanie naznaczone było.

Dla Greka Rodokos'a i tych, co się z nim królowi przedstawić mieli, zawczasu posłano, zwyczajem wschodnim i u nas zachowywanym, szuby sobolowe jedwabiem kryte i suknie kosztowne, które wdziawszy, poselstwo sprawić mieli.

Młody król przyjmował Turków na tronie, otoczony co przedniejszymi ze dworu swojego panami, z całym majestatem monarszym. Przy tronie stali trzymający chorągiew, miecz wielki obnażony, laski i godła pańskie urzędnicy węgierscy.

Greki, po turecku przyodziany, w szubie na wierzech, którą mu podarowano, przykląkł przed królem i w krótkich słowach powitał Władysława. Zagaił tem, że pan jego pokój z sąsiadem zawrzeć jest gotów.

Radokos miał powierzchowność niepowabną, czarny był, oczy mu biegały niespokojnie, ruchy miał dziwne i dumą nadrabiał, czując, że podłym się wydawać musi. Z twarzy jego niewiele się dawało się wyczytać, wejrzenie skośne przypominało dzikie zwierzę, w ustach było coś złego. Na przemiany uniżony do zbytku, jakby potem przypominał sobie od kogo i z czem przychodził, rwał się zuchwale.

Po tem posłuchaniu wielkiem, rozpoczęły się dopiero z wyznaczonymi panami węgierskimi o pokój umowy. Turek tak skłonny był do zgody, że prawie bez sporu oddawał zamki zagarnięte w Rascii wszystkie, część Albanii dla despoty. Bulgarów tylko zatrzymać chciał dla siebie.

Przytomny Jerzy despota Rascii, który najwięcej miał korzystać z tej powolności Turka, rzucił się na kolana, błagał, zaklinał, aby nie opuszczano tak szczęśliwej zręczności odzyskania twierdz i grodów obronnych, które niegdyś wiele krwi kosztowa-

ły, a dziś darmo zwrócone być miały. Panowie też węgierscy obstawali równie gorąco za pokojem.

Kardynał zdala patrzył, słuchał, marszczył się, lecz przeciwko prądowi ogólnemu nie mógł wystąpić. Nie chciał opierać się nadaremnie i być pokonanym, a czuł, że nie zwycięży.

Oprócz króla samego, który smutnie przyjmował te warunki, nie mogąc zaprzeczyć, że były korzystne, prócz kardynała i dziekana wszyscy zdawali się zgodnie cieszyć pokojem, który na lat dziesięć miał być zawarty.

Jęki i błagania despoty, który oprócz zamków miał odzyskać dwóch swoich synów, będących w ręku Amurata, przyczyniały się też wielce do przyspieszenia układów.

Grek zdawał się nad wszelkie przewidywanie powolnym, godził się na warunki już wprzód oznaczone, wymagań nowych nie stawiał.

Trzeciego dnia dał znać Lasocki Cesariniemu, że pokój był już tak jak zawartym. Kardynał pobladł, ale nie rzekł ani słowa. Wyszedł jak zwykle do króla i ani spytał go o nic, ani wymówek mu nie czynił.

Traktat ów dziesięcioletni z obu stron miał być poprzysiężonym, przez Turków na alkoranie, przez króla.

Radokos, w chwili, gdy o tem była mowa, obstając mocno, aby przysięga jak najuroczystsza była i jak najsilniej obowiązująca, wniósł, ażeby król ją na poświęconej Hostyi u ołtarza złożył, na tem, co dla chrześcijanina najświętszem było.

Nie bez przyczyny Grek się tego domagał. Wiedział on dobrze, iż przy królu byli ludzie, którzy przeciwko traktatowi mieli go podżęgać i do złamania namawiać.

Arkadyusz myśl tę mu poddał.

Na pierwszą wzmiankę o tem Grzegorz z Sannoka, który się w izbie znajdował, podniósł głos z gwałtownością wielką:



— Nigdy w świecie być to nie może! — krzyknął.—Przysięga na Hostyę niesłychana u nas, zwyczaj żaden jej ani dopuszcza, ani uświęca! Byłoby profanacją! Na to pozwolić nie można.

Grek obstał przy swoim.

Oburzony, wybiegł mistrz wprost do króla, przy którym znalazł kardynała z zaciętymi ustami i piorunującymi oczyma.

Pomiędzy Cesarinim a Grzegorzem z Sanoka w ostatnich dniach przychodziło codzień do sprzeczek i sporów często w rzeczach małej wagi, jak gdyby Cesarini oprzeć się nie mógł niechęci swej do tego człowieka.

Gdy ze zmienioną a gniewną twarzą wpadł na pokoje mistrz, kardynał zmierzył go wejrzeniem złości.

— Miłościwy panie—odezwał się Grzegorz z zapalcem.—Grek bezbożny domaga się rzeczy niegodziwej, niemożliwej... Chce przysięgi na Hostyę! Byłoby to profanacją! Tego dopuścić się nie godzi!

Władysław porwał się z siedzenia, ale nie odpowiadając, spojrział na kardynała, jakby go wyzywał. Cesarini się skrzywił ironicznie.

— Jeżeli pokój robicie i króla do przysięgi nań zmuszacie—odezwał się—dlaczegożby i na Hostyę nie miał przysięgać? Zwyczaju tego niema, ale zakazu niema! Taka czy inna przysięga będzie nieważna!

— Jakto? — wykrzyknął Grzegorz, cofając się zdumiony.—I to wasza przewielebność mówicie? Wy? księżę Kościoła? Dopuścilibyście, aby dla sprawy ziemskiej Boga samego używać i czynić świętość narzędziem.

— Przysięgamy na Krzyż i Ewangelią—odparł kardynał—dlaczegożby nie na Hostyę? \*)

---

\*) O tym sporze z Cesarinim Kalimach opisuje w życiu Grzegorza z Sanoka. P. A.

— Nigdy w świecie nie dopuścim tego!—zawołał Grzegorz,

— Powtarzam wam — wtrącił Cesarini — że nie widzę w tem ani profanacyi, ani nic nadzwyczajnego... a ta przysięga.

Lekceważąco ręką potrząsnął.

— Heretykom i poganom ani wiary, ani przysięg nie jesteśmy obowiązani dotrzymywać — dodał kardynał.

Grzegorz się wzdrygnął.

— I to miałoby być chrześcijańską nauką? — zawołał gwałtownie — nauką tego Zbawiciela, który nieprzyjaciół miłować kazał, a za złe dobrem odpłacać? Który w Ewangelii swej nikogo z pod prawa miłości nie wyjął.

Cesarini spojrzał z rodzajem politowania na mistrza Grzegorza, ramionami poruszył i odwrócił oczy w inną stronę.

Grzegorz podszedł do króla.

— Miłościwy królu rzekł z powagą i namaszczeniem—chociaż przytomny tu legat Ojca świętego zdaje się być za tą niesłychaną formą przysięgi, której Turek a raczej chytry Grek, jego poseł wymaga, ja, jako stary twój sługa i stróż sumienia, błagam cię, warunku tego nie przyjmuj. Byłem i jestem za pokojem—dodał—ale taką okupionym ceną... nigdy!

Kardynał pilno patrzył na króla.

Być może, że popierając przysięgę na Hostyę, chciał jej zapobiedz i pokój ten zniweczyć w chwili, gdy już był w chwili zawarcia. Domyślał się, iż pobożny Władysław pójdzie za radą mistrza. Jakoż król okazał jawnie, że na te wymagania przystać nie może.

— Nie będę im przysięgał inaczej, tylko według obyczaju—rzekł stanowczo.—Nie bój się, mistrzu mój. świętokradztwem się nie skażę.

Uśmieszek przebiegł na ustach Cesariniego, milcząco spojrzał na Grzegorza, który stał jeszcze.

— Mam odnieść tę odpowiedź króla? — zapytał.

— Tak, powiedz im, że jeżeli mi nie ufają, przysięga żadna wiary nie wzbudzi — odparł Władysław.

Grzegorz zwycięzko spojrzał na Cesariniego, który w obliczu miał coś szyderskiego, i oddalił się.

Na pokojach króla czekano potem rozwiązania tego sporu o przysięgę dosyć długo. Trochę zniecierpliwiony niepewnością tą Cesarini, wyprawił La-sockiego na zwiady.

Dziekan powrócił przynosząc wiadomość, że Grek upierał się przy swej przysiędze na Hostyę, ale widocznem było, że ulegnie i od warunku tego odstąpi, ograniczając się Krzyżem, Ewangelią, a ołtarzem.

Kardynał, posłyszawszy to, pochmurniał, ostatnia nadzieja zerwania układów znikła.

Nazajutrz król poprzysiągł zawarty traktat dawnym obyczajem, a Turcy zamki w przeciągu ośmiu dni wydać się zobowiązali.

---

## X.

Milczenie, cierpliwość, obojętność, z jaką kardynał Cesarini patrał na zawarcie pokoju w Szege-dynie, podżeganie dziwne, gdy szło o przysięgę, lekceważenie jej... dla tych, co jak Grzegorz z Sanoka, znali Cesariniego, niepojętem się wydawało.

On, co był wyprawy przeciwko Turkom duszą i sprężyną, co czuwał tu tylko nad tem, aby wojnę krzyżową przeciw niewiernym uczynić nieubłaganą

i ostateczną... w chwili zawarcia dziesięcioletniego pokoju zachował się tak, jakby w istocie już nie miał najmniejszej nadziei skłonienia do walki. Nie pozostawało mu nic więcej, jak powracać do Rzymu, gdyż pobyt jego na dworze króla Władysława nie miał celu.

Nie mówił jednak wcale o odjeździe, a w drodze do Budy, jak w Szegedynie, zachował się z tą samą obojętnością. Grzegorz z Sanoka, który śledził każdy ruch tej zagadkowej postaci, przekonał się tylko, że przy każdej zręczności sam na sam z królem i z tymi, których znał usposobienia rycerskie, kardynał starał się obudzić w nim żal, iż pokój ten laury, sławę, zasługi im odbierał, niweczył wszystkie ich nadzieje.

Król też był smutny i zamyślony. W podróży na jednym ze spoczynków, nie oglądając się na to, że Grzegorz był przytomnym, Cesarini począł te żale rozwodzić.

— Zaprawdę — mówił do króla — nigdy Turek nie dał dowodu większego przewrotności a rozumu, jak teraz. Czuł i wiedział dobrze, że siły całego chrześcijaństwa zbierają się przeciwko niemu, że im nie podoła. Dlatego zgodził się na wszelkie warunki, jakichby nigdy inaczej duma pohańca przyjąć nie dozwolił! Przeszła wojna, w której wy, miłośnicy panie, okryliście się taką sławą, nauczyła go, czego się ma spodziewać po drugiej wyprawie! Nie-szczesny ten pokój drogo opłacicie. Nie mówię o sobie, com się zobowiązał za was w obliczu Europy, bom wyszedł na kłamcę... wszakci Chrystusowe dzieci w oplwanych sukniach powinny się nauczyć chodźć! Znoszę to z pokorą... Żal mi większy was, bo wam palmę z rąk wydarto!

Król wzdychał.

Toż samo utyskiwanie powtórzyło się w Budzie.

Dnia jednego kardynał z taką mówił gorącością, z takim przejęciem, że łzy niemal młodemu panu wycisnął.

— Ojcie mój — wyrwało się z ust Władysława — nie krwawcie mi serca. Stało się, przysięgę złożyłem, jest przysięga.

Cesarini ruszył ramionami.

— Przysięga niewiernym, nieprzyjaciółom Chrystusa! podchwyciona, przynaglona przez Huniadego i despotę? Co warta ta przysięga! Nie! Papież i ja rozgrzeszylibyśmy, gdyby ją złamać przyszło.

Król pobladł i drżeć zaczął.

— Ojcie mój — odparł wychowany w poszanowaniu nie tylko przysięgi ale danego słowa młody Jagiellończyk — wy byście mnie może rozgrzeszyli, ale moje sumienie nigdy!

Na ten raz, nie popierając swojego zdania, Cesarini skrzywił się pogardliwie i zamilkł.

Wieczorem król ułamek tej rozmowy powtórzył Grzegorzowi z Sanoka, który, słysząc to, zadrżał i ręce załamał.

— Królu mój — rzekł — przysięga każda jest świętą... poganom czy wiernym dochować jej potrzeba. Kardynał jest uniesiony wielką myślą zagłady nieprzyjaciół krzyża Chrystusowego, ale się myli. Zapał mu nie daje widzieć jasno prawdy! Na Boga! nie dajcie się zwieść z prawej drogi!

Tymczasem zaledwie król do Budy powrócił ów tak na pozór uspokojony kardynał, który z początku utyskiwał tylko, począł już nie własne żale, ale nadchodzące zewsząd pisma i podżegania do wojny przynosić.

Pierwsze listy, które nadeszły, były od kardynała Franciszka tytułu św. Klemensa, dowódcy papieżkiej floty z doniesieniem, iż okręta jego, oraz połączone z nimi statki Wenetów i Genuńczyków stały w pogowoiu do wyjścia, że mogły wprędce wyruszyć na morze, aby Turkom zaprzeczyć przeprawę do Natolii i posiłków nie dopuścić.

W listach tych, wyprawionych wprzód nim się dowiedziano o zawarciu pokoju, naglono króla, aby

wedle danego słowa, ze swej strony pośpieszał do Romanii i wojnę rozpoczynał.

Kardynał przybył do króla z pismami temi sztydersko uśmiechnięty, ironiczny, i rzucając je na stół, wybuchnął już wcale innym tonem niż wprzód.

— Ani ojciec święty, ani rzeczypospolite, ani Burgundyi nie wiedzą—zawołał—że my tu pokój zawarliśmy. Floty są gotowe. Europa na nas rachuje. Co za srom! jakie upokorzenie, jakie niebezpieczeństwo dla sprawy chrześcijaństwa, którą opuściliście.

Król słuchał przerażony.

— Pokój was wiąże, ale Europy nie obowiązuje.. ona go znać nie chce. Ojciec św. poczynił takie ofiary, kardynał Franciszek czeka, a my tu... z założonemi rękami...

— Widzieliście konieczność, mój ojcie—rzekł król.

— Widziałem niekonieczność, ale upór despoty i Huniady — odparł żywo Cesarini — a teraz widzę wiarołomstwo wasze względem papieża. Przysięgliście, ale i złamaliście słowo wasze.

Król rzucił się z załamanemi rękami ku Cesariniemu.

— Możecież mi to zarzucić?—wykrzyknął.

— Zaprawdę! zaprawdę! — wołał, rozogniając się kardynał. — Papieżowi i panom chrześcijańskim daliście przyrzeczenie, słowo rycerskie, a teraz... wystawiamy je na sztych...

— Ojcie mój! litościł—odezwał się król błagając.—Widzieliście postępowanie moje, byłem zmuszony.

— Więc cóż warta wasza przymusowa przysięga?—przerwał tryumfując kardynał.

Nie umiał Władysław odpowiedzieć na to, lecz z piersią uciśnioną, przerażony, smutny wyszedł i zamknął się w swej sypialni.

Kardynał był znowu, jak wprzód rozgorączkowany. Nie ograniczył się na tem nawracaniu króla, poniósł pismo kardynała do kanclerza, do panów polskich, wszędzie toż samo powtarzając i usiłując



zawczasu przygotować do tego, że zawarty pokój i złożona przysięga nie miała żadnej wagi.

Przyznać należy ognistemu kardynałowi, że umiał sprawę swą popierać wymownie i przekonywająco. Przed kanclerzem węgierskim starał się okazać, że na naród spada hańba za te przeniewierstwo.

— Króla nie obwinia—mówił—młodzieniaszek, niedoświadczony, mógł się wam dać uwieść i przekonać. Hańba czeka Węgrów za zdradę Chrystusa.. na was świat cały rzuci winę i słusznie. Wy w obliczu historii będziecie dźwigać hańbę tego zawodu. Ojciec św. wam tego nie przebaczy.

Pismo to pierwsze już poruszyło umysły... wielu z Węgrów i niemal wszyscy Polacy szemrali przeciwko pokojowi. Kardynał coraz głośniej dowodził, że traktat ten nie miał żadnej wagi, a przysięga króla znaczenia.

Mówił głośno wszystkim, a coraz natarczywiej powtarzając, że gotów jest wziąć złamanie przysięgi na swe sumienie i króla uroczyście z niej rozgrzeszyć.

Słowo to, zaledwie wyrzeczone, doszło do Grzegorza z Sanoka, który z oburzenia i gniewu wpadł w zapamiętanie. Począł równie głośno wołać, że nikt ani nawet Ojciec św. od dobrowolnie złożonej przysięgi uwolnić nie może.

— Sam Pan Bóg—krzyknął w zapalc—tego, co było spełnionem, nie może zniścić. Co się stało, źle czy dobrze, stało się, i człowiek dźwiga następstwa. Niech Bóg uchowa, aby króla kto śmiał namawiać do złamania przysięgi! Skalać tem tego czy stego, bohaterskiego pana naszego! Nigdy!

Jeszcze wrażenie po liście kardynała nie ostrygło, gdy z Konstantynopola przyniesiono list błagalny od cesarza Jana Palcologa, który zaklinał króla, aby się Turkom nie dał omamić, a szedł ich wojuwać teraz, gdy godzina ich zguby naznaczoną była, gdy on mógł im zadać cios śmiertelny.

Kardynał tryumfował, lice jego promieniało. Krztał się goręcej, niż kiedy, nie poczynając od króla, ale potajemnie nalegając na znaczniejszych panów węgierskich.

Dowodził on im, pojedynczo każdego z nich biorąc do siebie, że zawarty pokój był zdradą, hańbą, a zobowiązania dawniejsze, przysięgę tę czynily nieważną.

Powaga Cesariniego, wymowa jego, listy z Rzymu i Konstantynopola, wszystko to zwołna zaczynało działać na słabe umysły i zachwiało niemi.

Rycerstwo cheiwe sławy, zagrożone tem, że papież, rzeczpospolite włoskie, książę Burgundy, krzyżowscy angielscy i francuscy pomoc obiecywali, zaczęto głośno ntyskiwać. Grzegorz z Sanoka sam nie miał jeden pozostał ze swem niezłomnem przekonaniem, że słowa i pokoju należało dotrzymać.

Kardynał umiał sobie pozyskać młodzież z królem Władysławem najpoufalej obcującą, dwóch z Tarnowa i Zawiszów.

Młodość ich czyniła łatwemi do przekonania. Cesarini w kilku dniach wmówić im potrafił, że powinni byli króla nawracać i starać się przygotować do wojny... mimo przysięgi.

O tej przysiędze wszędzie i ciągle odzywał się z taką wzgardą, ponawiając to, że brał złamanie jej na swe smnienie, że rozgrzeszyć był gotów publicznie, iż w końcu wielka większość dworu już ją lekceważyć zaczęła.

Stracona owa wyprawa przeciwko Turkom, wydawała się tak niezawodnem zwycięstwem, że żal po niej obłąkiwał umysły rycerstwa.

Pozostawał do zwalczenia kardynałowi mąż, od którego najwięcej zależało, wódz najdzielniejszy, człek prawy, nieskałany niczem, rycerskiego ducha, Huniady. Pokój zawarty z Turkami zapewniał mu Bułgarię. On sam z despota przyczynił się do jego zawarcia, a bez Huniada, wojna była niemożliwą.

Kardynał wezwał go dla widzenia się z sobą nie do Budy, lecz w małej odosobnionej mieścinie, w której zjechać się mieli.

Wojewoda siedmiogrodzki listem powołany, w którym nie było mowy o celu narad, przybył obiecał. Kardynał nie wydając się z tem, dokąd jechał i po co, zniknął z Budy.

Jakim sposobem potrafił przekonać i nawrócić wojewodę, i skłonić go do zgody na złamanie traktatu zawartego, pozostało tajemnicą. Powrócił z tej wycieczki kardynał wesół, z rozjaśnionem czołem, i nazajutrz stawiając się przed królem, począł powitanie od tych słów.

— Mógłbym miłości waszej powinszować, gdybym nie wiedział, że wiadomość, którą przywożę, sumienia królewskiego, zbyt surowo trzymającego się litery zobowiązań, nie oswobodzi od skrupułów.

Turcy się zobowiązali w osiem dni zdać zamki. Upłynęło już dużo więcej czasu... słowo złamali, my też od dotrzymania go jesteśmy wolni.

— Trzy zamki oddali Turcy— odparł król—zaświadniając, że resztę niezwłocznie uwolnią..., i załogi wyprowadzą.

— Nie rozumiem dlaczego byście miłość waszą mieli im okazywać powolność, którejby oni zaprawdę w. miłości nie uczynili.

Nie dotrzymali traktatów... są więc zerwane

Król spojrział niespokojnie dokoła, badając jakie to na innych przytomnych uczyni wrażenie, i nie odpowiedział nic. Czuł w duszy swej, przy tych naleganiach, ucisk wielki. Co wieczór bolał i skarżył się przed Grzegorzem z Sanoka, który z uporem niezachwianego przekonania, starał się go krzepić i umacniać, aby trwał przy swej przysiędze.

Na twarzach przytomnych nie mógł król nic wyczytać, oprócz zafrasowania. Nikt nie przeczył temu, że Turcy, ścisłe biorąc, traktatu nie dotrzymali.

Kardynał nie nalegał. Chciał on wszystko tak

przygotować, aby na ostatku mieć tylko do przełamania skrupuł króla. Rachował na jego młodość, na swą wymowę i natarczywość.

W największej tajemnicy rozkazał Lasockiemu przygotować i spisać akt stwierdzony najuroczystsza przysięgą i pieczęciami, którym zobowiązali się ci, co do niego przystępowali, nie zważając na żadne inne śluby i przyrzeczenia, iść walczyć z poganą i w walce tej trwać do końca.

Król jeszcze o niczem nie wiedział, gdy już na wspomnionym dokumencie stały imiona i pieczęcie kanclerza państwa Szymona Rozgona, biskupów kilku, wojewody siedmiogrodzkiego, wszystkich niemal urzędników węgierskich.

Kardynał po jednym naprzód ich pozyskiwał sobie, potem kilku zebrawszy, ich imionami resztę pociągnął.

Czas upływał, należało naostatek uderzyć na samego króla. Cesarini się przygotował do tego i do walki z Grzegorzem, o którym wiedział, iż go złamać nie potrafi. Wpływ spowiednika skromnego musiał nstąpić przed powagą ojca kościoła. Młodzież będąca przy Władysławie, zwolna go oswajała z myślą tą, iż wojna mogła jeszcze przyjść do skutku.

Ale król dotąd zamykał im usta przysięgą.

Starszyzna polska rycerze dzielni, jak Jan z Rzeszowa, Paweł z Grabowa, Jan Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna i inni mnodzy, już ze względu na Polskę, do której świętość im Grzegorz z Sanoka codzien wpajał, stali na uboczu, i przy każdej zręczności, starali się Władysława zapalać wojenny hamować.

Ale jak z jednej strony to trudnem było, bo król bolał okrutnie, że zawód uczynił papieżowi i książętom, którzy mu zaufali, tak z drugiej nie-mniej złamać w nim poszanowanie ślubu, uroczyscie przed ołtarzem złożonego.

W młodem sercu jego i umyśle wrzała walka

straszna, która się na licu, w mowie, w życiu całem odbijała. Nic mu nie smakowało, chodził niespokojny, modlił się prawie ze łzami... szukał pociechy i nigdzie znaleźć jej nie mógł.

Grzegorz z Sanoka z żelaznym, niezłomnym uporem, powtarzał codziennie: Królu, słowa i przysięgi każdy powinien dotrzymać, a kto stoi na świeczniku, ten stokroć winniejszy, gdy da zły przykład...

Z jednej strony słysząc ciągle, że przysięga nie była ważna, z drugiej, że nie jej naruszyć nie mogło, Władysław w sobie nie znajdował rozwiązania tej wątpliwości.

Tak stały sprawy królewskiego sumienia, gdy kardynał mając już za sobą biskupów, Huniada i panów węgierskich, zjawił się u króla z licznym poczem duchowieństwa i panów, aby ostateczny szturm przypuścić.

Dziekana Lasocki, o którym mówić nie potrzebowaliśmy, na kilka dni wprzód, przysposabiał Władysława... Sam on czuł, że się coś gotowało. Panowie i duchowieństwo nie zdradzając się, milczało znacząco, gdy mowa była o pokoju...

Chwila obraną została tak, że mistrz Grzegorz, który się do klasztoru Franciszkanów rano udał, przeszkodzić nie mógł roznowie. Z kardynałem przybywali Szymon Rozgon kanclerz państwa, Piotr biskup czanadzki i Wawrzyniec palatyn... nie licząc dziekana...

Już zebranie tych osób zapowiadało, że Cesarini niósł z sobą sprawę ważną, która się rozstrzygać miała.

Odgadnąć było łatwo po udziale kardynała, o co chodziło... Król wychodząc zadrżał i pobladł. Przeczynał, iż Cesarini zechce go skłonić do zapomnienia przysięgi, ale nie domyślał się, że towarzyszący mu już się zobowiązali nie poszanować jej..

Z wielką uroczystością i majestatem wysłańca głowy kościoła, kardynał rozpoczął mowę. Dowodził

w niej, że nie król i nie korona węgierska łamała traktat, lecz sami Turcy go naruszyli i nie dotrzymali. Dodał, że on powagą Ojca św. rozgrzesza i rozwiązuje sumienie, że wojna stała się nieuchronną, świat patrzy cały i czeka na nią.

Nacstatek zachował argument najsilniejszy i wskazując kanclerza, palatyna, biskupów, rozwinął akt przygotowany, przy którym wisiała też pieczęć Huniada...

Pozostawał jeden król, jeden Władysław, i losy chrześcijaństwa od niego zawisły... W jego rękę była cała przyszłość, jego słowo miało ją rozstrzygnąć.

Gdy to mówił kardynał, wszystkich oczy zwrócone były na króla, który stał, patrząc na kartę rozwiniętą przed sobą, na biskupów, na kardynała i wargi mu drżały, a głos nie mógł się dobyć z piersi.

Zamiast słowa, dwie wielkie łzy stoczyły się na pargamin...

Milczenie długie panowało w sali. Władysław stał, rękę położył na piersi uciśnionej, zadumał się i w końcu rzekł głosem drżącym.

Przysięgi złamać nie dopuszcza mi sumienie, ale koronę złożyć, abym nie stał na zawadzie wielkiemu dziełu, gotowem...

— A któż nam takiego jak wy bohatera zastąpi?—odezwał się kardynał.—Nie, bez ciebie na czele nie ma wyprawy...

— Huniady!—przebaknął król.

— Wódz wielki, lecz wojewoda siedmiogrodzki nie zastąpi króla Polski Węgier!—począł gorąco Cesarini i skłonił się tak, iż niemal kolano ugiął przed królem.

Władysław schylił się szybko ku niemu... Wtem Cesarini o pomoc obejrzał się do Rozgona i innych biskupów i kanclerz począł głosem trochę niepewnym powtarzać to, co wprzód kardynał tak wymownie wykladał...

W milczeniu słuchał król, nie dając znaku ani



przeciwieństwa ni zgody. Kardynał który badał młodą tę twarz zmienioną, cierpiącą, zbolalą, czekał ażali na niej promyk nie zabłyśnie.. Widział tylko coraz potęgający się niepokój.

Po biskupach, którzy wszysej wtórowali Cesariniemu, odczuwał się Lasocki z żywością i poufalością starego sługi, domownika, doradcy...

Ze wszystkich może mowa dziekana, który najlepiej wiedział, jak do młodego pana przemawiać należy, najsilniejsze na nim uczyniła wrażenie.

Otwarły się usta, Władysław bronić się zaczął słowy i argumenty Grzegorza z Sanoka... Lasocki odpierał je, zasłaniając się legatem papieża, powagą Ojca św.

Obronić się temu naciskowi król nie mógł. Widocznie czuł się już złamanym, oglądając czy mu kto na pomoc nie przyjdzie. Ale wszysej byli przeciwko niemu...

Zachwiany, znużony, Władysław padł na krzesło, oparł się na rękę i nie odpowiadając już nie, pozostał nieruchomym.

Ktośby był może ulitował się nad stanem jego, lecz nie kardynał Cesarini, który właśnie z tego rozbrojenia i chwilowej bezsilności, musiał korzystać.

Nastał więc na króla, aby w niepewności ich nie zostawiał..

Władysław spojrzał błagająco i nie odpowiedział nie.

Milczenie Cesarini wytłumaczył jako przyzwolenie.

Lasocki miał już pod datą dnia tego przygotowane pismo królewskie (d. 4 sierpnia 1444), i natychmiast na głos czytać je zaczął.

Zwyciężył Cesarini.

Gdy w kilka godzin potem Grzegorz z Sanoka wróciwszy z klasztoru, wszedł na podwórcę, uderzyła go zmieniona ich fizyognomia. Młodzieź z okrzykami i weselem dawno tu niewidzianem, biegła jakby już się przysposabiając do jakiejś wyprawy...

Amor z Tarnowa zastąpił mu drogę podnosząc rękę do góry.

— Mistrzu!—zawołał—dobra nowina! Idziemy na Turka! Wojna ogłoszona.

— Śni ci się?—odparł mistrz.

Wtem podpadł Gratus.

— Nie wiecie więc, król i wszyscy panowie przyłożyli pieczęcie do aktu ogłaszającego wojnę... Idziemy na pogań!

Nie wierząc uszom swym mistrz pobiegł wprost do króla.

Była to chwila właśnie, gdy Władysław po kilkogodzinnej walce, powróciwszy do sypialni, jakby chciał Boga o przebaczenie prosić za to, że uległ wywartemu nad sobą gwałtowi padł, przy klęczniku przed krucyfiksem na modlitwę... złożone ręce trzymał ponad głową. .

Zastał go tak Grzegorz z Sanoka... i litość wielka serce mu przejęła. Uczuł, że jeśli była wina czyja, nie spadała ona na króla. Nie rzekł więc słowa, nie uczynił wymówki, ukląkł za nim na modlitwę, ale z wezbranej piersi wyrwało mu się łkanie i oczy załały łzami...

---

## VIII.

Dnia dziewiątego Listopada, w wigilię św. Marcina, wszystkie siły, towarzyszące Władysławowi królowi w wyprawie przeciw Turkom, stały już na równinie pod Warną...

Pochód aż dotąd nazwać było można szczęśliwym i zwyciężkim, równie jak zuchwałym; jednakże wpatrzywszy się w zgromadzonych, około namiotu mło-

dych Zawiszów, polskich rycerzy, którzy tu oddzieliwszy się od tłumu, osobną gromadką stali, gwarząc pocichu, na twarzach ich trudno było dojrzeć zapалу tego, ochoty i ożywienia, które za sobą przynosi zwycięstwo.

Wieczór nadechodził powoli, chwilami od morza zrywał się wichur gwałtowny, rozdąsany, przelatując nagle po równinie nawpół błotnistej i biegł gdzieś skryć się w gór wąwozach.

Nastąpiła potem cisza grobowa, przerywana tylko jakimś szumem i mruczeniem jednostajnem, przychodzącem od morza.

W prawo na niebiosach jaśniejszych czerniały baszty i nietoremne wieże zamku w Warnie. Horyzont dalej jeszcze opasywały sine góry, na których tle gorzały łuny rozproszone od tureckich obozowisk, które się rozkładały tuż blisko. Wszystkim oczy ku tym światłom czerwonym zwracały się niespokojne.

Blżej, jak zajrzeć, widać było porozkładane ognie polskich, węgierskich i posiłkowych rot, wśród taborów, które je zasłaniały w części. Wieczór był chłodny, na niebiosach rozbite chmury czarne pędziły, to się skupiając, to się rozpraszając ku górom.

Z tyłu poza obozem królewskim i w prawo błyszczały, odbijając płowe niebios jasności, liniany i błota nadmorskie. Gdzieniegdzie z poza niskich namiotów gromadami podnosiły się głowy wielbłądów, które od koni oddzielać musiano. Gwar żołnierstwa słychać było to głośniejszy, to cichszy, rżeniem koni zagłuszony.

W głosie zwierząt w tej chwili było coś jak rozpaczliwe wołanie o ratunek, niepokój i trwoga. Słuchając, żołnierzy przechodziły mimowolnie dreszcze, żegnali się nieznacznie.

Przy namiocie stojąca gromadka gwarzyła, ale głosy i twarze były smutne, mowa nie raźna. Wzrok biegł ku tureckim ogniskom. Wszyscy mówili zwolna, zadumani. cicho, jakby nie chcieli, by ich pod-

śłuchano. Nieopodal przy namiocie królewskim wielka nadworna chorągiew to szeleściła wiatrem rozdymana, to opadała na drzewce.

Oprócz dwóch młodych Zawiszów, synów Czarnego, którzy szli na poganach pomścić hohaterską śmierć ojca, stali w skupionej gromadce Wątróbka, Jędrzej z Sienna, Piotr z Latoszyna, a tuż przy wozie, wyprężonym i zatoczonym pod opiekę namiotu, który go od wiatru osłaniał, obok ранiego w jednej z dawnych potyczek Jana z Rzeszowa, stał ze smutnie zwieszoną głową Grzegorz z Sanoka.

Starszy z Zawiszów, piękny na podziw rycerskiej postawy mężczyzna, ze wszystkich zgromadzonych miał najweselsze oblicze i drugim ducha a buty dodawał.

Wszyscy wydawali się znudzeni.

W jednej z chwil, gdy wiatr ustał i cisza zaległa nad obozem, na szarych niebiosach ukazało się czarne jakiegoś ptactwa stado i powoli ciągnąć poczęło nad obozem. Grzegorz z Sanoka podniósł głowę i po krakaniu, które dochodziło uszu, poznał złowrogie kruków stado.

Dostrzegł je i ranny na wozie leżący Jan z Rzeszowa.

— Ho! ho! — odezwał się — przemyślne ptactwo wcześniej na jutrzejsze pośpiesza pobojuwisko. Zła wróżba.

— Nic wiadomo dla kogo przerwał zdala wesoło Zawisza.

Zamilkli.

— Rzymianie — szepnął Grzegorz z Sanoka — z prawej strony lecących kruków nie lubili, ale kto by w to wierzył!

— To pewna — przerwał Wątróbka — że jutro, w dzień rycerskiego św. Marcina, przyjdzie się z ichmością Turkami rozprawić stanowczo.

Z języka pochwytanego wiedzieliśmy, że dążą za nami krok w krok, a oto ich mamy na karku.

— Im prędzej, tem lepiej—dodał Jędrzej z Sien-  
na.— Co ma być, niech się dokona. Wojsko niezgo-  
rzej położone u twierdzy i moczarów, a równina do  
boju dogodna. Byleby Bóg pobłogosławił.

• Znowu jakiś czas milezano.

— Gdybyśmy zawodu nie doznali od tych  
wszystkich, w piękne słówka zamożnych panów  
chrześcijańskich, którzy tyle obiecywali, a nie do-  
trzymywali nic, gdyby nadciągnęły posiłki, gdyby...

— Tak, gdyby—przerwał gwałtownie Grzegorz  
z Sanoka — na tem „gdyby“ wszystko się rozpiera.  
Gdyby owa flota Genuńczyków i Wenetów, co to na  
straży stać miała, aby Turków nie puszczać, sama  
ich po sztuce złota od głowy nie przewoziła.

— Nie może to być!—zaprzeczył Zawisza.

— Jak nie może!—odparł Grzegorz — wszakże  
szpiegi nasze, co na to patrzali, pod przysięgą ze-  
znali.

— Od Orszowej nam dobrze szło —dodał z wo-  
zu, podnosząc się i na łokciu opierając Jan z Rzeszowa. —  
Mieliśmy iść wprost na Adrianopol i tam z flotą  
i posiłkami się połączyć, a no, zamało nas było, aby  
się tak ważyć. A dlaczego zamało, niech odpowie...

— Kardynał Cesarini! — namiętnie dorzucił Grzegorz.

— Co tu na kardynała zrzucać winę — sprzeci-  
wił się Zawisza. — Nie on winien, ale ci, co go wy-  
słali, a którym zawierzył. Idzie sam z nami, nie  
jak kapłan, ale jak żołnierz, i losy nasze dzieli...

— A nie obrachował, na jakie nas naraził —  
niechętnie mruknął mistrz.

— Wy bo go nie lubicie!—rzekł Zawisza.

— Ani się z tem taję, że mu za złe mam, iż  
króla pchnął, gdzie być nie powinien. Tego mu  
przebaczyć nie mogę—rzekł Grzegorz.

— Zamku żadnego bez dział po drodze zdoby-  
wać nie mogliśmy — odezwał się Wątróbka — a i to  
złe, bo w nich załogi tureckie się gniczą i poza  
nami zostają

— A ezemże je brać było? — odezwał się Wątróbka. — Działek mamy ino dwoje i to małych, kule do nich garścią sypią, murów niemi nie złamać!

— Działami się na prędki poehód trudno było obciążać — dodał Zawisza.

Grzegorz z Sanoka stał zadumany.

— Najrozumniej było — odezwał się — gdyśmy widzieli, że siła zamała a posiłki niepewne, do Nikopolis zawrócić.

Byłem przy królu, gdy Drakula przyjechał. Popatrzał tylko na nasz obóz, a potem na młodego pana i do nóg mu przypadał, prosząc, aby powracał i nie ważył się dalej. Zna on Turków siły dobrze.

— Z czem wy ciągniecie? — mówił. — Sułtan, jadąc na łowy, więcej z sobą ludzi bierze.

Łzy miał prawie na oczach, gdy to mówił, syna królowi dać chciał, ludzi, konie, aby na wszelki wypadek ratować się mógł.

Król i kardynał podziękowali, ale rady nie posłuchali! Daj Boże, byśmy nie żałowali tego...

Wszystkiego razem mamy z piętnaście tysięcy ludzi z Wołoszą, a dwa tysiące wozów, dla których się wlec potrzeba, bo rycerstwo wygodę i przepych lubił

— Mistrzu — gwałtownie zakrzyknął Zawisza — już i nas poczynacie sarkać? A godzi się to? Nie-siemy życie ochotnie.

— To też mi żal, aby ofiara marną nie była! — dokończył Grzegorz i zamilkł.

Czas jakiś podumawszy, Wątróbka wtrącił:

— Przecież już nie darmośmy szli, gdy Szumen i Petrecz zdobyliśmy po drodze.

— No i Warną się poddała — wtrącił Piotr z Latoszyna — ale to wszystko na nie, jeśli ich jutro nie pokonamy.

Król jest najlepszych nadziei — poezął Zawisza. Biada tylko, że mu od siodła wrzód na nodze



nabrał, bo na koń ciężko wsiąść będzie, przy Bożej pomocy jednak zważać na to nie myśli.

Rozmowa wlokła się tak przerywana, a noe nadechodziła. Wśród ciemności ognie tylko oddalone i bliższe rozsypane na czarnej przestrzeni widać było. Niebo się wypogadzało, wiatr ustawał. Kupka z pod namiotu powoli się rozchodzić zaczęła.

Pozostał tylko jak przykuty tęsknicą Grzegorz z Sanoka przy rannym.

— Niewypowiedziany ból ezuje w sercu—rzekł cicho—gdy na naszego młodego pana patrzę, niewinnego baranka, wydanego na ofiarę tej dziezy, za dobroć swą i wielkie seree. Nie mogę się złym przeczuciom obronić!

— Ale! Zasię! — żywo odparł ranny — ja tak znowu wielkiego niebezpieczeństwa nie widzę. Jest nas niewielu może na te tłumy niesforne pogańskiej halsstry, ale z naszych każdy zbrojny dobrze i stanie za kilku. Byleśmy ich w pierwszym starciu złamali.

— Tak, i nie zapędzili się za uciekającymi umyślnie, bo to ich sztuka—rzekł mistrz—ale u nas seree gorące, ochota wielka i w boju ezłek pamięć traci.

Ale czas do namiotu — zawarł Grzegorz, podając rękę rannemu.— Okryjcie się ciepło i śpijcie, jeśli możecie.

W namiocie królewskim świeciło jeszcze. Mistrz wszedł do niego. Król z nogą bolącą wyciągniętą siedział, ale twarz miał wesołą.

Kardynał obok niego odpoczywał, czoło miał zasępione.

— Nie cierpię — mówił — tych puhaezów, co wszędzie ze złą wróżbą przelatują i psują najmężniejsze serca. Cóż z tego, że Turcy się okazali już przed nami? Śledzą ruchy nasze, ale pierwsi na nas napaść się nie wazą.

— A my jutro, mając ich tak blisko, mogli-

wycierpieć? — począł król. — Czas się bić w polu... żołnierz pochodem więcej się nuży, niż w boju.

— Z ogniów miarkując—wmieszał się przybyły Grzegorz—siłę mieć muszą znaczną.

— Łużnie idą i obozują zawsze szeroko się rozkładając — dodał Cesarini i wstał z siedzenia. — Zobaczymy, co jutro pokaże.

Dzień następny wstał piękny i pogodny. O brza-sku odprawił kardynał mszę świętą. Powietrze było uspokojone, słońce wschodziło jasne.

W obozie jakby się do potyczki nie przygotowywano, ruch się zwykły rozpoczął. Dowódcy jednak objeżdżali tabor i oddziały. Kazano przy-wdziewać zbroje i konie gotować, gdy na skraju obozu od gór krzyki słyszeć się dały.

Czeladź nadbiegła, wołając.

— Turcy idą... już, już następują!

Król natychmiast wyskoczył z namiotu, o no-dze nabrzmiałej zapomniawszy i dosiadł konia.

Huniady już na przedzie w lewo swoich szy-kował.

Ze wszech stron wołano:

— Na koń! na koń!

Wtem przypadł Wątróbka. pytając króla, czy taborem wozów każe wojsko otoczyć.

— Tabor nas uwięzi i zamknie! — począł król, już jadąc naprzód—niech wozy z tyłu zostaną! Lu-dzie, za wozami się nie kryjąc, lepiej walczyć będą. Naprzód, naprzód!

Zachwiał się, mówiąc to Władysław, taki ból uczuł w nodze, i Gratus z Tarnowa za rękę go pod-chwycił, aby nie padł. Ale natychmiast dźwignął się, chwilowe przemógłszy cierpienie, i chciał jechać, gdy go drudzy powstrzymali. Huniady podpadł na koniu i zobaczywszy Władysława mocującego się z bólem, począł wołać, że sam uszykuje wojsko, a król z oddziałem swych nieodstępnych pięciuset miał stanąć w pośrodku, między szykami a taborem

W tej chwili ziemia tętnie zaczęła i pułki na skinienie Huniady ustawiły się w półksiężyc.

W lewo ponad Dziewińskim jeziorem zabrało miejsce pięć chorągwi węgierskiego rycerstwa, którym sam Huniady miał dowodzić. W pośrodku miejsce zostawiono dla króla z jego orszakiem, który właśnie się zbierał, wdziawszy swe najpiękniejsze zbroje i najwspanialsze szaty, bo dla wojska bój, to święto mroczyste i musi się do niego przybrać, jak na ślub lub do trumny.

W prawo za chorągwią króla uszykowały się posiłki wołoskie, za niemi czarna węgierska chorągiew, pułk Szymona z Rozgonu biskupa Jagierskiego, ban Sławonii ze swymi, rota kościelna Cesarińskiego, a na prawo w step św. Władysława chorągiew z biskupem Waradynu.

Z tyłu ustawiły się tabory, które zaprzęgano, aby za wojskiem mogły podążać.

Czasu do uszykowania się dość było, bo ów zapowiedziany nieprzyjaciół ukazał się dopiero, gdy słońce już się ku zachodowi miało.

Dotąd ejsza była w powietrzu wielka i niebo pogodne a czyste. Król już stał w miejscu swem otoczony młodzieżą, gdy nagle z zachodu wichur, jak piorun silny, uderzył na szyki i wszystkie chorągwie, które ponad niemi stały podniesione wysoko, poszarpał i przygnoił do ziemi. Żaden z tych, eo je trzymali, nie zdołał się oprzeć sile tego huraganu.

Jedna tylko chorągiew św. Jerzego przy królu, około której Zawiszowie stali, wytrzymała choć poszarpana.

W dolinie suchego krzewia i karłowatych drzewin dość było. Z po za nich naprzód Turcy skryci ukazywać się zaczęli, a na ich czele, z ogromnemi tarczami i kuszami, najdzielniejszy hufiec pieszych janczarów.

Na prawem skrzydle przy chorągwi św. Władysława pierwszy bój się rozpoezał z wrzaskiem

i piskiem dzieczy, która nim sobie ducha dodawać zwykła. Były to właśnie najslabsze pułki biskupie i przy nich papieżki żołnierz kardynała, który nie wytrzymał gwałtownego natarcia.

Wszystka ta gromada, gdy raz popłoch między nią popadł, rzuciła się biegnąc w stronę Galaty, między cieśniną morską, jeziorem i górami ku Rumelii.

Napróżno dowodzący powstrzymać ich usiłowali. Część Turków, rzucając za zbiegłymi dziury i oszczepy, puściła się w pogoń na zarośla i góry. Wołosza też, w pobliżu postawiona, samą się ujrzawszy, uszła z placu i rozbiegła się na wsze strony bezładnie.

Cudem prawie chorągiew św. Władysława utrzymała się z garścią mężniejszych, ku której w pomoc kardynał Julian i ban w paręset koni pobiegli. Bitwa się tu cała skupiła. Część Turków ściagała uchodzących, inni gwałtownie na chorągiew napadli, ale tu znaleźli rozpaczliwy opór.

Gdy się to działo, stał jeszcze król w pośrodku chwili, w tej nadziei, że po pierwszym starciu bój może się odmiennem szczęściem obrócić, lecz niecierpliwość jego i zapal zaledwie otaczający pohamować mogli. Starszyzna zaklinała, aby się za cował na chwilę stanowczą.

Nie było jednak sposobu wstrzymać już, gdy chorągiew św. Władysława osaczoną zobaczył, spał konia i na oślep rzucił się w tę gęszcz walczących, a za nimi wierni towarzysze.

Grzegorz z Sanoka, który wraz z innymi duchownymi i dworem przy taborze stał na przedzie, ujrzał złocisty hełm jego poruszający się zdala i jak grom spadający na pohańców.

Hufiec królewski z taką gwałtownością padł na karki Turkom i taką w nich rzeź sprawił, że zastępy ich zachwiały się, ugięły i pierzchać poczęły.

Króla widać było ścigającego ich daleko, wśród tej błyszczącej kohorty młodzieży, która z podniesio-

nemi mieczami za nim leciała. Z tyłu pozostała chorągiew św. Władysława, której król w pomoc chciał śpieszyć, zawsze jeszcze przez gromadę Turków obleżoną.

Zwrócił się więc na jej obronę i tu jeszcze mistrz widział go zwycięzcą. Ale z gór i krzaków coraz nowe płynęły tłumy pohańców, pole już nimi było usłane, nawała nowa cisnęła się na pobożowisko.

Swoi i nieprzyjaciele mieszały się w gąszcz wściekłą, wśród której stada wielbłądów, konie dzikie, ludzie i trupy zbijali się w kupy walczące, bo i ci co leżeli obaleni na ziemię, koniom podrzynali nogi, jeźdźców chwyтали za strzemiona.

Wśród wrzasku, ryku i wrzenia, chrzęstu broni, świstu strzał, już ani głosu dowódców, ani nawoływania swoich nikt nie mógł dosłyszeć.

Król, który zwycięzko dotąd walcząc, ploszył przed sobą, co żyło i kładł trupem, znalazł się nagle wśród zastępów pieszych janczarów, wielkimi tarczami jak murem osłonionych, wśród gradu strzał i hełtów, które nawet zbroje żelazne przebijały.

Sypano niemi z pobliskich wzgórzów, z za krzaków nieustannie.

Grzegorz z Sanoka, który dla lepszego widzenia na wóz wysoko naładowany się wdrapał, ujrzał króla jeszcze przeryzującego się przez te gąszcze i tłumy, ale z rycerstwa jego coraz ktoś ślaniał się i ubywał.

Złocene hełmy padały i znikały. Przez jedną krótką chwilę zdawało się, iż spodziewać się było można zwycięstwa. Grzegorz obie ręce podniósł do góry. Wtem pułki, które króla popierać były powinny, zachwiały się w miejscu i rozsypały jak bicz paciorków, gdy nic trzymająca go pęknie. Huniad szedł za królem jeszcze.

Mistrz zamknął oczy przerażony, a gdy je otworzył w dali nie zobaczył już nic oprócz gęstego

tlumu janczarów i Turków, rozbiegających się w po-  
goń na wszystkie strony.

W taborze zadrżało wszystko, ludzie przyto-  
mność stracili. Niektórzy chwytali konie i dosiadł-  
szy je, jak szaleni puszczali się, nie patrząc, gdzie  
biegli, oślep wrogowi pod miecze.

Grzegorz z Sanoka stracił też przytomność,  
nogi ugięły się pod nim, w oczach zaćmiło, w pier-  
si zabrakło oddechu.

Orzeźwiła go rzucona na twarz woda i wołanie  
pachołka królewskiego, który mu do konia służył;  
lecz Grzegorz ani go zrozumieć, ani posłuchać nie  
mógł. Jak dziecko dał się pochwycić, na koń rzu-  
cił i pociągnąć sam już nie wiedział dokąd.

Słyszał tylko wrzask bojowy po za sobą, do-  
koła w powietrzu, świst strzał, jęki konających...  
potem głucho wrzenie i szum, potem wiatr szele-  
szczący w gałęziach drzew.

Gdy do przytomności przyszedł, leżał na ziemi  
wśród zarośli, a nad nim wierny Petrek klęczał  
okrwawiony i w dłoniach przyniesioną poił go wodą.

Noc nadeszła... a z nią cisza i ciemności, po  
wrzawie bitwy, po szalonej ucieczce, którą Petrek,  
trzymając osłabłego na koniu, kierował, zdająca się  
spoczynkiem grobu Grzegorz usnął, sądząc, że z bo-  
leści dusznej na zawsze zamknie powieki.

Obudził go chłód poranka i Petrek stojący nad  
nim z końmi, a naglący do dalszej ku Dunajowi  
ucieczki. Posłuszny mu mistrz wstał i poddał się  
jego wodzy. Stracił rachubę czasu, osłabł i życia  
już nie pragnął.

. . . . .

— Nad Dunajem jesteście! Bóg nas ocalił! — za-  
wołał Petrek, który do leżącego na ziemi Grzego-  
rza przybiegł, przynosząc mu kawał chleba, gdzieś  
wyżebrany lub wydarty.

Po długim głodzie chleb ten suchy wydał się



najrozkoszniejszym jadłem. Grzegorz odzyskał powoli zmysły. Leżeli wśród mokrych zarośli, nieopodal słychać było szum rzeki.

Mistrz także usiłował się podnieść.

— To głos ludzki! — zawołał — w pomoc iść trzeba...

Przerażony pacholek napróżno starał się go wstrzymać, aby na niebezpieczeństwo się nie narażał i nie zdradził. Coraz wyraźniej dochodzące jęki nie dały wytrwać Grzegorzowi, który odepehnawszy Petrką, puścił się ehwiejącym krokiem w zarośla ku rzece.

Ciągle powtarzające się jęki coraz słabnącym głosem doprowadziły go ku sobie. Rozpostartszy gęste gałęzie, Grzegorz spojrzał i stanął osłupiały.

W krwawej kałuży leżał ezłowiek w poszarpanej i podartej odzieży, na pół obnażony, ranny, drgając ostatniami życia wysiłkami.

Twarcz zasehła już w części, krwią okryta, nie dozwalała rysów rozpoznać.

Grzegorz przybliżył się ostrożnie, pokłękł nad nim i schyliwszy się nad nieszczęśliwym, krzyknął z podziwu i przerażenia. Poznał w nim konającego kardynała Cesariniego.

Umierający otworzył oczy, spojrzał i dłoń wyciągnął ku niemu, ale ta bezsilna opadła \*).

— Tyżes to? — zawołał, ręce załamując Grzegorz.

Słabym, ledwie dosłyszalnym głosem Cesarini zamruczał:

— Jam jest, ratuj mnie... Z Huniadym zjechaliśmy się po bitwie... Siedziałem w łódce, aby się przeprawić przez Dunaj. Przewoźnik... złoto moje... wiosłem mnie ubił i wrzucił do wody...

---

\*) Scena ta w życiu Grzegorza z Sanoka przez Kallimacha P. 4.

Nie miał już siły mówić.

Grzegorz począł w głos modlitwę nad konającymi, którą Cesarini, poruszając ustami, zdawał się powtarzać.

— Niech ci Bóg przebaczy — dodał w końcu — boś ty był sprawcą wszystkich nieszczęść naszych, a jeżeli król nasz, bohater ten, padł ofiarą... a! nie ma dla ciebie przebaczenia... Tyś go zabił!

Z piersi kardynała wyrwał się słaby okrzyk, jęk raczej i z nim ostatnie wyszło tchnienie.

\*

\*

\*

Straszne to były dni, gdy jedni po drugich do Budy przybywać zaczęli z placu boju, niedobitki nieszczęśliwe, którym życie prawie miłem nie było, z taką boleścią nieśli z sobą wspomnienie okropnej klęski...

Każdy przynosił jakąś wieść, baśń, pogłoskę, nikt nie umiał powiedzieć ani co się z królem stało, ani z tymi rycerzami, którzy razem z nim znikli.

Grzegorz z Sanoka leżał chorobą powalony, zniechęcony do życia, nie śmiejąc pomyśleć o powrocie do Polski, bo cóż tam miał odpowiedzieć biednej matce, któraby go spytała:

— Coś uczynił z synem moim?

Przez długi czas i na Węgrzech i w Polsce łądzono się jakąś dziwną nadzieją, że królowi udało się ująć i życie ocalić, że powróci.

Znajdowali się ludzie, którzy mówili, że go tam lub indziej widziano. Nierychło potem od Turków przyszła wiadomość, że głowę męczennika za wiarę, świętą na placu boju, w tryumfie rzucono pod nogi Amuratowi.

Ze świetnego tego pocztu młodzieży polskiej, która go nie odstępowała, nikt nie pozostawał. Zginęli Amor i Gratus z Tarnowa, Marcin i Stanisław z Rożnowa, dwóch synów Zawiszy Czarnego i wielu a wielu innych.

Z wziętych do niewoli rannych Polaków dwunastu najpiękniejszych, najurodziwszych, najdzielniejszych sultan kazał wybrać, aby ich zmusić groźbą śmierci do zaparcia się Chrystusa.

Mężni młodzieńcy wiedzieli, jaki ich los czekał. Sprzysięgli się więc napaść na Amurata i śmierć mu zadać, a w popłochu starać się zbiedz z Adryanopola. Razem z nimi zamkniętemu w więzieniu młodemu Bulgarowi zwierzyli tę tajemnicę, a ten siebie ocalając, ich zdradził.

Czekała śmierć.

Zaparli się wszyscy w więzieniu i mężnie samobójstwem bohaterskiem żywot rycerski zamknęli. Taką naówczas młodzież miała Polska.

Grzegorz z Sanoka nierychło zebrał się na odwagę powrócenia do kraju. Naostatek tęsknota za nim, dawni Towarzysze i przyjaciele skłonili go, aby opuścił Węgry i przybył znowu do Krakowa.

Pierwsza część żywota jego była dokonana, czekała go tu wkrótce archikatedra lwowska, której resztę dni miał poświęcić.

Mąż wielkiego umysłu, nauki rzadkiej na owe czasy, samoistności sądu nadzwyczajnej, pozostawił po sobie pamięć jednego z najznakomitszych ludzi tej epoki

Pamięć Warneńczyka, bohatera, który, niedoszedszy lat dwudziestu, zjednał sobie imię nieśmiertelne rycerskiem poświęceniem za wiarę, uczcił pierwszy i największy z poetów polskich wierszem,

którym my to wspomnienie starych dziejów zakończymy:

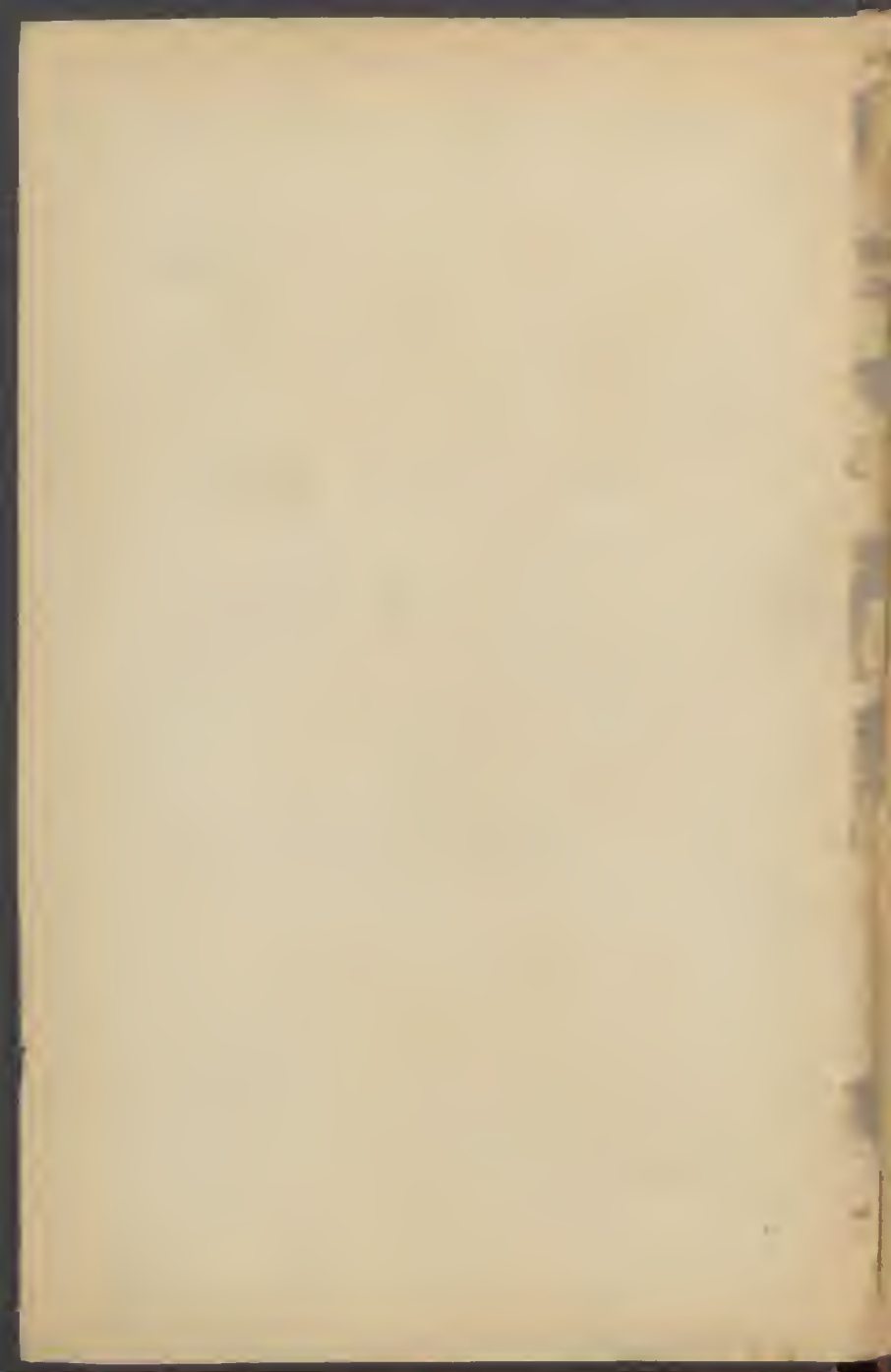
We krwi nieprzyjacielskiej upadł zmordowany  
Wśród ziemi tureckiej, jego poświęcone  
Kości nie są w ojczystym grobie położone..  
*Grób* jego jest Europa, *Stup* śnieżne Bałkany,  
*Napis* wieczna pamiątka między chrześcijany.

Drezno, 1882

K O N I E C.



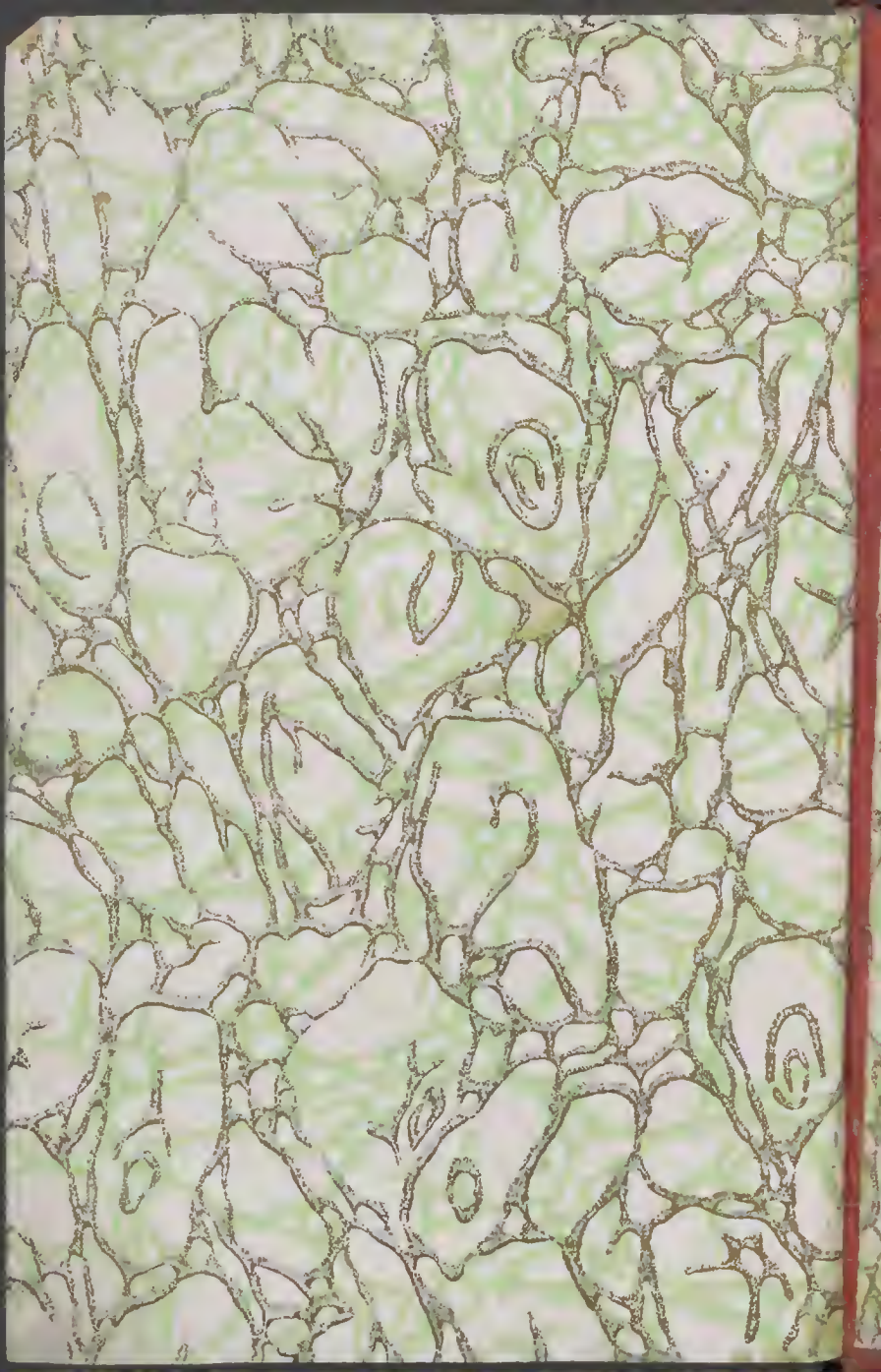


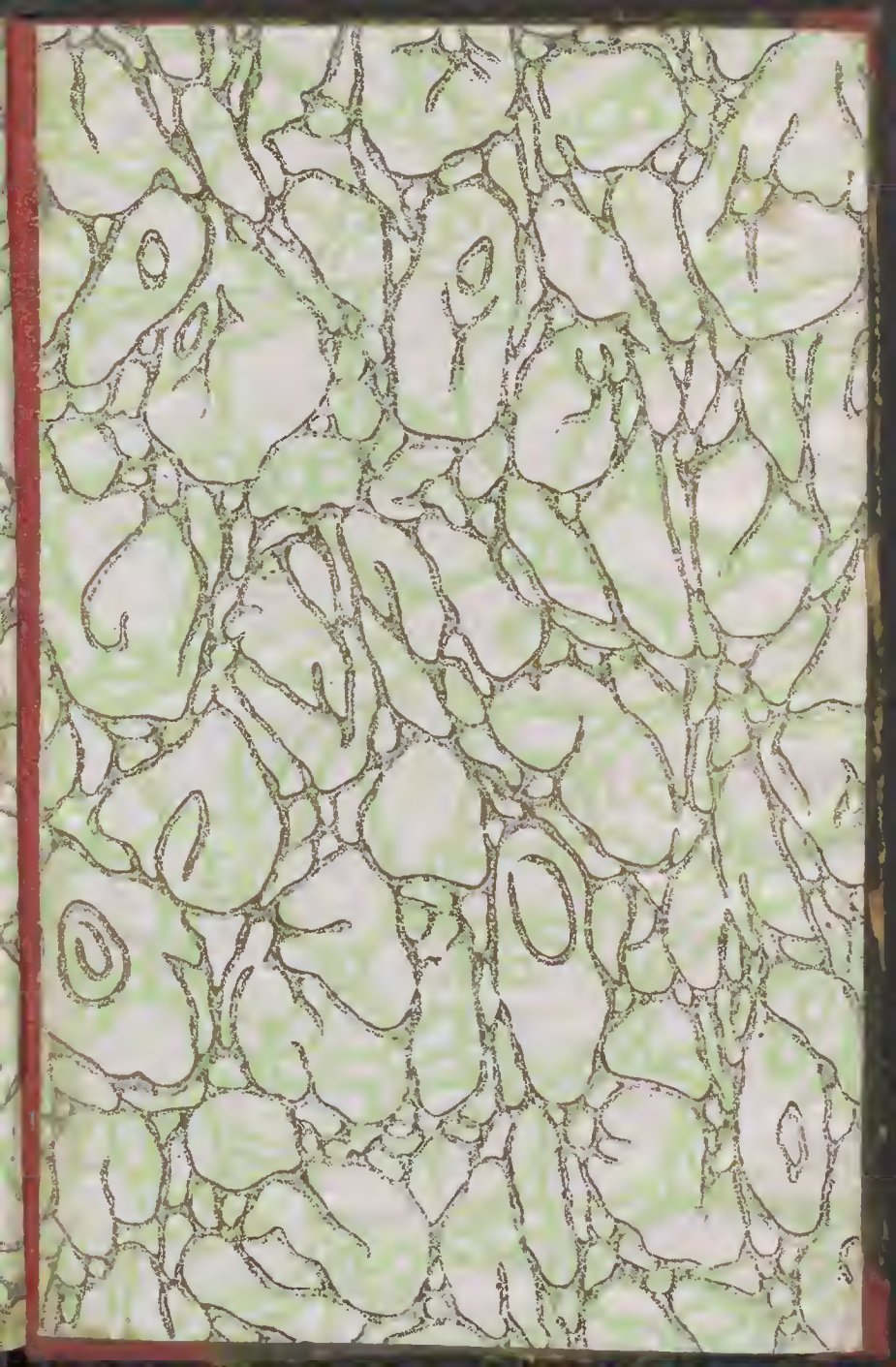




MANITOWISSE 2 11

20





Biblioteka Raczyńskich

JK 1408



JK1408